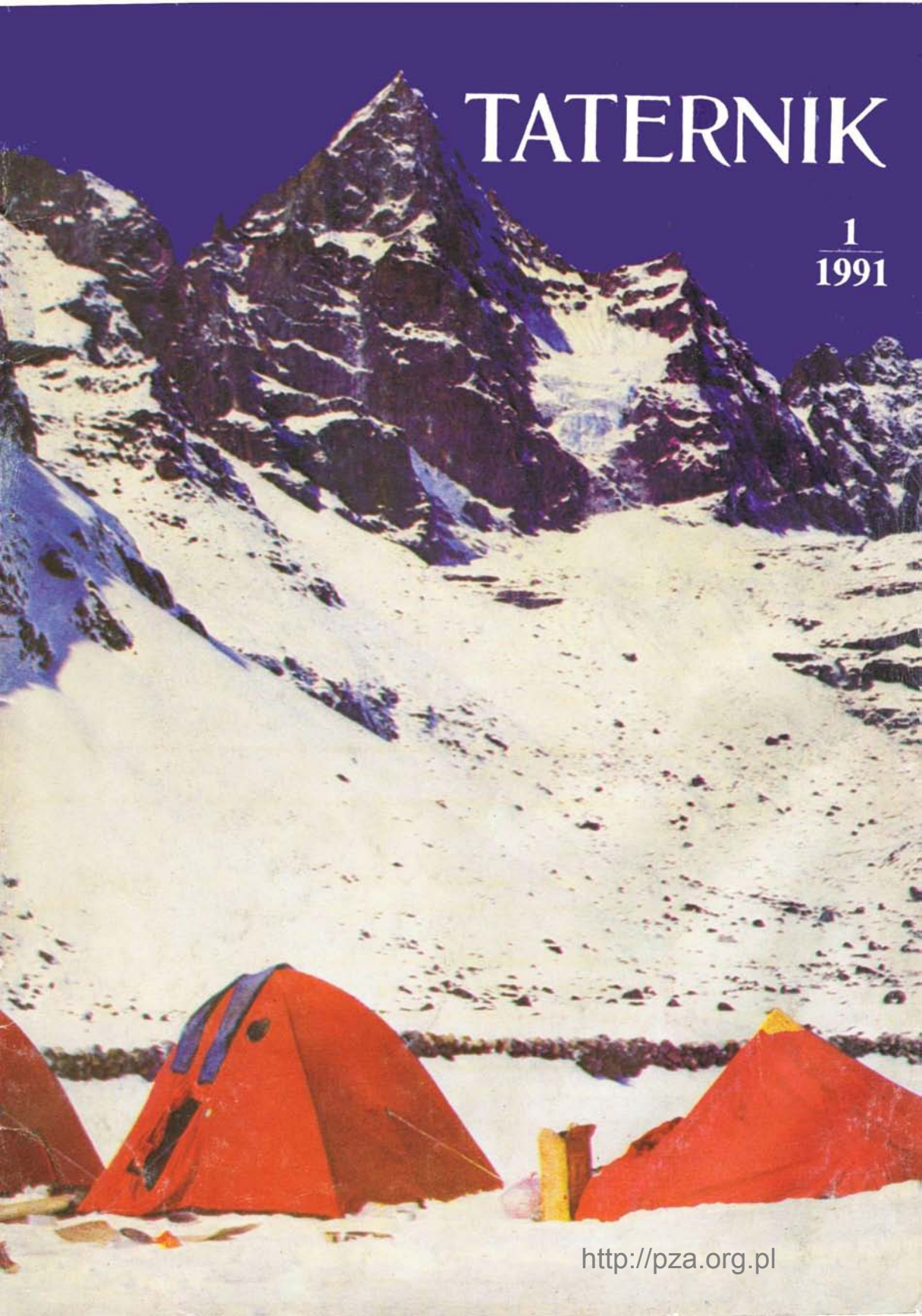


TATERNIK

1
1991





Od Redakcji (<i>J. Nyka</i>)	1
W 50-lecie wejścia na Nanda Devi Wschodnią (<i>B. Chwaściński</i>)	2
Betlejemskie gwiazdy (<i>W. Święcicki</i>) ..	6
Letnie wiadomości z Tatr Polskich 1990 (<i>G. Głazek</i>)	9
All free znaczy klasycznie (<i>M. Kan- tecki</i>)	13
Zima 1990-91 taterników polskich (<i>A. Skłodowski</i>)	14
Alpy nie są już daleko (<i>A. A. Garda- sowie, J. Wolf, A. Gąsienica</i>)	16
Sensacje alpejskie (<i>J. Nyka</i>)	19
Annapurna premier 8000 (<i>W. Brański</i>)	21
Nasz punkt honoru (<i>C.A. Pinelli</i>)	23
Dhaulagiri wschodnią ścianą (<i>K. Wie- licki</i>)	24
Samotnie na Pumori (<i>A. Lwow</i>)	26
Wiosna 1991 w Himalajach (<i>J. Nyka</i>)	27
Dhaulagiri ścianą zachodnią (<i>W. Chri- szczaty</i>)	31
Wypadek na Mount McKinley (<i>M. Ny- czanka</i>)	32
Taternictwo jaskiniowe 1991 (<i>A. Ga- jewska</i>)	34
Śnieżna Studnia wspinaczkowo (<i>T.K. Pryjma</i>)	34
Speleomistrzostwa Polski, 1990 (<i>T.K. Pryjma</i>)	35
Tylko trzy pytania (wywiad z Adamem Czarnowskim)	36
Czas scenariusza (<i>W. Świeżyński</i>)	39
Awarie karabinków (<i>H. Mierzejewski</i>)	40
Co nowego w Tatrach?	42
Nowe drogi w Tatrach	46
Sport wspinaczkowy	48
Alpy, Kaukaz	50
Jaskinie i speleologia	51
Wyprawy	53
Pożegnania	53
Notatki, ostatnie nowości	41, 45, 57

Zdjęcie obok: Mitre Peak w Karakorum.

Fot. Janusz Onyszkiewicz

Zdjęcie na okładce: Kyajo Ri w Khumbu Himal.

Fot. Krzysztof Łoziński

OD REDAKCJI

Po nieomal trzech latach nieobecności na polskiej scenie górskiej, „Taternik” na nowo podejmuje służbę. W swej 85-letniej historii miał kilka przerw, przeważnie związanych z zaburzeniami dziejowymi, takimi jak obie wojny, okres komunizacji kraju (1950 – 55), czy ostatnio – jego powrotu do normalnego świata (1989 – 90). Przerwom tym towarzyszyły niekiedy przesilenia personalne. Tak jest i obecnie: 25 lat tworzenia pisma przez tego samego redaktora to wprawdzie nie światowy rekord (Max Oechslein, Tine Orel, Adams Carter), ale okres dostatecznie długi, by redaktor ów stracił impet i wpadł – dobrze że jest tego świadom – w niesprzyjającą postępowi rutynę. Pilną sprawą jest więc przekazanie steru w młodsze ręce.

W nowy etap „Taternik” wchodzi w zmienionych warunkach zewnętrznych. Pod wieloma względami jest łatwiej. Do złych wspomnień należą kłopoty z papierem, drukiem, jakością ilustracji, polityczną motywacją potrzeby istnienia. Jednocześnie jednak pismo staje wobec konieczności zarobienia na swój byt a także znalezienia miejsca obok kilku innych – bardzo dobrych – periodyków krajowych, takich jak *Góry*, *Wspinek*, *Bularz*, *Optymista* czy *Baszta*. Musi ono odzyskać część dawnych czytelników, których – sądząc po rozchodzeniu się nakładu – było przeszło 12 000. Następny kłopot: „Taternik” zawsze miał ambicję dokumentowania polskiej działalności górskiej. Trzydzieta luka spowodowała spiętrzenie się tek redakcyjnych oraz – nie podjętych tematów. Jednocześnie uległ transformacji krąg odbiorców. Kilka lat temu oczekiwania czytelników mieściły się w kręgu klasycznie rozumianego alpinizmu. Dzisiaj mamy nowe dyscypliny, niektóre o wysokiej dynamice, jak np. free climbing, spadloty, narciarstwo akrobatyczne czy kompletowanie serii szczytów. Tradycyjna do niedawna organizacja naszego sportu nakłada się obecnie na formy właściwe sportom stadionowym: puchary, rankingi, turnieje, kadry narodowe...

Jaki miałby zatem być „Taternik” dnia dzisiejszego? Kolorowa okładka jest zwiastunem zmian, ale jak wynika z sondaży czytelnichych, nie o kolor i ozdoby należałoby zabiegać. Dezyderaty są różne, często sprzeczne, przeważa jednak opinia, że „Taternik” winien przede wszystkim pozostać sobą. Nadal jest on organem PZA i chciałby utrzymać funkcję kroniki polskiego alpinizmu, jak poprzednio – z szerokim wyjściem na świat. W połączeniu z wymienionymi wyżej tytułami, zbliża nas to do modelu przyjętego na

Zachodzie, gdzie obok zabiegających o atrakcyjność pism komercyjnych (prawda, że rzadko przynoszących dochód) istnieją skromniejsze pisma „klubowe”, takie jak *Les Alpes*, *La Rivista CAI*, *La Montagne*, *Mitteilungen DAV* i *OeAV*, biorące na siebie balast informacji, którą nie chciałyby obciążać łamów *De-snivele*, *Verticale*, *Rotpunkt*. W tym właśnie duchu został ukształtowany bieżący numer, nota bene o ok. 20% większy od poprzednich (60 stron, gęstsze składły). Starania o autentycznie własną informację pozostają jednym z głównych założeń redakcji.

Come back „Taternika” przypada na okres przemian w samym sporcie wysokogórskim. Alpinizm polski znalazł się w stanie recesji, po części tylko związanej z „dolkim” ekonomicznym kraju. W skali światowej fenomen ostatnich lat stanowi utrzymujący się boom wspinania sportowego, w tym i zawodniczego, które coraz bardziej zmierza – i słusznie – do wyodrębnienia się w osobną dyscyplinę organizacyjną. Następują głębokie zmiany na mapie alpinizmu. Rozpad dawnego bloku KDL przeobraził wschód Europy. Dotychczasową dominację tracą Japonia, Anglia, Polska – pną się natomiast w górę USA, Korea, Niemcy, Indie (100 – 150 wypraw w roku!), Hiszpania, a także spuszczone z uwięzi kraje dawniejszego ZSRR, zwłaszcza Kazachstan, Rosja i Ukraina. W światowym alpinizmie wyczynowym przoduje Słowenia. Następuje zanik obozów i wypraw „klubowych” i „narodowych”, stale wzbiera fala alpinizmu rekreacyjnego. W Himalajach i Karakorum 60 – 70 % wypraw i 70 – 90 % uczestników (!) ma jeden tylko cel: zaliczyć magiczne osiem tysięcy. Z roku na rok dźwiga się poziom rekordu, jednocześnie pogłębia się kryzys ideowy. Normy stworzone dla skałek przyjmują się w górach najwyższych, mecenat i wprężenie w kierat reklamy dają wprawdzie szanse wyjazdów czolówce, stawiają jednak często ludzi wobec dramatycznych wyborów: działania wbrew samym sobie (mówiła o tym w jednym z wywiadów Destivelle) czy nawet – coraz częściej – wbrew powszechnie akceptowanym zasadom etycznym (zapowiedzi bez pokrycia, manipulowanie relacjami – por. K2 na s.53). Pomimo szczytnych haseł i akcji w rodzaju tych prowadzonych przez „Mountain Wilderness” czyni postępy dewastacja przyrody gór przez wyprawy i ścian skalnych przez wspinaczy sportowych.

Trzeba będzie kilku lat, aby alpinizm – ten polski i ten na świecie – wydosłał się na kolejną prostą. Będzie ona inna od poprzedniej, jaka – trudno prorokować. „Taternik” chciałby być obecny przy pokonywaniu i tego zakrętu.

Józef Nyka

W 50-lecie wejścia na Nanda Devi Wschodnią

Dwa lata temu święciliśmy 50. rocznicę I Polskiej Wyprawy Himalajskiej i jednego z do dziś czołowych naszych sukcesów eksploracyjnych, w postaci pierwszego wejścia na Nanda Devi Wschodnią (7434 m). Jubileusz ten był uroczystym akcentem ostatniego Walnego Zjazdu PZA, na którym dr Bolesław Chwaściński wygłosił interesujący referat okolicznościowy. Drugim mówcą był członek honorowy PZA, H. Adams Carter, który przypomniał przebieg brytyjsko-amerykańskiej wyprawy na Nanda Devi Główną (7816 m), jako jeden z jej uczestników. Sądziłyśmy, iż mimo przesunięcia w czasie, i rocznica, i referat dra Chwaścińskiego powinny znaleźć odbicie na łamach naszego pisma.

I jeszcze uwaga dotycząca pisowni: „Taternik” stosuje od dawna angielską (a dziś już międzynarodową) transkrypcję nazw w Himalajach i Karakorum. Autor artykułu jest zwolennikiem spolszczania nazw, stąd ich brzmienie odmienne od tego, do jakiego przywykli nasi czytelnicy. (Red.)

Pięćdziesiąt lat temu, w 1939 r., Jakub Buk i Janusz Klarnier, uczestnicy I Polskiej Wyprawy Himalajskiej, stanęli na wierzchołku Nanda Devi Wschodniej w Himalajach Kumaonu, zwanych także Garhwalskimi. Kierownikiem wyprawy był Adam Karpiński, czwartym uczestnikiem — Stefan Bernadzikiewicz. Był to początek polskiej drogi w te góry, drogi, która doprowadziła dzisiejsze pokolenie taterników do wyżyn himalaizmu, stawiając ich w czołówce zdobywców już nie tylko szczytów, ale także ścian i grani, w lecie i w zimie.

Przełamanie bariery

Odzywają się czasem głosy, że do tragizmu tej pierwszej naszej wyprawy w Himalaje dołącza się tragizm wynikający z tego, że wskutek zaginięcia wszystkich jej uczestników, II wojny światowej i jej następstw, doświadczenia wyprawy nie mogły być wykorzystane przez późniejsze pokolenia, które musiały zaczynać od początku. Nie można się z tym zgodzić. W alpinizmie, w himalaizmie, każde osiągnięcie przewyższające poprzednie, to przede wszystkim przełamywanie barier psychicznych. Wskazówki poprzedników, wyższa technika wspinania, lepszy sprzęt, ułatwiają niewątpliwie pokonywanie tych barier, ale zawsze będą to tylko elementy dodatkowe. A bariera została wówczas przełamana.

W r. 1989 bawił w Warszawie austriacki alpinista, Tomasz Bubendorfer. Samotnie przechodził na najtrudniejsze ściany alpejskie — północną Matterhornu, filar Walkera i inne. Zawodowy alpinista, który nawet w podróże zabiera deseczkę z

otworami, by codziennie ćwiczyć podciąganie się na palcach. W czasie dyskusji po odczycie stwierdził, że docenia oczywiście znaczenie kondycji fizycznej, ale w jego wejściach 70% to czynnik psychiczny, a zaledwie 30% — fizyczny.

Świadomość, że nasi koledzy i przyjaciele, z którymi od lat znaliśmy się na codzień, zorganizowali w r. 1939 wyprawę w Himalaje i weszli na Nanda Devi Wschodnią, pozwoliła z zupełnie innego punktu psychicznego startować w r. 1960 w Hindukusz i konsekwentnie z kolei w 1969 r. w Karakorum, a w 1974 w Himalaje.

Tym jakby symbolem ciągłości naszego taternictwa, alpinizmu i wreszcie himalaizmu, może być fakt, że przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego I Polskiej Wyprawy Himalajskiej był Aleksander Znamieński, znakomity wspinacz sprzed II wojny światowej, zdobywca grani Widel i północnej ściany Wysokiej.

Tęsknota polskiego taternictwa do wejść himalajskich tkwiła w nim nieomal od początku. Wszak trójka czołowych wspinaczy z pierwszego dziesiętka lat bieżącego stulecia, Klemensiewicz, Kordys, Maślanka, nazwała się Himalaja Klubem. Dla nich Himalaje były symbolem czegoś nieosiągalnego. Wyprawa z r. 1939 tę nieosiągalność zamieniła w rzeczywistość, a dzisiejsze pokolenie, dla którego Himalaje są codziennością, nie musi już czerpać wzorów z himalaizmu światowego, ale przeciwnie — samo jemu je daje. I niech mi będzie wolno w tym miejscu powtórzyć słowa Romana Kordysa, wypowiedziane w r. 1929 o Wiesławie Stanisławskim, słowa zmodyfikowane nieco w dostosowaniu do dzisiejszych okoliczności:

Każdy nowy rekord alpinistyczny tkwi głęboko korzeniami swymi w dalekiej i bliskiej przeszłości. Dlatego także jest on radością i dumą nie tylko pokolenia, które go stworzyło, ale i tych, co odeszły już z pola. W poczuciu tej więzi wewnętrznej, która łączy całość ruchu taternickiego, czołem bijemy przed tymi, którzy sztandar górskiego rekordu na nieosiągalnych dotychczas zatknęli wyżynach. Czołem bijemy my, pokolenie, które już dawno zeszło z areny, przed organizatorami i kierownikami wypraw, zdobywcami i zdobywcami ostatnich nie zdeptanych wierzchołków Karakorum i Himalajów, ścian i grani w tych górach, przed zimowymi zdobywcami najwyższych szczytów świata i zdobywcami wszystkich ośmiotysięczników. Czołem bijemy i głęboko przeżywamy śmierć w tych górach tylu wspaniałych naszych koleżanek i kolegów.

I choć różnimy się nieraz w podejściu do taternictwa, alpinizmu i himalaizmu, co jest zrozumiałe, przecież dzieli nas różnica dwóch pokoleń,

a świat nie stoi w miejscu, niech tak samo zakończą to nawiązanie do przeszłości słowami sprzed lat, tym razem Mariusza Zaruskiego, skierowanymi głównie do Romana Kordysa, przyjaciela i towarzysza wspinaczek, a jednocześnie jego największego antagonisty ideologicznego, słowami z depeszy wysłanej w 1928 r. na obchody XXV-lecia Sekcji Turystycznej PTT: Różnił się w metodach, istota rzeczy była ta sama.



Adam Karpiński

Jako jedni z pierwszych

Dziś, gdy w Himalajach i Karakorum przebywa corocznie po kilkadziesiąt wypraw ze wszystkich nieomal zakątków świata, musimy zdać sobie sprawę, że choć przybyliśmy w te góry późno, to przecież jednak należymy w nich do pierwszych. I tak Polska Wyprawa w Garhwal w 1939 r. była nie tylko pierwszą wyprawą himalajską niealpejskiego narodu europejskiego, ale jako organizacja wysokogórska ubiegliśmy nawet niektóre kraje alpejskie.

Himalaizm od lat był domeną Brytyjczyków. Dwie były tego przyczyny. Karakorum i Himalaje leżały w jednym organizmie państwowym, nazywanym się Indiami i stanowiącym dominium brytyjskie. Cała administracja była w nim brytyjska. Brytyjczycy przyjeżdżali więc tu jak do siebie. Dużo się wspinali w tych górach urzędnicy tej administracji, a zwłaszcza wojskowi*. A ponadto Brytyjczycy mieli najstarsze tradycje nie tylko w alpinizmie, ale i w górskiej eksploracji pozaeuropejskiej. Wszystkie wyprawy szły od południa, Nepal i Tybet były zamknięte dla Europejczyków.

Pierwszy alpinista angielski przyjechał w Himalaje w 1883 roku. Potem pojawiali się inni. Jeżeli

nie liczyć krótkiego epizodu w Karakorum księcia Abruzzów z 1909 r., paru następnych arystokratów włoskich i osób innych narodowości, mających cele naukowe, a nie alpinistyczne, do r. 1928 wszystkie wyprawy w Karakorum i Himalaje były wyprawami brytyjskimi.

W 1929 r. ruszyli Niemcy, inaugurując swój himalaizm wyprawą na Kanczendzengę. W następnych latach atakowali inne szczyty, przede wszystkim Nanga Parbat. Oni jedni systematycznie odwiedzali potem te góry. W 1936 r. przybyli w Karakorum Francuzi, szturmując Gaszerbruma I (8068 m), ale już więcej tu się nie pokazali. Także w 1936 r. przyjechali Japończycy, którzy weszli na Nanda Kot (8661 m) w Himalajach Kumaonu, ale tak samo był to ich jedyny tu pobyt. Pierwsza wyprawa amerykańska zjawiała się w 1938 r., rozpoczynając serię ataków na K2 (8611 m) choć Amerykanie brali też udział w wyprawie brytyjskiej na Nanda Devi Główną (7816 m) w 1936 roku. Były też 2 wyprawy międzynarodowe, organizowane przez Güntera Oskara Dyhrenfurtha — w 1930 r. w Himalaje i w 1934 w Karakorum. Austriacy, Szwajcarzy i Włosi brali udział w wyprawach Dyhrenfurtha, a Austriacy oprócz tego w wyprawach niemieckich. W roku 1937 działał w Sikkimie niewielki zespół niemiecko-szwajcarski, ale pierwsza wyprawa szwajcarska miała miejsce dopiero w 1939 roku. I to byli wszyscy nasi niebrytyjscy poprzednicy, a ponadto na dwadzieścia kilka szczytów zdobytych w latach 1929–38 w Karakorum i Himalajach, zaledwie 8 przypada na te wszystkie wyprawy — pozostałe nadal były zdobyciami brytyjskimi. Szwajcarzy pierwszą swą prawdziwą wyprawę zorganizowali dopiero w r. 1947, Austriacy w 1954, a Włosi w tym samym roku, ale za to od razu na K2.

Ale nie trzeba też zapominać, że gdy w 1939 r. ruszaliśmy na Nanda Devi Wschodnią, Brytyjczycy już 7 razy atakowali Mount Everest, a inne narody próbowały wejść na Kanczendzengę, Nanga Parbat i K2.

Himalaje i Karakorum stały w 1939 r. wielkie i puste. Wielkie były odległościami, brakiem dróg i komunikacji lotniczej, rozmiarami samych masywów górskich. Era rozdrabniania szczytów na mniejsze formacje i nadawanie tym formacjom oddzielnych nazw była jeszcze daleko. Wyprawy w Himalaje i Karakorum były nieliczne i nie wyruszały co roku. Tylko trzy szczyty w Himalajach zdobyte przez człowieka przerastały Nanda Devi Wschodnią, żaden z nich nie wznosił się w Karakorum. Były to, najwyższy szczyt na świecie, na którym stanął człowiek, Nanda Devi Główna (7816 m), zdobyta przez brytyjczyków w 1936 r., Kamet (7756 m) pokonany w r. 1931 też przez Brytyjczyków i Dzonsang Peak (7483 m), na który weszli w 1930 r. Brytyjczycy i Niemcy, uczestnicy wyprawy Dyhrenfurtha. Oprócz tego Amerykanie zdobyli w r. 1932 Minyang Kangkar (7587 m, obecnie 7556 m) w Chinach, a w 1933 Jewgieni Abalakow samotnie osiągnął ówczesny Pik Stalina (7495 m), dziś Pik Kommunizma. Nanda Devi Wschodnia po wejściu na nią Polaków była więc szóstym co do wysokości szczytem świata zdobytym przez al-

pinistów, czwartym w Himalajach. A wszystkie te 6 szczytów uległo człowiekowi zaledwie od 1930 r., a więc w ciągu 9 lat.

Cel i środki

W tamtych czasach przed każdą organizującą się wyprawą stały zawsze dwa główne zadania: wybór szczytu oraz zdobycie środków finansowych. Oczywiście oba te problemy łączyły się z sobą. Wybór najpiękniejszego celu mógł być nierealny wskutek niemożności zebrania funduszy na dojście do niego. Jednym z najpoważniejszych wydatków wyprawy byli tragarze, a jak to wyglądało kiedyś? Pod Mount Everest i K2 maszerowano pieszo miesiąc, pod inne szczyty krócej. Ale cel trzeba było najpierw ustalić, a więc przeprowadzić odpowiednie studia. Wejść poprzedników nie było wiele i literatura alpinistyczna nie była jeszcze tak bogata, jak dzisiaj, a liczne zakątki Karakorum i Himalajów czekały dopiero na zbadanie. Ogromnym ułatwieniem w poszukiwaniu dziewiczych szczytów w Himalajach i Karakorum były publikowane od r. 1964 przez Dyhrenfurtha listy najwyższych szczytów w tych górach wraz z ich trabantami z zaznaczeniem, które są zdobyte, a które czekają na himalaistów. Posypały się wkrótce pierwsze wejścia na dziewicze szczyty i traby. Pozbawiono wtedy alpinistów jednego z wielkich uroków przy organizowaniu wypraw — studiów i wyszukiwania celu. Ale trudno mieć pretensję do Dyhrenfurtha,

praca jego była efektem postępu cywilizacyjnego, a ten burzy wiele uroków starego życia.

Co do celu polskiej wyprawy powstały przez tych 50 lat różne mity. Niektóre nasze publikacje podają, że miał nim być K2, lecz Brytyjczycy nie dali nam zezwolenia, wobec czego zadowoliliśmy się Nanda Devi Wschodnią. Tymczasem Adam Karpiński, inicjator i kierownik wyprawy, traktował ją jako przedsięwzięcie treningowe przed wyruszeniem na któryś z ośmiotysięczników, z których wtedy ani jeden nie był jeszcze zdobyty. Wiedział, że z pieniędzmi będzie kruch, wybrał więc Nanda Devi Wschodnią, która była położona stosunkowo blisko dróg, co znakomicie zmniejszało wydatki.

Przed drugim problemem, zdobycia funduszy, stoi i dziś każda wyprawa. Ale najtrudniej zawsze to przychodzi pionierom, gdy stawiają przed społeczeństwem czy też czynnikami miarodajnymi cel zupełnie dla nich niezrozumiały. Mimo pomocy Państwowego Urzędu WF oraz zarządu PTT, mimo że na czele Komitetu Organizacyjnego stał Aleksander Znamiecki, komisarzyczny dyrektor największych w Polsce zakładów włókienniczych „Scheibler i Grohmann” w Łodzi i mimo znacznych wkładów uczestników wyprawy, z których np. Bujak sprzedał samochód, aby móc wpłacić odpowiednią kwotę, pieniędzy zebrać nie było można.

Janusz Klarner

Budżet wyprawy wynosił ok. 30 000 zł. Brakowało 10 tysięcy. I nie byłoby I Polskiej Wyprawy Himalajskiej, gdyby nie Janusz Klarner. Był to młody wychowanek Politechniki Gdańskiej, wszechstronnie wysportowany, narciarz, żeglarz, ale nie taternik. Był synem zamożnych rodziców i zaoferował się z pokryciem brakującej kwoty w zamian za włączenie go do wyprawy. Karpiński i Komitet Organizacyjny stanęli przed dylematem moralnym i merytorycznym. Moralnym, bo mieliśmy już wielu alpinistów o dużym doświadczeniu, mających prawdziwe prawo do udziału w wyprawie, i merytorycznym — co pokaże w Himalajach człowiek praktycznie jadący po raz pierwszy w góry. Ale innego wyjścia nie było, gdyby nie pojechał Klarner, nie pojechałaby w ogóle wyprawa. Po debatach i sporach w Zarządzie KW, Klarner został zaakceptowany. Zresztą z tego samego powodu I Niemiecką Wyprawę na Nanga Parbat w 1932 r. finansowała głównie Amerykanka miss Elisabeth Knowlton i sama brała w niej udział, choć nie była alpinistką. Należała zresztą do nielicznych uczestników, którzy doszli do najwyższego V obozu.

Klarner pojechał w ziemie dla treningu w Tatrach z Bujakiem i Karpińskim, wchodząc z Doliny Suchej na Lodowy Szczyt. A później rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania: nie tylko okazał się doskonałym himalaistą, ale stał się jednym z dwóch zdobywców Nanda Devi Wschodniej. Była to epoka, kiedy na szczyty himalajskie wchodziło najłatwiejszymi drogami i techniczne trudności tych dróg nie były duże. Potwierdziło się znów zdanie, że w alpinizmie główną rolę odgrywa czynnik psychiczny.



Na grani Śnieżnej Kopy

Literatura nasza przytacza często wypowiedź Tenzinga, współzdobywcy Mount Everestu, że jego najtrudniejszą w życiu drogą był nie Everest, lecz droga Polaków na Nanda Devi Wschodnią. Jest to zdanie przyjemne, ale mające znaczenie tylko dla popularnej opinii społecznej. Tenzing, choć współzdobywca najwyższego szczytu Globu, nie był alpinistą w pełnym rozumieniu tego pojęcia, był według słów Edmunda Hillarygo „zapalonym i wytrwałym rebaseczem stopni śnieżnych”. Nie ulega jednak wątpliwości, co zresztą wynika także z doświadczeń niedawnej wyprawy polsko-indyjskiej, że wejście na Nanda Devi Wschodnią nie było tylko rabaniem stopni w śniegu.

Wyprawa III klasy

Nie było wtedy ekwipunku puchowego czy lin z włókien sztucznych. Nawet na Mount Everest ubierano się w grube swetry, marynarki i skafandry z kapturem z nieprzemakalnego płótna. Karpiński od początku swego taternictwa zajmował się projektowaniem wyposażenia taternickiego. Projektował namioty, ubrania, buty. Nie było w Polsce firm specjalizujących się w tej dziedzinie. Karpiński odkrył małą firmę żydowską „Kera” na Tarczyńskiej w Warszawie, która m.in. szła namioty dla harcerzy. Namówił ją w r. 1933 do uszycia namiotów według jego projektu dla wyprawy andyjskiej. Teraz „Kera” szła namioty, skafandry i śpiwory dla I Polskiej Wyprawy Himalajskiej. Buty jednak sprowadzono z Wiednia.

Pierwszy wyjechał do Indii Karpiński. Płynął z Wenecji do Bombaju statkiem. Były to początki komunikacji lotniczej na świecie i była ona bardzo kosztowna, a każda wyprawa wiozła przy tym kilka ton bagażu. Toteż wszystkie płynęły statkami — jeszcze w 1953 r. zwycięska wyprawa brytyjska na Everest korzystała z tego środka transportu. Jedynie Amerykanie już w r. 1938 i 1939 idąc na K2 przylecieli z Nowego Jorku do Indii samolotami.

Przypadek zrzucił, że płynąłem z Wenecji do Bombaju razem z Karpińskim. Udałem się na kontrakt do Afganistanu i płynąłem klasą II, tzw. turystyczną. Karpiński wziął najtańszą klasę III. Statek był przepełniony uchodźcami żydowskimi, opuszczającymi Niemcy, Austrię i Czechosłowację przed Hitlerem. Klasa III płynęła biedota żydowska i kolorowi, kabiny były wieloosobowe i brudne, a rodziny pasażerów pełne małych dzieci. Bombaj zwiędzaliśmy jeszcze dwukołową dorożką, a potem rozstaliśmy się. Były to końcowe dni kwietnia.

Akcja

Karpiński pojechał do Almory przygotowywać wymarsz w góry. Pozostali uczestnicy wyprawy przybyli tam 11 maja. Zjawili się też zakontraktowani Sierpowie. Marsz zajął 12 dni. 25 maja rozbito obóz pod Nanda Devi Wschodnią. Przyszły atak monsunu, 11 czerwca zaczął się atak na szczyt, w którym brali udział wszyscy uczestnicy wyprawy. W czasie akcji wycofali się Bernadzikiewicz i Karpiński. 2 lipca 1939 r. o godzinie 17.50 na wierzchołku Nanda Devi Wschodniej (7434 m) stanęli Bujak i Klarner.

Likwidacja obozów i bazy trwała do 8 lipca, po czym cała wyprawa przeszła, zgodnie z ułożonym

przedtem programem, do doliny Milam w celu zaatakowania nie zdobytego szczytu Tirsuli o trzech odległych od siebie wierzchołkach — 7150, 7074 i 7035 m. Jako cel wybrano na początek Tirsuli II. Zaczęto zakładać obozy. 18 lipca Bernadzikiewicz



Janusz Klarner

wicz i Karpiński założyli obóz III. W nocy z 18 na 19 lipca ogromna lawina, która zeszła z Tirsuli II, zmiotła obóz, grzebiąc na zawsze obydwu alpinistów.

Tragiczne losy

Czy wobec ich śmierci, najbardziej tragicznego losu, jaki może spotkać człowieka w górach, można mówić o innym jeszcze dramacie? Zwykły człowiek, człowiek nizin, nie zrozumie tego, ale alpinista dojrzy tu nadto ogromny dramat osobisty Adama Karpińskiego, inicjatora, organizatora i kierownika wyprawy, i to wyprawy zwycięskiej. Karpiński, prekursor naszych dzisiejszych sukcesów himalajskich, prawie od swego zetknięcia się z górami, marzył o Himalajach. Już w 1924 r., kiedy taternictwo polskie nie odbudowało się jeszcze po pierwszej wojnie światowej, on już orga-

In 1989 Polish mountaineers celebrated the 50th anniversary of the First Polish Himalaya Expedition which succeeded in climbing the virgin Nanda Devi East (7434 m) in the Garhwal. The difficult top was reached on 2 July 1939 by Jakub Bujak and Janusz Klarner. The party moved then to the virgin Tirsuli (7120 m) where a night avalanche killed the leader of the light-weight expedition, Adam Karpiński, and the 4th member, Stefan Bernadzikiewicz. Dr Bolesław Chwaścinski (82), author of several mountaineering books, summarizes the happy and tragic events bringing to light a number of unknown historic details.

nizował wyprawę na Mount Everest. Były to co prawda nierealne marzenia młodzieńcze, Nepal i Tybet nie wpuszczały cudzoziemców, mało prawdopodobne byłoby nawet nawiązanie kontaktu z tymi krajami. Panami sytuacji w tej części Azji byli Brytyjczycy, a ci nigdy nie dopuściliby obcych pod najwyższy szczyt świata, rezerwując ten cel dla siebie. Ale Karpiński nawet w zrujnowanej po I wojnie światowej Polsce potrafił zabezpieczyć sobie stronę finansową przedsięwzięcia. Nic z tego nie wyszło, nawet bez udziału Brytyjczyków, bo mający sfinansować wyprawę przemysłowiec, szklarz-ekscentryk, zbankrutował. Ale śmiałość myśli pozostała. Karpiński pisał też do Anglików, aby go wzięli na wyprawę na Mount Everest jako bezpłatnego tragarza. Dostał grzeczną lecz odmowną odpowiedź. Na zimowych wyprawach w Tatrach wypróbowywał sprzęt i ekwipunek, zaprojektowany przez siebie z myślą o Himalajach, a uszyty w domu przez żonę, Wandę Czarnocką-Karpińską, towarzyszące jego eskapad górskich. Swoją rolę w I Polskiej Wyprawie Andyjskiej w latach 1933–34 też traktował jako przygotowanie się do najwyższych gór świata. Warto też dodać, iż Karpiński należał do alpinistów wymagających raczej długiej aklimatyzacji. W r. 1934 nie zdążył się zaaklimatyzować, aby wejść na Aconcagua, w r. 1939 — aby stanąć na szczycie Nanda Devi Wschodniej...

Nie mniej tragicznie potoczyły się losy pozostałych uczestników wyprawy. Bujak i Klarner 23 sierpnia wypłynęli z Bombaju statkiem do Europy. Na Morzu Czerwonym doszła ich wieść o wybuchu wojny. W Port Saidzie zeszli 4 września na ląd i 11 września przez Rumunię dotarli do Lwowa. Bujak nie zdążył się spotkać z rodziną, która znajdowała się wtedy w Tarnowskim i ruszył z powrotem

przez Rumunię i Francję, by znaleźć się w końcu na Wyspach Brytyjskich. Utrzymywał bliski kontakt z taternikami tam przebywającymi, wspinał się z nimi w górach Walii i Anglii. Wybierał się ze mną w góry Szkocji, ale coś tam stało na przeszkodzie. Został członkiem Alpine Clubu, byłem z nim razem na obchodach 85-lecia tej organizacji. Utonął 5 lipca 1945 r. w Kanale La Manche przy brzegach Kornwalii, a woda ciała nie oddała (szczegóły: T. 2/75 s.94).

Klarner dotarł do Warszawy, brał udział w powstaniu warszawskim, w którym był ranny w ramię. W marcu 1947 r. wspinał się w Tatrach, wszedł ze mną na Żabi Szczyt Niżni od Czarnego Stawu. 17 września 1949 r. wyszedł w Warszawie na chwilę z domu i losy jego do dziś nie są znane, ani społeczeństwu, ani najbliższej rodzinie.

Pozostało po nich I wejście na Nanda Devi Wschodnią, nie tylko jako kamień milowy polskiego alpinizmu, ale też jako trwały składnik naszej ogólnonarodowej kultury.

PRZYPISY REDAKCJI

* Nazwą Kumaon objęta jest wschodnia część Himalajów Garhwalskich, od rzeki Kali na granicy Nepalu — po rejon Dunapura na zachodzie. „Kumaon is often confused with the other parts of Garhwal — indeed there is no official border to demarcate the region”, pisze Harish Kapadia (1990).

** Ciekawe, że ciążenie alpinistów brytyjskich ku indyjskiej części Himalajów utrzymuje się nadal. Z 80 do 100 zagranicznych wypraw rocznie, 20 do 25 przybywa z Wielkiej Brytanii. W Nepalu czy Pakistanie jest ich nie więcej, niż 5–7%.

WOJCIECH ŚWIECICKI

BETLEJEMSKIE GWIAZDY

Nie trzeba być przesadnie bystrym obserwatorem, aby zauważyć, że kilkadziesiąt ostatnich lat przyniosło niebywałe wręcz zmiany w tej tak ekscentrycznej dziedzinie aktywności ludzkiej, jaką jest wspinaczka górską. Dość powiedzieć, że termin „alpinizm” utracił swoje uniwersalne znaczenie, a obok niego pojawiły się całkiem nowe dyscypliny. Zmienił się także stosunek do gór i samej wspinaczki, co można przekonać skwitować słowami, że elitaryzm się umasowił, a heroizm sporfesjonalizował.

Nowy styl, nowe potrzeby

Proces zmian nie ominął też środowiska instruktorskiego. Nawet gołym okiem widać, że szkoli się dziś inaczej, niż przed laty. Inne są wymagania stawiane instruktorom, inny też jest styl ich pracy. Nie oznacza to jednak, że instruktorstwo nowego typu wyrosło „na kamieniu”. W rzeczywistości sięga ono do dobrej tradycji poprzednich pokoleń, kiedy w cenie były partnerstwo, życz-

liwość i nacechowany wrażliwością stosunek do świata przyrody. Nie trzeba szerzej uzasadniać, że są to wartości, które koniecznie należy ocalić. Bez nich góry byłyby tylko rebufatowską „cudowną kupą kamieni”, niczym więcej.

Drugą stroną medalu tworzą rosnące wciąż wymagania techniczne. To zrozumiałe, że atakując coraz trudniejsze cele trzeba się lepiej wspinać, lepiej asekurować czy przyjmować coraz to bardziej wymyślne założenia taktyczne. Ażeby wychowankowie mogli sprostać tym nowym wyzwaniom, instruktorzy muszą nauczać w sposób nowoczesny, dostosowany do dzisiejszego oblicza sportów górskich.

Jak zatem wygląda polskie szkolenie górskie końca XX wieku? Po pierwsze, na mocy obowiązujących przepisów nastąpiła całkowita monopolizacja szkolenia podstawowego przez licencjonowanych instruktorów. Nauczanie wspinaczki na kursach skałkowych i kursach tatrzańskich stało się wyłączną domeną instruktorów PZA. Widuje



Widok spod „Betlejemki”

Fot. Kazimierz W. Olech

się wprawdzie sporadycznie osoby, które prowadzą szkolenie bez stosownych do tego uprawnień, ale powiedzmy sobie szczerze — rzadko kiedy ich praca ma coś wspólnego z dobrym instruktazem, nie mówiąc już o tym, że jest ona poza prawem. Wbrew pozorom, szkolenie początkowe stanowi proces trudny i złożony, w którym chodzi głównie o wpojenie i utrwalenie podstawowych nawyków, mających stanowić fundament dla kształtowania dalszych umiejętności. Niekompetentne nauczanie w tym stadium procesu dydaktycznego przynosi zwykle więcej szkody, niż pożytku — nawet przy najlepszych intencjach „nauczyciela”.

Cały powyższy wywód nie oznacza bynajmniej, że tak zwane szkolenie koleżeńskie powinno trafić na śmietnik historii taternictwa. Wręcz przeciwnie, pozostaje ono nadal ważnym elementem edukacji wspinaczkowej, jednakże dopiero na etapie dochodzenia do mistrzostwa sportowego. Wystarczy zauważyć, że wszelkie poradnictwo czy zabranie kogoś mniej wprawnego na wspólną wspinaczkę niesie z sobą wartościowe wątki szkoleniowe. Rzecz w tym, aby „mistrz i nauczyciel” potrafił dobrać stosowne cele do umiejętności swojego podopiecznego. Warto tutaj zapamiętać podstawową zasadę, że trudno się czegoś nauczyć walcząc o życie.

Instruktorzy

Wróćmy jednak do instruktorów PZA. Prosta analiza statystyczna ujawnia, że kariery górskie współczesnych nauczycieli wspinania są wyraźnie barwniejsze, niż to było 20 czy 30 lat temu. Nie chodzi tylko o to, że wzrosły wymagania formalne, niezbędne do uzyskania stopnia taternika zwyczajnego. Sedno tkwi raczej w relatywnie łatwiejszej dostępności rejonów górskich innych, niż Tatry, co sprawia, że większość instruktorów może poszczy-

cić się wcale interesującym dorobkiem z wielu gór świata. Wprawdzie mało kto wybiega poza ramy tzw. standardów, z drugiej jednak strony jeszcze całkiem niedawno wiele z owych standardów mogło uchodzić za sportowe hity. Dlaczego o tym pisać? Otóż z paroletnich obserwacji w COS PZA wynika, że istnieje dość wyraźna zależność pomiędzy dorobkiem górskim a kwalifikacjami stricte instruktorskimi. Instruktorzy z bogatym doświadczeniem szkołą na ogół ciekawiej i z większym rozmachem. Nic w tym dziwnego, skoro mogą mieć odpowiedni dystans do „technicznych i logistycznych” problemów dróg szkoleniowych. Spostrzeżenie to stanowi cenna wskazówka, aby w przyszłości jeszcze bardziej zwiększyć wymagania wstępne, stawiane przed przyjęciem na kursy instruktorskie.

Szkolenie instruktorów jest realizowane poprzez kursy I i II stopnia. Ich celem jest przede wszystkim ujednolicenie umiejętności technicznych oraz przyswojenie zasad nauczania. Sądząc po innych „uczelniach” podobnego typu, kursy instruktorskie organizowane przez PZA powoli osiągają poziom, którego można się już nie wstydić. Niemala w tym zasługa kadry wykładowców, którzy z dużą znajomością rzeczy adaptują do polskich warunków najciekawsze zdobycze renomowanych szkół zachodnich. Szkoda tylko, że grono wykładowców ogranicza się do zaledwie kilku osób, co stanowi jedną z najpoważniejszych bolączek Komisji Szkolenia PZA. Kształcenie nowej kadry przebiega niezwykle powolnie, ale też nie ma w tym nic dziwnego, skoro wymaga się najwyższych kwalifikacji, daru jasnego wykładania, serca do nauczania, czy wreszcie — wolnego czasu.

Sluchacze kursów instruktorskich nie mogą narzekać na brak zajęć. Oprócz 10-dniowego maratonu wykładów i zajęć praktycznych czekają ich jeszcze egzaminy oraz obowiązkowe referaty na

tematy związane z szeroko rozumianą problematyką szkoleniową. Trzeba z satysfakcją stwierdzić, że przynajmniej połowa tych opracowań stanowi interesujący materiał dydaktyczny, który powoli składa się na biblioteczkę wiedzy instruktorskiej.

Ważna rola COS

Oprócz szkolenia teoretycznego, kandydaci na instruktorów muszą jeszcze przejść staże szkoleniowe w ramach kursów tatrzańskich, organizowanych przez COS PZA. Trzeba stwierdzić, że „Betlejemka” jako kuźnia kadr instruktorskich oraz ośrodek szkolenia taternickiego ciągle utrzymuje dobrą reputację, do czego w gruncie rzeczy zobowiązuje sztyt PZA. Co jednak być może ważniejsze, spełnia ona funkcję ośrodka centralnego, który potrafi poprzez angażowanych tam instruktorów promieniować na styl szkolenia w poszczególnych klubach. „Betlejemka” oferuje nie tylko dach nad głową i dobry sprzęt, ale także przemyślane programy szkolenia oraz pełną ich realizację. Sądząc po wypowiedziach bywających w „Betlejemce” wspinaczy z zagranicy, umiejętności techniczne absolwentów kursów tatrzańskich przewyższają znacznie poziom nawet zaawansowanych wspinaczy na Zachodzie. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy tkwi zapewne w tym, że np. w Niemczech kursanci mogą oglądać jedynie plecy swojego instruktora, gdy tymczasem u nas uczy się adeptów trudnej sztuki prowadzenia w każdym terenie.

Szkoląc w „Betlejemce” instruktorzy spełniają jednocześnie formalny obowiązek doskonalenia swoich umiejętności pedagogicznych, co stanowi podstawę do prolongaty ich uprawnień. Istniejące do niedawna kursy unifikacyjne dla instruktorów nie są już kontynuowane, ponieważ nie spełniały pokładanych w nich nadziei. Decyzja Zarządu PZA co do tej kwestii wydaje się ze wszelkich miar słuszną, gdyż trudno było w ciągu zaledwie kilku dni „odkurzyć” całą wiedzę instruktorską, zwłaszcza, jeśli ktoś nie uczestniczył w pracach szkoleniowych od kilku lat.

Edukacja klubowa i prywatna

Kandydaci na taterników nie są, oczywiście, skazani na szkolenie scentralizowane. Organizowane są także kursy klubowe, szkoda jednak, że znajdują na nie czas i siły tylko nieliczne kluby. W tak zwanym odwodzie pozostaje jeszcze szkolenie indywidualne, prowadzone prywatnie przez instruktorów. Nie można jednak nie zauważyć, że o ile kursy klubowe stoją na ogół na dość przyzwoitym poziomie, o tyle szkolenie prywatne często pozostawia wiele do życzenia. Przyczyna tkwi, jak zwykle, w ułomnościach natury ludzkiej. Apogeum nierzetelnego szkolenia miało miejsce latem 1987 roku, co skłoniło Prezesa PZA do opublikowania na łamach „Taternika” cierpkiego artykułu na ten temat. Dalszą konsekwencją były dwa posunięcia, które — jak się wydaje — rozwiązały ten przykry problem. Utworzono mianowicie przy COS PZA Biuro Instruktorów, gdzie szkolący prywatnie instruktorzy muszą rejestrować prowadzone kursy, oraz — co być może było nawet ważniejsze — zo-

bligowano wszystkich kursantów szkolonych prywatnie do zdawania egzaminu przed Centralną Komisją Egzaminacyjną przy COS PZA.

Funkcje kontrolne Komisji Szkolenia PZA przejawiają się także w obserwowaniu pracy poszczególnych instruktorów oraz w rutynowej weryfikacji uprawnień instruktorskich. Niestety, spora część instruktorów starszego i średniego pokolenia wzięła rozbrat z pracą szkoleniową, co w myśl



„Rektor” COS Bogumil Slama

obowiązujących przepisów pociągnęło za sobą zawieszenie ich uprawnień. W ciągu ostatnich 4 lat te skądinąd przykre restrykcje dotknęły niemal 50 instruktorów, a przynajmniej 20 dalszych znajduje się w stanie zagrożenia. Może to oznaczać zmniejszenie liczby instruktorów do około 150 osób. Wypada więc przypomnieć, że warunkiem przywrócenia zawieszonych uprawnień jest odbycie stażu szkoleniowego w COS PZA, do czego pozwalam sobie Kolegom Instruktorów gorąco zachęcić.

Problemy instruktaztu skałkowego

Wartą odnotowania nowością jest postępująca profesjonalizacja zawodu instruktorskiego. Rozrasta się bowiem kadra nauczycieli wspinania, dla których praca szkoleniowa staje się jednym z podstawowych źródeł utrzymania. Pojawiły się ponadto, i to w przeciągu niespełna roku, prywatne szkoły wspinaczkowe. Jest ich obecnie sześć, z czego połowa aspiruje — przynajmniej na razie — tylko do szkolenia w skałkach. Zgodnie z decyzją Zarządu PZA, działalność tych szkół nie podlega jurysdykcji Związku, natomiast kontrolą merytoryczną objęci są zatrudnieni w nich instruktorzy. Patrząc na powstające szkoły wspinaczkowe można wyrazić nadzieję, że działając w duchu zdrowej konkurencji osiągną one poziom godny miana zawodowstwa i przejmą z czasem funkcje szkoleniowe od klubów, w których ta działalność najwyraźniej kuleje.

Wiele ciekawych rzeczy dzieje się w szkoleniu skałkowym. Na podstawie wiarygodnych źródeł liczbę szkolonych corocznie na kursach skałkowych można oszacować na około 300 osób. Nawiasem mówiąc, z tej rzeszy przez różne formy szkolenia tatrzańskiego przechodzi prawie 200 osób, z czego około 100 w ramach kursów centralnych w „Betlejemce”. Powszechnie obserwowanym zjawiskiem jest mobilizacja klubów do organizowania kursów skałkowych i wyraźny spadek ich aktywności (i efektywności) przy szkoleniu tatrzańskim. Na taki stan rzeczy ma wpływ wiele czynników, przy czym dominującym wydaje się brak czasu na działalność szkoleniową w pełni sezonu wakacyjnego.

W szkoleniu skałkowym zmagają się dwie tendencje. Część instruktorów szkoli w sposób tatrzański, inni natomiast przyjmują skałkowe reguły gry. Nie rozstrzygając tutaj, która z metod jest lepsza, należy stwierdzić, że poziom szkolenia skałkowego nie dorównuje poziomowi szkolenia tatrzańskiego. Jedną z głównych przyczyn tkwi zapewne w tym, że nawet wzorowa aspirantura w Tatrach w ogóle nie uczy metodyki instruktora skałkowego. Dlatego też Komisja Szkolenia PZA nosi się z zamiarem organizowania dla początkujących instruktorów taternictwa obowiązkowych staży w skałkach.

Całkowitą nowością stanowią kursy dla instruktorów skałkowych, organizowane przez Komisję Skałkową PZA. W zamyśle ma powstać kadra instruktorów skałkowych, których zadaniem będzie zarówno nauczanie podstaw wspinania, jak i przygotowywanie do wspinaczki sportowej. Jak każda nowa idea, tak i ta jest urzeczywistniana w drodze prób i błędów, ale widać już konkretne rozwiązania, które warto są dalszej kontynuacji. Za naj-

cenniejszą, jak na razie, innowację należy uznać wizytowanie kursów skałkowych, gdzie na podstawie konkretnych przykładów z życia stażyści mogą analizować błędy popełniane zarówno przez kursantów, jak i instruktorów.

Warto też poświęcić kilka słów zdarzającym się, niestety, w trakcie szkolenia wypadkom. Ze względu na dostępność danych, stosunkowo łatwa jest analiza sytuacji w COS PZA. Okazuje się, że statystycznie biorąc, jedno odpaśnięcie przytrafia się na około 500 godzin wspinaczki, zaś uraz wykluczający dalsze uczestnictwo w kursie — raz na 1500 godzin. Przykładając miarę żywota statystycznego polskiego taternika, jest to doprawdy niewiele. Podobnie rzecz ma się w skałkach, choć brak tutaj dokładniejszych danych. Paradoks polega jednak na tym, że urazy skałkowe są na ogół poważniejsze i, co zastanawiające, są one zwykle wynikiem odpaśnięć na drugiego. Wzmiankowane przypadki stanowią sygnały do przesięgnięcia szczególnych zasad ostrożności przy szkoleniu, co oczywiście nie zmienia faktu, że wypadków całkowicie uniknąć się nie da. A zresztą, jak zauważył kiedyś Sir John Hunt, nadmierne bezpieczeństwo zabija ducha sportów górskich. Coś w tym jest. Być może, ktoś potrafi nauczyć wspinaczki bez najmniejszego nawet ryzyka, ale śmiem wątpić, czy jego wychowanek stanie się kiedykolwiek w pełni samodzielnym wspinaczem.

Maj 1991

Autor urodził się w roku 1952, wspinaczkę uprawia od 20 lat (Tatry, Alpy, góry USA). Starszy instruktor PZA. Wyszkołił więcej niż 100 kursantów i przeszło 50 instruktorów. Od 1981 członek Zarządu PZA. Od wiosny 1991 pełni funkcję szefa wyszkolenia Związku. Hobby: córka.

GRZEGORZ GŁĄZEK

Letnie wiadomości z Tatr Polskich 1990

To lato doprowadziło do skompletowania potworzeń niemal wszystkich najtrudniejszych dróg klasycznych. Zapisze się ono chyba jeszcze i tym, że po raz pierwszy od 12 lat nie zanotowano żadnego znaczącego odhaczenia, za to uczciwie „napoczęto” — jak najbardziej fair — ukłasyzowanie wariantu R na Mnichu. Największe sukcesy klasyczne są udziałem wspinaczy, którzy ostatniej zimy często używali sztucznych ścianek wspinaczkowych.

Szczegóły można wyczytać w wykazie, ale tu od razu wymienię osoby, których nazwiska przy najciekawszych przejściach klasycznych powtarzają się niemal do znudzenia. Są to — może w takiej właśnie kolejności — Stanisław Piecuch (Katowice), Janusz Gołąb (Gliwice), Piotr Drobot (Tarnów), Mariusz Smolarski (Kraków) oraz Paweł Mieszkowski (Warszawa).

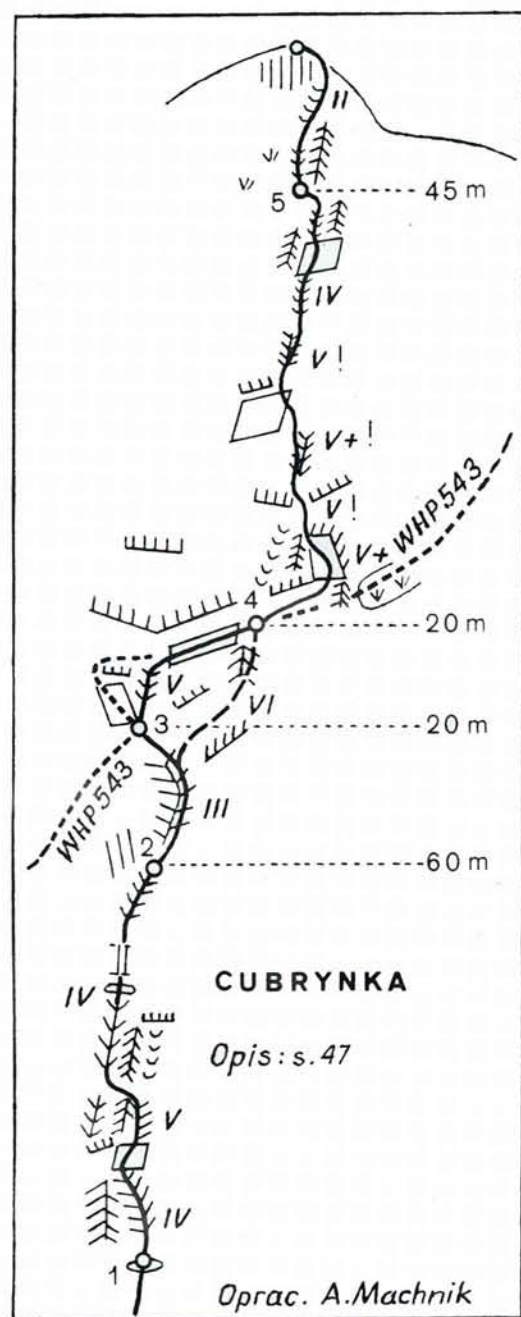
Wspomnieć warto jeszcze o tatrzańskiej pogodzie, uniemożliwiającej kalkulowanie okresu „do-

chodzenia do formy”. Dość powiedzieć, że wszystko, co ważne, wydarzyło się w pierwszym tygodniu i ostatniej dekadzie sierpnia, oraz w początku października. Kto przyjechał we wrześniu, ten nie miał żadnych szans błysnąć przejściem klasycznym (śnieg powyżej 1500 m).

Największym przebojem sezonu było połączenie wariantu Baryły i Stonawskiego z drogą Łapińskiego (oryginalnie) i Zacięciem Kosińskiego na Mnichu. Dokonali tego Drobot i Smolarski, w tym samym dniu rozpoznając ze zjazdu „Baryłę” (TB 3/90 s.17). Połączenie to ma 140 m wysokości i 5 wyciągów, z czego 4 o trudnościach VII–VIII.

Konkurencyjny zespół, w dwudniowych odstępach, powtórzył sam wariant Baryły, poprawiając styl przejścia. Przy okazji, chyba po raz pierwszy w naszych górach, pojawił się delikatny problem „OS po śladach magnezji”. Faktem jest, że po pierwszym deszczu zanotowano tylko jedną nieudaną próbę, a potem już nikt się nawet nie przymierzał,

ale też jeszcze przed deszczem inny zespół „zgubił ślady” i nie trafił na wariant klasyczny rysa w końcowym zacieciu.



Inny ciekawy i naturalny ciąg trudności to sąsiednie „Hiperkancie”, również otworzone przez Drobota i Smolarskiego. Ma ono także wysokość ok. 140 m i 5 wyciągów, z czego cztery o trudnościach VI+ do VII. Poza tym na Mnichu kolejnych przejść klasycznych doczekały się inne naj-

trudniejsze drogi: „Łapiński oryginalnie” (przejsia 6–8) i droga Wachowicza (przejsia 9–12, w tym jedno OS). Rangę problemu osiągnęła też nie powtórzona droga „2+1” z 1988 r., która oparła się kolejnym dwóm próbom (efekt zbyt niskiej wyceny) i której trudności należy prawdopodobnie podnieść do poziomu „dziewięćce VII+”.

Na Kazalnicy powtórzono wszystkie najtrudniejsze drogi — z jedynym wyjątkiem „UF0” (które było tego lata mokre i zanotowało tylko jedną próbę — 1xAF). Wymienić trzeba przede wszystkim: nareszcie dokonane bez żadnych „ale” drugie klasyczne przejście całej drogi Heinricha i Chrobaka (VII+/VIII-) oraz trzecie klasyczne drogi Drosta (VII+). Inne słynne drogi i kombinacje też miały swoje czwarte czy siódme powtórzenia klasyczne (wprawdzie „Filar z trawersem Wielkiego Okapu” i „Kielkowski z trawersem okapu Y” miały tylko drugie przejścia, ale należy pamiętać, że najtrudniejsze fragmenty tych dróg są częściami równorzędnych i bardziej uczęszczanych kombinacji).

Do wymienionych przejść należy dorzucić pojedyncze powtórzenia niestandardowych dróg VII, VII- i „ekstremalne VI+”. Ciekawostką jest też spora skuteczność kilku zespołów w łączeniu paru naprawdę odpowiedzialnych wspinaczek jednego dnia. W kategorii „VIII-” najlepsza była tu sekwencja „Łapiński oryginalnie + Wachowicz” na Mnichu. Imponuje też przejście najpierw solidnej hakówki („Saduś”) i potem „siódemki” (Kant Hakowy). Najbardziej spektakularne zamierzenia w kategorii „VI-VII” jednak nie powiodły się.

Za przyczyną tego lata, wszystkie dotychczasowe trudne drogi klasyczne (mocne VII/VII+ i więcej) miały powtórzenia i niewiele kryją już tajemnic. Możliwe też jest dość precyzyjne porównywanie najbardziej wymagających dróg — np. Mariusz Smolarski na bieżako zna niemal wszystkie drogi i warianty VII–VIII w otoczeniu Morskiego Oka. Wiadomo też wreszcie na pewno, że standardowy czas przejścia klasycznego „bez znajomości” najtrudniejszych dróg na Kazałnicy wynosi 8–10 godzin (przy rekordowych czasach 2–3 razy krótszych).

Wydarzeniami były też klasyczne przejścia solowe na Mnichu. Paweł Mieszkowski pokonał „Międzyzmiastową” bez asekuracji w 12 minut (VI/VI+), a Piotr Drobot — drogę Fereńskiego z autoasekuracją (VII/VII+, OS). Pierwszą i najpoważniejszą próbę uklasycznienia wariantu R przeprowadził Stanisław Piecuch z Wojciechem Dronką. Idąc od dołu (A0/AF) rozpoznali oni wszystkie trudne miejsca na płycie i w okapie. Trudności techniczne najtrudniejszych miejsc (ale nie ciągów) mają się mieścić w granicach VIII+. Potwierdza to Krzysztof Pankiewicz, który dotarł tylko do okapu.

Warto też wspomnieć o „urwaniu” odosobnionego punktu A0 na drodze Momatiuka na Kałanicy, chociaż zasadniczy ciąg trudności, VIII, 3xA0, pozostaje nienaruszony.

Ważne przejście hakowe było tylko jedno, na Kazalnicy: pierwsze letnie drogi Kozackiewicza i Marcisza z zimy 1982 („Wish You Were Here”). Nawiasem mówiąc, uczestnik tego przejścia, Edward Tomaszek, imponuje sporą liczbą pierwszych powtórzeń podobnie niewdzięcznych „letnich horrorów”.

W Tatrach Zachodnich również powtórzono najtrudniejsze drogi. Z „Hematytówką” (IX-) i „Trawersem Międzyimiastowej” (VIII+) uporali się Piecuch i Gołąb, poświęcając każdej z dróg jeden dzień (RP — bez znajomości). Wspinali się ze zmiennym prowadzeniem, przy czym dwa najtrudniejsze pasaże — po wspólnym walcie — przeprowadził Piecuch. Dalsze siły tego zespołu pochłonięły próby odhaczenia drogi Narożniaka i Wolfa na Raptawickim Mnichu. Idąc od dołu (AF/A0, potem wędka) opatentowali kluczowe trudności i sugerują ocenę IX/IX+.

Powtórzono jeszcze inne drogi VIII-, pozabawiając je tajemnicy. Próby odhaczenia doczekała się też droga Kielkowskiego na Raptawickiej Turni (Marcin Kacperek przeszedł na drugiego kluczowy wyciąg, i według niego jest to coś takiego, jak droga „Montokwas” w skałkach — czyli VI.5!).

Przyzwrotnych nowych dróg powstało ok. ośmiu, wszystkie klasyczne lub „niemal klasyczne” (pojedyncze miejsca AF/A0) i wszystkie robione od dołu. Większość z nich zawiera 2- do 3- wyciągowe płytowe odcinki VI, VI+.

Najciekawsza jest tu 100-metrowa droga Wolfa na Kościelcu, rozwiązująca lekko przewieszony płaty pomiędzy drogą Z. Dziedzielewicz a drogą Jungera. Co ciekawe, Jan Wolf — wyrosły z dawnej tradycji, legitymujący się certyfikatem AWF trener alpinizmu — dał się poznać jako zwolennik walki o klasyczną drogę w dziewczyczych płytach, bez znajomości. Osiągnął tym razem ciagi VII, kilka razy AF (z powodu osadzania asekuracji ze „skyhooków”).

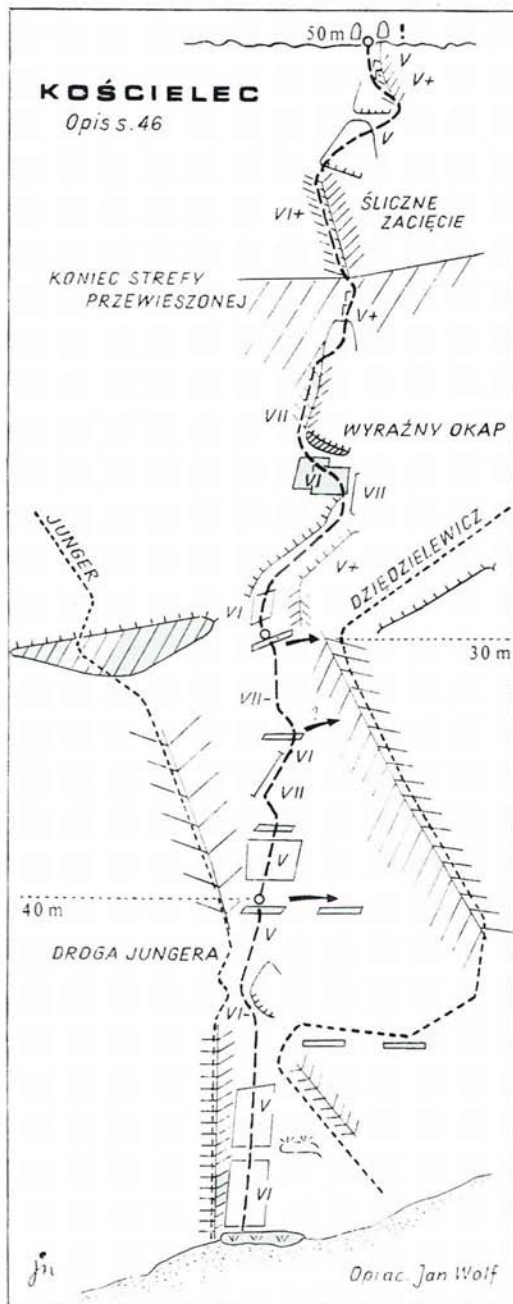
Niemal już tradycyjnie, trudną drogę wytyczył także Maciej Tertelis (krótkie VII+ OS na Kopie Spadowej).

Szczególne przygodę stanowiło przejście grani Tatr Wysokich, OS, ściśle granią, na zasadzie „grań to grań”. Przejście to jest ważne, bowiem od czasu rekordowych wyczynów z lat siedemdziesiątych (całe Tatry samotnie w 3 i w 3 1/2 dnia) nauczyliśmy się rozumieć, ile znaczy znajomość drogi czy opis patentów w kłopotliwych miejscach, oraz co mogą oznaczać „nieznaczne ominięcia” trudnych odcinków.

W podsumowaniu można stwierdzić, że w polskiej części Tatr Wysokich o istniejących trudnych klasycznych drogach wiadomo już niemal wszystko, a pociągających możliwości odhaczeń jest zaledwie kilka. Pojawia się problem — kto i jak będzie chciał robić nowe drogi, stanowiące sensowne wyzwania klasyczne.

Jedni, w których zasięgu jest VIII i IX, na razie jakby nie chcą się zabierać za robienie nowych dróg, zwłaszcza od dołu — wolą teren jakoś przygotowany, np. rozpoznany hakowo przez innych.

Inni, idąc od dołu, na nowych drogach osiągnęli VII/VII+. Oczywiście, można powiedzieć, że nasze Tatry, ze swoją pogodą i zacienionymi ścianami, pełnią rolę drugo- albo i trzeciorzędnej dla ekstremalnej wspinaczki klasycznej. Ale i taka opinia prowadzi do pytania o preferowany styl otwierania nowych, najtrudniejszych dróg klasycznych. Czy ma być on przede wszystkim łatwy dla przygotowujących drogę? Czy też np. ma on zawierać w





Widok ze Skrajnego Granatu

sobie naturalny mechanizm, dzięki któremu każdy spł, każda przyspieszona ingerencja w skałę, będą głęboko przemyślane. W pewnym sensie ostrzeżeniem może być też mikro-odhaczenie ospitowanego odcinka popularnej drogi „Seul 88”, wytyczonej 2 lata temu w zjeździe (5-metrowy wariant VIII—, dawniej VII+ 2xA0 w spitach).

NOWE DROGI

Czuba nad Żabimi Wrótkami, środkiem pn.-zach. ściany: Maria Krakowiak i Marek Kujawiński, 14 VIII 1990; VI+, 1xA0, 4 godziny, 4 wyciągi (VI—, V+, VI+ A0, VI—); „2xK czyli K2”.

Spadowa Kopa — filar, ścianą na lewo od zacięcia Kunickiego: Robert Stepisiewicz i Maciej Tertelis, 13 VIII; VII+, OS, 4 wyciągi (VI, VII+, IV, III), problematyczna asekuracja (drugi, korzystając z liny, wyrwał 3 przeloty na kluczowym odcinku).

Skrajna Tomkowa Igła (Niżnie Rysy), „direttissima” pn.-zach. ściany: Krzysztof Liszewski i Piotr Waloszczyk, 24 VIII; VI—, 3 godziny.

Mieguszwiecki Szczyt Pośredni, nowa droga prawą częścią pn.-wsch. ściany (pomiędzy drogą Machnika i Kiedrowskiego a drogą Ciesielskiego): Tomasz Kuzio i Andrzej Machnik, 4 VIII; V, 2xA0, 3 1/2 godziny.

Mieguszwiecki Szczyt, wschodnią ścianą na lewo od lewej drogi Maczki: Jan Hobrzański i Arkadiusz Kubicki, 29 VIII; VI+ (?), nowe ok. 4 wyciągi.

Kościeliec, zachodnią ścianą pomiędzy drogami Jungera i Z.Dziędzielewicza: Jacek Luniak i Jan Wolf, 1 IX; VII (1xAF — bez znajomości), całość 3 wyciągi, nowe dwa (VI, VII—, VII), 1 przejście 6 godzin.

Zmarzę Czuby, środkową depresję pd.-wsch. ściany, wprost od środkowej półki: Tadeusz Piekarczyk i Jerzy Wiktorowicz, 12 VII; VI (?), A1. (Redakcja prosi autorów o kontakt listowny).

Zawrat Kasprowy, prawym ograniczeniem Wielkiego Komina (Małczyka): Jan Muskat i Jan Wolf, 21 VIII; VI+.

Cubrynka, środkiem pd.-wsch. ściany (z Doliny Hińczowej) wprost na wierzchołek: Andrzej Machnik i Andrzej Zakrzewski, 27 VIII; V+, 1 przejście 4 1/2 godziny.

NOWE WARIANTY

Mieguszwiecki Szczyt, wschodnią ścianą, wariant do drogi Jana Surdeła („Kiszka”), na prawo od kominu: Krzysztof Liszewski i Piotr Waloszczyk, 26 VIII; VI (?), nowe 5 wyciągów.

Zadni Mnich, wariant, przedłużający u dołu drogę Gromka: Dorota Kuty, Robert Stepisiewicz i Maciej Tertelis, 5 VIII; dwa miejsca VI/VI+, nowe ok. 50 metrów (uwaga: przebyto tylko najtrudniejsze miejsce drogi Gromka i zjechano).

Mały Młynarz, wariant prostujący dolną część lewego filara pn.-wsch. ściany: Andrzej Machnik i Jan Wolf, 28 VIII; VI (w dużym nagromadzeniu), całość drogi 5 1/2 godziny.

Kozie Czuby, pd.-zach. ścianą, wariant do drogi Skłodowskiego: Krystyna Palmowska i Ziemowit Wirski, 1 VII; V+, A0.

KOMBINACJE I POŁĄCZENIA KLASYCZNE

(Chodzi o sekwencje najtrudniejszych dróg i wariantów na jednej ścianie, które mogą być traktowane jako jedna logiczna droga.)

Mnich: Baryła + Łapiński oryg. + Kosiński: Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 1 VIII; RP-znając (wariant Stawnawskiego i Baryły rozpoznano ze zjazdu, przebyto go RP w 1 1/2 godziny, 2-gie przejście klasyczne, dalszą część znano z przejścia 28 VII), łącznie 5 wyciągów (VII+, VIII, VIII—, V, VII), 3 1/4 godziny.

Mnich: „Hiperkancie” czyli lewy wariant Gromka i Cabana + „Superkancie” (połączenie „Międzykancie” z Kantem Hakowym i Rysą Marcisza): Drobot i Smolarski, 30 VII (wariant Gromka RP-znając, po próbie 29 VII, przewranej deszczem, dalej OS). Jest to jednocześnie drugie klasyczne przejście każdego z połączonych pasaży; łącznie 5 wyciągów (VII, V+, VII—, VII, VI+), 2 1/2 godziny.

ODHACZENIA

Raptawicka Grań, droga „Seul 88” wariantem oryginalnym: Marcin Kacperek i Jacek Jania, 2 VII; VIII—, RP (znajomość z przejścia AF). Dotychczas było to VII+ 2xA0 po spitach; istnieje też obok wariant VII— wymagający używania kostek do asekuracji.

POWTÓRZENIA KLASYCZNE

Mały Młynarz, „Filar Ślżaków”: Barbara Tarnawska i Paweł Mieszkowski, 27 VIII; VII—, OS.

Kazalnica, droga Drosta: Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 5 VIII; VII/VII+, OS, trzecie klasyczne, 9 godzin. Filar z obejściem Wielkiego Okapu: Stanisław Barabasz i Krzysztof Pankiewicz, 31 VIII; VII+, znając większą część kombinacji, drugie klasyczne. „Epitafium”: Stanisław Piecuch i Wojciech Dronka, 4 VIII; VII+, OS (prowadzący), 8 godzin, czwarte klasyczne. Tarnawska i Mieszkowski, 30 VIII; znajomość Małego Okapu, dalej OS, 6 godzin, piąte klasyczne. „Pajaki”: Drobot i Smolarski, 1 IX; VII, RP-bz, 8 godzin, ósme klasyczne (w sierpniu 1989 miało miejsce szóste, nieodnotowane przejście: Bogdan Samborski i Janusz Gołąb, RK-bz, 2 loty). „Symfonia klasyczna”: Janusz Gołąb i Marek Okularczyk, 30 VII; VII, RK (1 raz), ok. 10 godzin, siódme klasyczne. Droga Kiełkowskiego, całość klasycznie z trawersem po krawędzi okapu „Y”: Drobot i Smolarski, 30 VIII; dolny trawers VII—, górny VI+, RP-bz, 8 1/2 godziny (drugie takie przejście klasyczne?). Droga Chrobaka i Heinricha: Drobot i Smolarski, 28 VIII;

VII+/VIII-, OS, 9 1/2 godziny, drugie klasyczne przejście całosci.

Mnich droga Wachowicza : Tarnawska i Mieszkowski, 4 VIII; VIII-, RK-bz (1 raz), dziewięć klasyczne. Lucjan Mzyk i Michał Parocki, 5 VIII, 2 loty (klasycznie?). Dronka i Piecuch, 5 VIII; OS, ok. 2 1/2 godziny. Gołąb i Okularczyk, 6 VIII; RP (1 raz). Droga Łapińskiego oryginalnie: Drobot i Smolarski, 28 VII; VIII-, RK-bz (1 raz), piąte klasyczne (oraz wariant Kosińskiego OS). Dronka i Piecuch, 2 VIII; OS, szóste klasyczne (potem „Superkancie” OS). Tarnawska i Mieszkowski, 4 VIII; OS, siódme klasyczne (potem droga Wachowicza!). Gołąb i Okularczyk, 4 VIII; RK-bz, 8-e klasyczne (z wariantem Kosińskiego OS). Zacięcie Baryły i Stonawskiego: Drobot i Smolarski, 1 VIII; VIII-/VIII, RP-z, drugie klasyczne (zob. kombinacje klasyczne). Piecuch i Dronka, 3 VIII, RP-bz (1 raz), trzecie klasyczne. Gołąb i Okularczyk, 5 VIII; OS (!), czwarte klasyczne.

Kościeliec, zachodnia ściana, kombinacja Zadarnowskiego i Sikory z 1988 r.: Karol Strelau i H. Schodl, 5 VIII; VII+, prawdopodobnie drugie klasyczne.

Raptawicka Grań, „Hematytówka”: Piecuch i Gołąb, 1 IX; IX-, RP-bz, drugie klasyczne. „Trawers Międzyznia-stowej”: Piecuch i Gołąb, 7 X; VIII+, drugie klasyczne. „Feniks”: Gołąb i Dronka, 29 IX; VIII-, RK-bz (2 razy), drugie klasyczne. Droga Żurka z 1982 r., na lewo od kantu świercznika: Marcin Kacperk, Bogusław Szerba i Grzegorz Wójtowicz, 29 VII; VIII-, RP-znajac (drugie klasyczne?). Szare Zacięcie: Gołąb i Dronka, 29 IX; RK-bz, piąte klasyczne. Piecuch i Okularczyk, 6 X; OS, szóste klasyczne.

CIĘKAWSZE POWTÓRZENIA NIEKLASYCZNE

Kazalnica, droga Kozackiewicz i Marcisza z zimy 1982 („Wish You Were Here”): Edward Tomaszek i Lucjan Mzyk, 1 IX; A3 (?), pierwsze przejście letnie i drugie w ogóle, 16 godzin. Droga Momatliuka wprost: Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 6 VIII; wielokrotnie A0 w kluczowej ścianie (mokro), odosobnione miejsce A0 na wyprostowaniu — ukłasyznione (VI). „UFO”: Janusz Gołąb i Marek Okularczyk, 2 VIII; 1x AF (mokro, proponowana ocena VII+), pierwsza próba klasycznego powtórzenia od 1982 roku (!!).

PRZEJŚCIA SAMOTNE

Mnich, klasycznie, z autoasekuracją „Sprężyna przez okapik”: Piotr Drobot, 14 VIII; OS, 2 1/2 godziny (pierwsze czy drugie takie?). Droga Hobrzańskiego (OS) z zacięciem Kosińskiego (RP-z): Drobot, 15 VIII; 1 1/2 godziny, pierw-

sze takie przejście. Droga Fereńskiego: Drobot, 31 VIII; OS (!), 1 godz. 50 min., pierwsze takie, rekord trudności klasycznych pokonanych w Tatrach Polskich z autoasekuracją (!). „Międzyznia-stowa”, bez asekuracji, klasycznie: Paweł Mieszkowski, 23 VIII, 12 minut.

Kazalnica, nieklasycznie, „Filar z wyprostowaniem”: Edward Tomaszek, 1 VIII, ok. 10 godzin. Mariusz Smolarski, 13 VIII, ok. 16 godzin.

MNICH: CIĘKAWSZE POŁĄCZENIA DRÓG

Droga Łapińskiego oryg. (OS, VIII-) i „Superkancie” (OS, VII): Dronka i Piecuch, 2 VIII.

Łapiński oryg. (OS, VIII-) i droga Wachowicza (RK-bz, 1 lot, VIII-): Tarnawska i Mieszkowski, 4 VIII.

Droga Sadusia (6 godzin, A2) i Kant Hakowy (VII, RP-z): Marcin Kantecki i Tomasz Żurko, 12 VIII.

Kant Hakowy, „Międzykancie”, ryska Hobrzańskiego z zacięciem Kosińskiego: Lucjan Mzyk i Krzysztof Gnutek, 26 VIII.

PRZEJŚCIA GRANI TATR

Grań Tatr od Przełęczy Żdziarskiej do Huciańskiej: Anna Czerwińska (do Wyżniego Baraniego Zwornika towarzyszyła jej Amalia Kapłoniak), 26 VII — 2 VIII (szczegóły TB 3/90, s. 9).

Grań Tatr Wysokich, od Liliowego do Przełęczy pod Kopą: Andrzej Dutkiewicz, Jacek Jania i Krzysztof Piławski, 26 VIII — 1 IX (6 i pół dnia), ściśle granią (z dokładnością do 15 metrów w trudnych uskokach), OS! (poza granią Batzowieckiego), bez opisów, składów, osób wspierających itp. Pokonano miejsca do VI+ (uskok Żelaznych Wrót, wariantem Zlatnika, opisanym jako VI A1 w przewodniku Puśkaśa), bez liny wspinano się do IV+, V. Podczas przejścia pogoda była dobra (dwie przelotne burze). Plecak 11-17 kg, maszynka Coleman (zużyto niecały litr benzyny), bidon na 3 litry wody (za mało). Sprzęt: 80 m liny podwójnej, 1 młotek, 10 pętli, 5 haków (lepiej byłoby mieć jeszcze jeden młotek lub kostki i friendy), żywność: rosoły w kostkach, płatki owsiane, cukier, chleb, masło, bryndza owcza. Ubiór: kurtki z Goretexu, bielizna przeciwpożarna i polarweary, płachty biwakowe, śpiwory i karimaty (bez zastrzeżeń). Obuwie: adidas oraz buty wspinaczkowe (chwalono sobie luźne korkery, podklejone zwykłą mikro gumą — obuwie friction ślizgało się w deszczu).

W zbieraniu materiałów szczególnie pomogli: Janusz Gołąb i Damian Wądołowski. Szczegóły według relacji z pierwszej reki.

MARCIN KANTECKI

All free znaczy klasycznie

Wspinanie sportowe to nie tylko skałki. W latach dziewięćdziesiątych zawody, sztuczne ściany, reklama, rywalizacja o tytuły i... pieniądze sprawiają, że coraz bardziej tęskni się za klasycznym, „wolnym” wspinaniem w pięknej, dużej ścianie.

Czy ściana ta ma 15 czy też 1500 m wysokości nie ma to znaczenia. „Free climbing” jest taki sam w Podlesicach, na Mnichu czy na Turni Trango. Istotne jest tylko to, czy chcemy się wspiąć „free”, czy też sięgamy do pomocy haków lub robimy z dziewięcej skały sztuczną ścianę. „Free” oznacza, że drogę pokonał się z pomocą naturalnej rzeźby wapienia czy granitu, a sprzęt służył tylko do asekuracji. Przy pierwszym przejściu nowej drogi oznacza to, że wszystkie punkty asekuracyjne zostały założone z pozycji obowiązującej



we wspinaniu klasycznym. A więc jeśli wisimy w skyhooku wbijając spita, to pierwsze przejście nie-tety jest hakowe (a co najmniej A0). Co to oznacza dla nas, prostych wspinaczy? Ano oznacza to, że wbijanie spitów np. ze zjazdu może dać nam

piękną drogę o dobrej asekuracji, niemniej jednak obniża jej klasę i sprawia, że przejście dokonane w takim stylu ma mniejszą wartość sportową. Dlaczego? Spróbujmy rzucić wędka na Trango. Po prostu.

A teraz o odhaczaniach. Czy dopuszczalne jest wbiecie spitów obok rzadka jedynek w celu przejścia klasycznego? Ile i jak je wbić? Pięknym przykładem jest tutaj Wariant R na Mnichu, który — rozkuty przy wbijaniu haków do granic możliwości — poddałby się śmiały amatorom ukłasyzowania, gdyby nie zła asekuracja. O ile wszyscy zgodzą się, że musi być bezpiecznie i nikt nie protestuje przeciwko wbiwaniu w środku płyty spitów stanowiących w pozycji „no hand rest”, o tyle umieszczenie jakiegokolwiek spita więcej obniży powagę drogi i będzie nietaktem wobec jej pierwszych zdobywców. Uważam, że spity na stanowisku i sprawdzenie bądź poprawienie haków już tkwiących w ścianie da wystarczający komfort asekuracji. Oznacza to, że będzie można się przelecieć. Bać się w końcu trzeba. Istotne jest tylko, czy ew. lot skończy się w powietrzu. Jeśli tak, to można przyjąć, że jest bezpiecznie. Złe nawyki ze skałek — spity co 2 metry — powodują, że piękna górska przygoda może stać się przepinaniem wędki po-

wyżej głowy. A wędka, to oczywiście nie jest „free climbing”.

I sprawa nowych dróg. Dobrym przykładem świeci tu Jan Wolf. W Rzędkowicach na Leśnej Turni jest droga, którą zrobił w zeszłym roku. Najpierw filarek z uszkami (małymi, ale jest łatwo — V+), potem ryska na frienda, nit wbity ze skyhooka w trakcie pierwszego przejścia, kilka trudnych przechwytów (VI.1) i dalej zanikająca ryska, zarośnięta bujną florą. Trudności w sumie VI.1 do VI.1.5. Muszę przyznać, że przejście tej kilkunastometrowej drogi on sight dało mi więcej radości, niż niejedna VI.3 z rzadkiem nitów. Pamiętam ją dużo lepiej, bo wiem, że na niej trzeba się trochę umieć wspinąć, a nie tylko gimnastykować. Wszystkim wiadomo, że Janek Wolf wspina się w podobnym stylu także w Tatrach (np. nowe trudne drogi na zachodniej ścianie Kościelca). A więc można. I chyba nawet trzeba, gdyż z regułami „free” nie wolno iść na kompromis. Potem pozostaje już tylko sztuczna ściana. Mimo wszystko wierzę, że nie doczekamy się chwytów z plastyku, dokręconych na Mnichu czy Kazalnicy.

PS. Tekst został napisany na tydzień przed pierwszym przejściem RP Wariantu R na Mnichu.

ANDRZEJ SKŁODOWSKI

Zima 1990–91 taterników polskich

Dość dziwny to był sezon. Powiedziałbym: było mało, ale smacznie. Warunków atmosferycznych — jak na rozkapryszone tatrzańskie zimy — nie można by uznać za najgorsze. Mimo to ruch wspinaczkowy był bardzo słaby, chociaż wyniki — paradoks — znakomite, zwłaszcza jeśli wziąć jako poziom odniesienia kilka ostatnich sezonów.

Na początek słowo o pogodzie. Grudzień można by nazwać normalnym. Styczeń i luty były prawie beznieżne, z długimi okresami znakomitej, choć nie całkiem zimowej pogody. Kiedy w drugiej dekadzie stycznia wspinałem się na północnej ścianie jednego ze szczytów, śnieg leżał tylko w żłebach i kominach — na trawkach aż po samą grań nie było go ani płatka. Trawy były jednak tak zmrożone, że tępiły się nawet najlepszej jakości „dziabki”. Spostreżenie to potwierdza także Marcin Kanacki, który w tym czasie wspinał się samotnie na Kazalnicy. W marcu pogoda była taka, jaka być powinna, czyli „jak w garncu”. Tzw. najstarsi górale twierdzą, i chyba mają rację, że najsolidniejsza zima panowała w kwietniu i w maju. Faktem jest, że takich lawin, jakie obserwowałem 10 maja ze wschodniej ściany Mnicha, dawno w otoczeniu Morskiego Oka nie było.

Teraz o ruchu wspinaczkowym. W Dolinie Rybiego Potoku „książka wyjść” zawiera z omawianej zimy ok. 200 wpisów, z czego ok. 50 opatrzone



dopiskiem „wycof”. Kilkadziesiąt adnotacji dotyczy wspinaczek relaksowych — z kulaurem Kurtyki na Mnichowe Plecy na czele. Nie trzeba mieć zbyt długiego stażu, aby przypomnieć sobie sezony z lat siedemdziesiątych, kiedy 200 wpisów (no, może trochę mniej) pojawiało się w „książce wyjść” w kilka dni pomiędzy Wigilią a Sylwestrem. Ostatnie dwa tygodnie kalendarzowej zimy spędziłem w Roztoce i przy Morskim Oku. Bywałem pedantem, więc policzyłem wspinające się w tym czasie osoby: było ich 14, nadto trzech dyżurni ratownicy GOPR, moja żona i ja. Inna sprawa, że z tą czteronastką wiąże się kilkanaście naprawdę wartościowych dróg, także kilka nowych.

Nie ma się co rozwodzić nad sportową wartością dokonanej zimy 1990–91 — zamieszczony niżej wykaz ilustruje ją aż nadto wymownie. Nie sposób jednak nie wymienić nazwiska Pawła Mieszkow-

<http://pza.org.pl>

skiego z Warszawy, który okazał się być prawdziwym liderem sezonu. Już sama liczba kilkunastu biwaków o czymś świadczy. Inny wyróżniający się wspinacz, to zakopiańczyk Arkadiusz Gąsienica Józkowy, który nie tylko że dokonał serii znakomych przejść w Tatrach, to jeszcze zdążył „wyskoczyć” zimą na północną ścianę Eigeru... Ciekawostką sezonu jest i to, że pewna liczba podanych w wykazach przejść zrobiona została przez „przebojowych i napalonych”... 40-latków. Ich listę otwiera niezmordowany „Pomurnik” — Krzysztof Zdzitowiecki, który przeszedł filar Mięcuszowieckiego.

Jeśli chodzi o udział pań w sezonie, na zdecydowanie pierwszy plan wysuwają się Barbara Tarnawska i Aleksandra Tomkowicz, którym tegorocznych przejść mógłby pozazdrościć nie jeden z dobrze wspinających się panów. Nie było natomiast ciekawszych prób wchodzenia w ściany w czysto żeńskich zespołach.

Nie wdając się w szczegółowe oceny stwierdzić można ogólnie, iż styl znacznej liczby przejść nawiązuje wyraźnie — toutes proportions gardées — do tego, co i jak robi się aktualnie w Alpach i innych górach Europy. Mam tu na myśli nie tylko śmiałe solówki i przejścia łańcuchowe, ale także niektóre świetne pod względem techniki oraz taktyki powtórzenia.

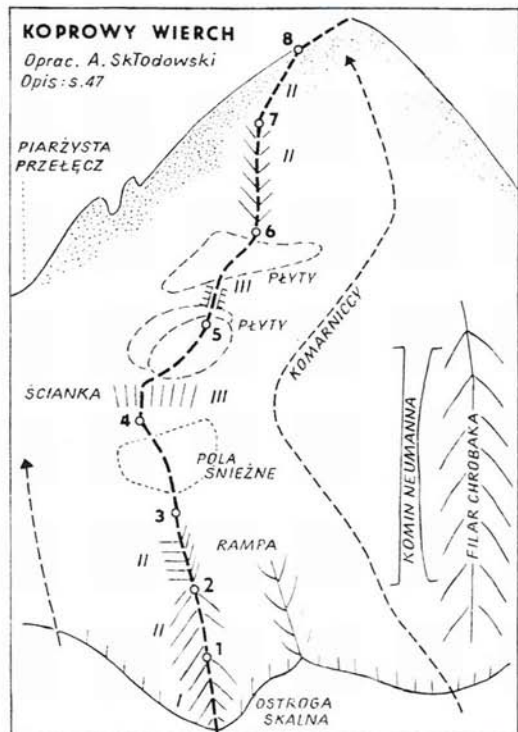
Kolejna uwaga, na łamach „Taternika” wcale nie odkrywca, dotyczy „książek wyjść”. Tak się składa, że są one głównym źródłem naszej wiedzy o wspinaczkach w Tatrach Polskich. Niestety, niektórzy koledzy traktują wpisy jako literackie prawki, inni nie wpisują się w ogóle — stąd ewentualne luki w tym sprawozdaniu, za które nie w swoim imieniu muszę Czytelników przeprosić. Nie będę apelował o to, aby nie wpisywać rzeczy niepoważnych do rubryk, które powinny zawierać suche i konkretne informacje. Każdy, kto sili się tam na wątpliwe dowcipy, sam sobie wystawia świadectwo. Wpisy powinny być lakoniczne lecz precyzyjne, wyraźnie stwierdzające, o jaką drogę chodzi i czy droga została pokonana, czy też nie. Dopisek „wrócili” jest wieloznaczny i nie właściwie nie mówi. Czytelne nazwiska z pełnymi imionami i dokładną datą są oczywistością, choć jak uczy praktyka — nie dla wszystkich.

Jeśli chodzi o podane w wykazach drogi robione po stronie słowackiej, nie trudno zauważyć, że większość z nich należy do tzw. szerzej rozumianego rejonu Morskiego Oka. Wiadomo jednak, iż wielu kolegów wspinano się po stronie słowackiej w ramach obozów lub wyjazdów indywidualnych, niestety, informacje o ich sukcesach czy porażkach rzadko trafiają obecnie do segregatorów Komisji Sportowej PZA. A szkoda, ponieważ wiele z nich wymknie się w ten sposób spod jakiegokolwiek ewidencji.

Wykaz ciekawszych osiągnięć sezonu ułożony jest w przyjętym w polskiej literaturze taternickiej porządku topograficznym W-E.

NOWE DROGI

Długi Giewont, w środkowej części północnej ściany (III+): Arkadiusz Gąsienica Józkowy i Maciej Cukier, 22 XII 1990.



Długi Giewont, w lewej części północnej ściany (IV+, A1): Arkadiusz Gąsienica Józkowy i Piotr Konopka, 3 I 1991.

Mała Buczynowa Turnia, południowo-zachodnią ścianą, na lewo od drogi Skłodowskiego (V,A1): Maciej Głód i Adam Maciaszek, 2 I 1991.

Turnia nad Schodkami, środkową wschodnią ścianą (III, A2): Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 31 XII 1990, 2 i 4 I 1991.

Koprowy Wierch, lewą częścią północnej ściany (III): Iwona Mosiej-Skłodowska i Andrzej Skłodowski, 14 III.

Mały Koprowy Wierch, prawą częścią północnej ściany (IV): Andrzej Machnik i Jan Żurawski, 21 I.

Pośrednia Garajowa Ławka, wprost żłebem od północy (V, lód 90 stopni): Andrzej Machnik i Andrzej Zakrzewski, 26 I.

Kocioł Kazalnicy, północno-wschodnią ścianą, na prawo od drogi Wolfa i Korasa (V,A1,2e): Andrzej Szczepański i Waldemar Żmurko, 4, 6, 22 i 23 II.

Kocioł Kazalnicy, północno-wschodnią ścianą, na lewo od drogi Popki i Długosza (V, A1): Włodzimierz Polcyn i Maciej Przebitowski, 4 I 1991.

PIERWSZE PRZEJŚCIA ZIMOWE

Kościelec, zachodnią ścianą, droga Wolfa i Wilczyńskiego: Krzysztof Gnutek i Jerzy Sikora, 24 i 28 I 1991.

Kościelec, zachodnią ścianą, droga Wolfa i Luniaka z 1986 r.: Krzysztof Gnutek i Jerzy Sikora, 15 I.

Kościelec, zachodnią ścianą, tzw. droga pomywaczek: Robert Kazimierski i W. Sobczyński, 17 I.

Kościelec, wschodnią ścianą, droga Skłodowskich: Mirosław Król i Grzegorz Olejnik, 14 i 15 I.

Kościelec, wschodnią ścianą, droga Jasińskiego: Mirosław Król i Robert Kazimierski, 21 I.

Zmarłe Czuby, południową ścianą, droga Głazków: Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 29 XII 1990 (II przejście w ogóle).

Skrajny Granat, wschodnią ścianą, droga Heroda i Gady wprost: Maciej Głód i Adam Maciaszek, 21 I.

Mięguszowiecki Szczyt, ściana czołowa północno-wschodniego filara, droga Guta i Skrzypczyńskiego: Jacek Czyż i Maciej Karoń, 14–15 III.

Mięguszowiecki Szczyt, wschodnia ściana, tzw. prawa droga Mączki: Paweł Mieszkowski i Andrzej Dutkiewicz, 14 i 15–16 I.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni — zob. łańcuchówki.

Mięguszowiecki Szczyt Czarny, północno-zachodnia ściana, droga Popki i Wróty: Krzysztof Pankiewicz i Mieczysław Ziach, 10 III.

Wołowa Turnia, północna ściana, droga Chrobaka: Jacek Czyż i Maciej Karoń, 16–18 III.

WAŻNIEJSZE ŁAŃCUCHÓWKI

Droga Gryczyńskiego na północno-wschodniej ścianie Kotła Kazałnicy oraz tzw. lewa droga Mączki na wschodniej ścianie Mięguszowieckiego Szczytu: Arkadiusz Gąsienica Józkowy i Jan Tybor, 22 I (w 22 godziny).

Direttissima północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu (z wariantem WHP 889 N w kopule szczytowej) — północny filar Wołowego Grzbietu — prawa depresja północno-zachodniej ściany Niżnich Rysów: Arkadiusz Gąsienica Józkowy, 26 I (w 17 i 1/2 godziny).

Direttissima północno-wschodniej ściany Kazałnicy oraz droga zwana „prawym Dziadkiem” na północno-wschodniej ścianie Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego (I przejście zimowe): Paweł Mieszkowski i Andrzej Dutkiewicz, 17–20 I.

PIERWSZE SAMOTNE PRZEJŚCIA ZIMOWE

Mnich, wschodnia ściana, droga Sadusia: Mirosław Król, 11–13 III 1991.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni, północno-wschodnia ściana, droga Mączki: Milan Kropač, 15 III.

Kazałnica, północno-wschodnia ściana, droga Długosza: Marcin Kantecki, 13–15 I.

WAŻNIEJSZE POWTÓRZENIA

Buczynowa Strażnica, Komin Pokutników: Władysław Polcyn i Maciej Przebitowski, 28 XII 1990.

Wielka Teriańska Turnia, północna ściana, droga Kurczaba: Andrzej Dutkiewicz i Krzysztof Pilawski, 2–4 II (drugie przejście zimowe?).

Mięguszowiecki Szczyt, północno-wschodni filar, Mirosław Król i Krzysztof Zdzitowiecki, 2–3 i 5 III.

Mięguszowiecki Szczyt, wschodnia ściana, droga Surdela: Jan Adamik i Andrzej Raczynski, 8–9 I.

Kazałnica, północno-wschodnia ściana, droga „Wish You Were Here”: Barbara Tarnawska i Paweł Mieszkowski, 20–23 II (trzecie przejście w ogóle, pierwsze w zimie kalendaryzowane).

Kazałnica, północno-wschodnia ściana, „Schody do Nieba”: Aleksandra Tomkiewicz i Jacek Fluder, 6–7 I.

Kazałnica, północno-wschodnia ściana, tzw. kant filara: Milan Kropač i Mariusz Majchrowicz, 16 III, w 10 1/2 godziny.

Kocioł Kazałnicy, droga Korasa i Wolfa: Aleksandra Tomkiewicz i Jacek Fluder, 13–14 I.

Kocioł Kazałnicy, północno-wschodnia ściana, droga Kurtyki i Marcisza: Jacek Fluder i Ryszard Pawłowski, 13–14 III (drugie przejście w ogóle).

Mała Rogata Szczerbina, komin Węgrzynowicza: Aleksandra Tomkiewicz i Ryszard Pawłowski, 3 II, w 7 godzin.

Żabia Turnia Mięguszowiecka, prawy filar północnej ściany: Barbara Tarnawska i Paweł Mieszkowski, 15–17 III (drugie przejście zimowe).

Żabi Szczyt Wyżni, północna ściana, droga Stanisławskiego: Andrzej Machnik i Jan Żurawski, 15 III.

Młynarczyk, wschodnia ściana, droga Kowalewskiego i Pałuchy: Barbara Tarnawska i Paweł Mieszkowski, 2–3 II.

Galeria Gankowa, północno-zachodnia ściana, komin Łapińskiego: Paweł Mieszkowski i Mariusz Zieliński, 22 III.

During winter season 1990–91 a small number of some dozens of Polish climbers were active in the Tatra Mountains, producing an astonishingly impressive list of ascents. No less than 10 new routes have been opened and another 12 or more received first winter ascents. The best achievements include those made solo by Marcin Kantecki (Kazałnica, Długosz route) and by Arkadiusz Gąsienica Józkowy (3 big routes during one day).

Alpy nie są już daleko

GRAN PARADISO

Pomysł wyjazdu narodził się kilka lat temu, gdy zobaczyliśmy książkę Grassiego „100 dróg w Gran Paradiso”. W r. 1989 wspinając się na południowej ścianie Mont Blanc patrzyliśmy na ośnieżone szczyty na południe od Doliny Aosty. W lipcu 1990 r. wyjechaliśmy w prawie rodzinnym składzie: Anna Skowrońska-Gardas, Andrzej Gardas i Tomasz Przybylski. Na początek wybraliśmy rejon doliny Piantonetto — w południowej części masywu. Dojazd koleją z Turynu do Pont Canavese, następnie autobusem do Rosone a potem autostopem. Okolica piękna, rozrzucone w górach wioseczki. Ludzi niewiele, za to bardzo życzliwi. Cały rejon Gran Paradiso stanowi park narodowy i robienie namiotów jest dozwolone tylko w wyznaczonych miejscach. Można jednak zostawić część sprzętu w wiosce i wybrać się w góry bez obciążenia. Korzystając z pięknej pogody (z której nota bene rejon słynie), biwakowaliśmy na trawie, w kolebach i w małych schronach górskich, te ostatnie są prawie w każdej dolinie — bezpłatnie i dobrze

utrzymane. Wspinaliśmy się na drogach skalnych. Skala jest na ogół lita, pięknie urzeźbiona, drogi od łatwych do b. trudnych.

Następnie przenieśliśmy się na północną stronę masywu (dojazd autobusem z Aosty do Val Savaranche) z zamiarem wspinania się na drogach lodowych. Strona północna jest znacznie liczniej odwiedzana przez turystów, sporo osób obozuje na campingach. Po okresie dobrej pogody, warunki w lodzie były trudne i udało nam się odbyć tylko jedną większą wspinaczkę: na Gran Paradiso (4061 m). W sumie z naszych przejść na uwagę zasługują trzy (najprawdopodobniej pierwsze polskie):

Becco della Tribolazione, droga Malvassory, D, 500 m — Gardasowie i Przybylski, 11 lipca 1990.

Monte Desterera, droga Locatelliego, TD, 300 m — Gardasowie, 14 lipca 1990.

Gran Paradiso, północno-zachodnia ściana, droga Bertholonego, D, lód 50–55 stopni, 600 m — Gardasowie i Przybylski, 25 lipca 1990.

Nasza podróż w góry miała charakter kombinowany. Do Wiednia dotarliśmy autobusem i tam wykupiliśmy tzw. bilet kilometrowy na Austrię i Włochy. Bilety kilometrowe są tańsze o ok. 25%, jeden daje możliwość przejechania 3000 km, przy czym korzystać z niego może do 6 osób. Koszt całej podróży w obydwie strony wyniósł 120 dolarów na osobę (od Warszawy). Jeżeli kupuje się bilet w Warszawie, wydatek jest dwukrotnie większy. Koszt całego miesięcznego pobytu wraz z dojazdem zamknął się w granicach 250 dol. na osobę, przy czym część żywności zabraliśmy z Polski.

Anna i Andrzej Gardasowie

ZIMĄ W CHAMONIX

Ekipa Polskiego Związku Alpinizmu w składzie Zbigniew Krośkiewicz (KW Warszawa), Andrzej Piątkowski (KW Warszawa), Jan Wolf (kierownik, KW Warszawa) i Norbert Ziober (KW Łódź) wyjechała z Polski 22 lutego i powróciła do kraju 21 marca 1991. W czasie naszego pobytu w Chamonix przeważała pogoda niezbyt sprzyjająca planom wspinaczkowym. Wiały silne „foenowe” wiatry, kończące się w dolinie opadami deszczu, wyżej zaś w górach — śniegu. Panowały przy tym bardzo niekorzystne warunki śnieżne. Na dole śniegu nie było prawie wcale, co utrudniało podejścia i wejścia na lodowce, wyżej na twardym podłożu leżał śnieg nie związany, stwarzając zagrożenie lawinowe. W ścianach ten syki śnieg nie przemieniał się w firn i lód, co stanowiło znaczne utrudnienie w skale i wzmagало niebezpieczeństwo w kuluarach.

Działalność rozpoczęto zaraz po przybyciu do Chamonix, 26 lutego, wykorzystując kończący się właśnie okres dobrej pogody. Norbert Ziober przeszedł drogę austriacką na Les Courtes. W tym samym czasie pozostali podeszli do schroniska Leschaux a następnie wyżej, osiągając w ramach wycieczki aklimatyzacyjnej wysokość 3500 m na grani Périades.

Dziesięciodniowy okres złej pogody spędziliśmy w Chamonix, kilkakrotnie wspinaliśmy się w skałkach, biegaliśmy na biegówkach i jeździliśmy na nartach zjazdowych. Uzupełniliśmy też sprzęt i przygotowaliśmy go do podjęcia działalności wspinaczkowej, dokonując zakupów w sklepach bądź bezpośrednio w firmie SIMOND. W naszych planach było poprowadzenie nowej drogi na Pointe Whymper w masywie Grandes Jorasses, niestety, prognozy pogodowe nie brzmiały optymistycznie i podjęcie zaplanowanej akcji, obliczonej na około 10 dni, wydało nam się zbyt ryzykowne.

10 marca zapowiedziano dwa do trzech dni pogody i Ziober wraz z Piątkowskim postanowili przenieść swoje cele wspinaczkowe do doliny Argentiére. W dniu 11 marca Norbert Ziober przeszedł drogę szwajcarską na północnej ścianie Les Courtes, zaś 13 marca Andrzej Piątkowski pokonał drogę austriacką a w dwa dni później także drogę szwajcarską na tejże ścianie. Niestety, choroby pokrzyżowały im bardziej ambitne zamierzenia i uniemożliwiły projektowaną wspólną wspinaczkę.



Filar Walkera

Fot. Andrzej Mróz

W dniach od 12 do 15 marca Zbigniew Krośkiewicz i Jan Wolf przeszli drogę Filarem Walkera na północnej ścianie Grandes Jorasses. Było to pierwsze polskie zimowe przejście tej wspaniałej wielkiej drogi, chyba najsłynniejszej w całych Alpach Francuskich. Mimo złych warunków panujących w ścianie, przejścia udało nam się dokonać w bardzo dobrym stylu, małym dwuosobowym zespołem.

Wszyscy korzystaliśmy z nart z fokami, które należą do niemal niezbędnego ekwipunku przy zimowej działalności wspinaczkowej w Alpach. Dlatego też, jak i z uwagi na to, że zejście z Grandes Jorasses odbyło się na stronę włoską (od szczytu do Chamonix 12 godzin), celem naszego ostatniego wyjścia w góry było w dniach 17–18 marca zabranie pozostawionych pod Filarem Walkera nart.

Nieocenione usługi oddał nam otrzymany z PZA sprzęt łączności, zapewniając komunikację na linii Chamonix — Argentiére, Leschaux, Jorasses i Courtes. Trzeba tu jednak dorzucić kilka uwag. Od służby helikopterowej otrzymaliśmy częstotliwość alarmową 154.4625 MHz (nawiasem mówiąc, nietypową dla normalnych reżimów pracy radia ICOM), na którą udało nam się nastroić nasze radia. Tej częstotliwości nie używaliśmy jednak, pracując na częstotliwości nie zgłoszonej, bowiem, jak nas ostrzeżono, nawet po wykupieniu częstotliwości na pocztę wolno się posługiwać tylko sprzętem francuskim. W przyszłości wydaje się konieczne, aby zespoły wyjeżdżające w obce góry były lepiej zorientowane w przepisach lokalnych.

Podsumowując, mimo kłopotów pogodowych wyjazd należy uznać za bardzo udany. W naszej

grupie panowała dobra koleżeńską i sportową atmosferą, a koledzy startujący w alpejską zimę wymieśli z obozu — tak przynajmniej sędzę — sporo cennych doświadczeń. Sukces sportowy na Filarze Walkera nie jest może aż tak znaczący, jak np. dokonanie pierwszego przejścia, stanowi jednak powrót po latach do dobrej tradycji polskich zimowych wspinaczek w Alpach, a biorąc pod uwagę jego styl — należy do najlepszych naszych przejść alpejskich w ogóle.

Jan Wolf

POŁNOČNA ŚCIANA EIGERU

Minionej zimy Polski Związek Alpinizmu skierował w Alpy dwa zespoły — jeden do Chamonix i drugi do Grindelwaldu. Członkami tego drugiego (19 II — 15 III 1991) byli Arkadiusz Gąsienica Józkowy i Jan Tybor, obaj z KW Katowice. Nieomal przez cały czas trwania naszego obozu w Oberlandzie Berneńskim panowały kiepskie warunki meteorologiczne i śniegowe. Na szczęście, po kilku dniach pobytu w Grindelwaldzie doczekaliśmy się okresu — krótkiego, jak się miało okazać — słonecznej i mroźnej pogody. Prognozy miejscowego biura przewodników ostrzegały, iż można liczyć na przejaśnienie zaledwie dwu- do trzydniowe. Trzeba więc było działać bez zwłoki, zdecydowaliśmy się zatem na drogę klasyczną na północnej ścianie Eigeru.

24 lutego (była to niedziela) wyjechaliśmy ostatnią kolejką na Kleine Scheidegg, by około godz. 21–22 znaleźć się u stóp ściany. O północy, po kolacji, rozpoczęliśmy wspinaczkę, posuwając się w górę po wyraźnych śladach. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się jednak, że nie wiodą one drogą klasyczną (jak się później okazało, były to ślady amerykańskiego wspinacza, który robił w tych dniach nową drogę na ścianie — zob. TB 1/1991 s.16). Wykreśliśmy więc w prawo, w kierunku Trudnej Rysy, co kosztowało nas dwa wyciągi niełatwego wspinania (V+). Rysę pokonaliśmy około 7 rano. Wyżej, na tzw. Traversie Hinterstoissera, nie korzystaliśmy ze starych lin poręczowych, ponieważ wydawało nam się to zbyt ryzykowne. Pierwsze pole lodowe nie przedstawiało większego problemu a przejście z pierwszego pola na drugie stanowił 30-metrowy wyciąg w 75-stopniowym lodzie. Gorzej było z drugim polem lodowym, które pokrywała 30-centymetrowa warstwa nie związanej z podłożem śniegu.

Przejście z drugiego na trzecie pole, obok tzw. Żelazka, było to trzy wyciągi trudnego wspinania, praktycznie bez asekuracji. Około godz. 18–19 wydostaliśmy się na miejsce zwane Biwakiem Śmierci, gdzie po raz pierwszy od kilkunastu godzin mogliśmy zdjąć raki, ugotować coś ciepłego i ułożyć się w płachcie. Z biwaku wyruszyliśmy o godz. 8 rano i od tego momentu wspinaliśmy się nieprzerwanie aż do szczytu. Przez trzecie pole wydostaliśmy się, trawersem w lewo, pod Rampe. Fragment ten wymagał trudnej wspinaczki (V+, A0) w skałę pokrytą luźnym śniegiem. Pole nad Rampą miało bardzo twardy lód. Długi wy-



Rys. O. Barth

ciąg (IV+) doprowadził nas do Trawersu Bogów i na tym odcinku odczuliśmy, co to znaczy kiepska asekuracja w północnej ścianie Eigeru. Około 120 metrów trawersu trzeba było pokonać korzystając z trzech zaledwie punktów asekuracyjnych, i to raczej tych typu „psychicznego”. Jednak ostatnie 30 m Trawersu Bogów miało kilka starych haków, co przyjęliśmy z wielką ulgą.

Po południu dotarliśmy do Pajaka, gdzie zaskoczył nas bardzo twardy lód o nachyleniu 70–75 stopni. Gdy byliśmy na końcu Pajaka zaczęła się noc. Ponieważ nie mieliśmy pewności, iż pogoda utrzyma się przez następny dzień, zdecydowaliśmy się na kontynuowanie drogi nocą. Argumentem dodatkowym był brak dobrego miejsca do biwakowania. Tzw. Rysy Wyjściowe stanowiły najtrudniejszą dla nas partię ściany: ok. 150 m bardzo trudnej wspinaczki w skałę zalodzonej, kruchej i na domiar złego pokrytej niezwiązanym śniegiem. Na szczęście, asekuracja była tutaj nie najgorsza. O godz. 7 rano osiągnęliśmy pola podszczytowe, zaś wierzchołek Eigeru (3970 m) — o 9.30. Zeszliśmy ze szczytu bez żadnych kłopotów północno-zachodnią flanką i o godz. 12.30 byliśmy z powrotem na stacji kolejki.

Przez cały czas naszej wspinaczki utrzymywała się słoneczna i mroźna pogoda: w dzień było -10 do -15 stopni, nocą temperatura spadała do -25 stopni. Nasz sprzęt stanowiły: 50-metrowa lina o średnicy 11 mm, 10 rur tytanowych do lodu, 15 kości typu „rock”, 6 friendów, 2 jedynki i 6 tytanowych haków. Tych ostatnich prawie nie używaliśmy, natomiast doskonale spisywały się friendy. Na sobie mieliśmy po 2 komplety bielizny, tzw. polar-flisy, goretexy, na nogach zaś buty Koflach. Ponieważ zakładaliśmy, iż uporamy się ze ścianą znacznie szybciej, nie zabraliśmy sprzętu puchowego, który na biwaku musiała zastąpić goretexowa płachta.

Podczas całego niemal przejścia mieliśmy poczucie bezpieczeństwa, ponieważ z dołu obserwowało nas wiele osób a wokół ściany od rana krążyły śmigłowce.

Po powrocie ze szczytu nosiliśmy się z zamiarem pokonania innej drogi na Eigerze: północnego filaru drogą polską albo wariantem Messnera, niestety, pogoda pokrzyżowała te plany. Pojechaliśmy więc do Zermatt z myślą o ścianie Matterhornu. Nie było tu wcale lepiej: półmetrowy opad śniegu zmusił nas do zarzucenia i tego projektu. Już po powrocie do Polski dowiedzieliśmy się, że samotny wspinacz z USA dodał jeszcze jedną drogę do siatki pokrywającej północną ścianę Eigeru. W dolnej partii wiedzie ona na lewo od drogi klasycznej, zaś w środkowej i górnej — na prawo.

Arkadiusz Gąsienica Józkowy

Sensacje alpejskie

O wyczerpywaniu się problemów w Alpach mówiło się 50 a nawet 100 lat temu, życie zawsze jednak zadawało kłam tego rodzaju prognozom. Ostatnie sezony — także obecny — przynoszą po kilkaset (!) nowych dróg, wiele bardzo trudnych. To fakt, że w większości są to drogi skalne a nawet skałkowe, wyszukiwane na peryferyjnych szczytach o mało znanych nazwach lub w ogóle bezimennych. Na coraz szerszą skalę eksploruje się nie same szczyty, lecz ściany grzbietów czy wawozów, przy czym często stosowana jest etyka typu skałkowego. Tacy pionierzy, jak Michel Piola, bracia Remy, Alain Ghersen, Patrick Gabarrou — żartobliwie nazywani „stachanowcami Alp” — zamykają sezony liczbą 50 a nawet 80 dróg każdy! Ostatni zresztą specjalizuje się w drogach wielościennych, w tym goulottes extrêmes. Z początku lata 1991 ma tak piękne sukcesy, jak pierwsze przejście dotąd całkowicie dziewiczej niemal 1000-metrowej północnej ściany Täschhorn (4490 m) w Alpach Walijskich czy też nowa trudna droga na jednej z największych ścian Oisans, 900-metrowej północnej ścianie Pic sans Nom w Delfinacie. Obie

drogi Patrick zrobił ze swym stałym partnerem, François Marsignym — pierwszą 26 a drugą 30 czerwca.

Jednakże w tym roku, a ściślej mówiąc w jego pierwszej połowie, nie te nazwiska błyszczały w rubrykach „Alpinizm” zachodnich gazet, bowiem bogatą eksplorację alpejską zdominowały przejścia będące jednocześnie wielkimi przygodami ludzkimi.

Bohaterem sezonu zimowego został okrzyknięty Amerykanin, Jeff Lowe, który w dniach od 24 lutego do 4 marca zrealizował nową superdirttissime północnej ściany Eigeru — tylko w niespełna 1/3 wchodząc na drogi już istniejące, zwłaszcza japońską. Najtrudniejsze odcinki hakowe sięgają stopni A4 a nawet A5, aczkolwiek autor drogi nie wyklucza możliwości powtórzenia ich klasycznie (por. TB 1/91 s. 16). Jeff Lowe (40) jest blisko zaprzyjaźniony ze słynną francuską skałolazką, Catherine Destivelle (30), wraz z którą ukłasyficył drogę jugosłowiańską na Turni Trango (TB 3/90 s.14). To tylko zbieg okoliczności, że autorka drugiej tegorocznej sensacji alpejskiej — całe stronicę w „Le Dauphiné” — stała się właśnie Catherine, podnosząc wysoko pułap żeńskiego rekordu w Alpach.

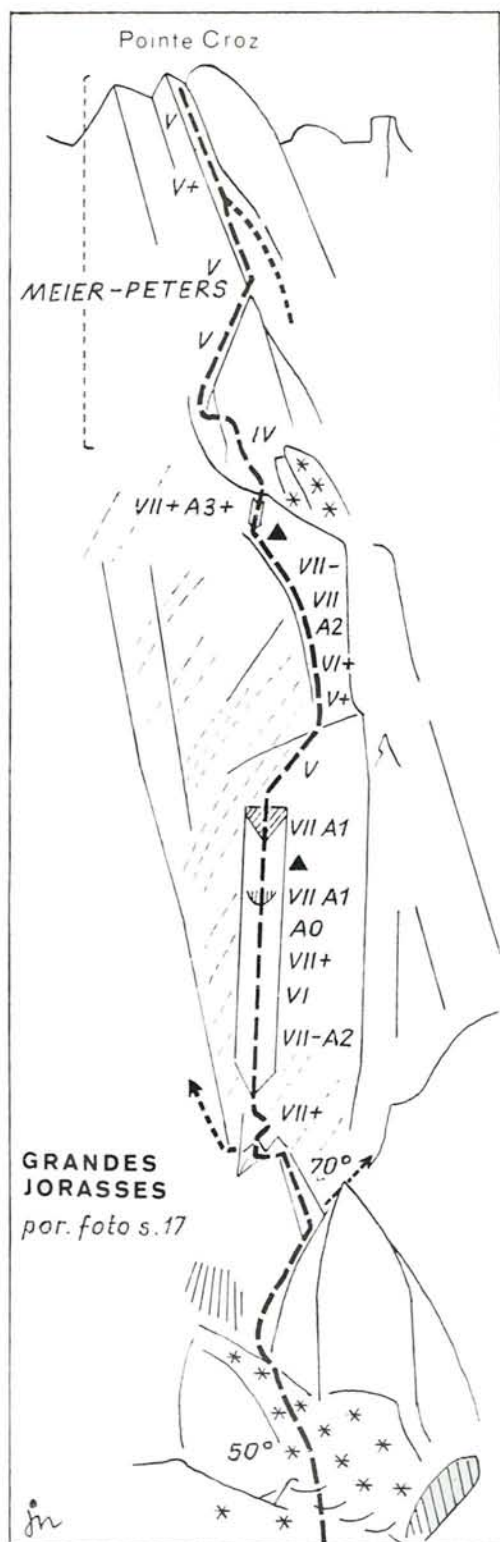
BURZE, UPADKI, BABSKIE DEPRESJE

W zeszłym roku wielki i zasłużony rozgłos przyniósł jej samotny wyczyn na Filarze Bonattiego Petit Dru. Z początkiem tego lata Catherine powróciła tam, taszcząc 80 kg bagażu, by na trwałe wpisać się do historii zachodniej ściany. W dniach od 25 czerwca do 4 lipca 1991 poprowadziła — i tym razem samotnie — nową drogę prawą stroną zachodniej ściany, dołączając ją do drogi Bonattiego 4 wyciągi poniżej tzw. Tarasów. Mimo skrajnych trudności (rysa w przewieszonych płytach A3+ a pod koniec A4) uporała się szybciej z całym problemem, gdyby nie trapiły jej burze i ulewę. Przeżyła kilka upadków, w tym 2 poważne loty (jeden 10-metrowy), przy przejściu solowym szczególnie niebezpieczne. Były też dwa stany depresyjne, ten z 2 lipca określony jako „sérieuse baisse de moral”. Pod koniec zbliżyła się do drogi Bonattiego, obok Rysy Austriaków przemyskając w odległości zaledwie 15 m. Wiele sił kosztowało ją ciągle klinowanie się worka, wymagające zjazdów i ponownego wchodzenia po linie. Prasę obiegły zdjęcia Catherine w zwalach sprzętu, z pokaleczonymi dłońmi, ale bez zmęczenia na twarzy. Na przyłot helikoptera czekali w Chamonix oficjele, prasa, a także tłum kibiców i zbieraczy autografów, gdyż — jak powiedział reporter tv — „Destivelle est définitivement une star”. „Sama nie przypuszczałam, że będzie aż tak trudno”, nie omieszczała wyznać w wywiadzie.



Catherine Destivelle

Rys. Jan Nyka



Wyczyn „Destivelki” nie ma precedensu w historii alpinizmu kobiecego i kładzie podwaliny pod nową jego epokę. To znowu przypadek (choć o randze symbolu), że zbiega się w czasie ze śmiercią innej wielkiej protagonistki, Loulou Boulaz. Niestety, nie widać jakoś kontynuaterek czy konkurentek. Można było liczyć na Mariję Frantar, ale nie ma jej już między nami. W alpejskim big wall climbing Destivelle pozostaje sama.

POINTE CROZ — MITYCZNY MONOLIT

W kilka dni później uwagę mediów skupił na sobie znany (choć ciągle nie doceniany) jugosłowiański — pardon, słoweński — solista, Miroslav Svetičić (33). Pokonał on w śmiałym samotnym ataku od dawna ostukiwany lewy bok Filara Croza, uważany za „ostatni poważny problem” w całym murze Grandes Jorasses. Północną ścianę znał bardzo dobrze — przeszedł w niej aż 6 dróg, przy czym drogę Bonatti-Vaucher pokonał jako pierwszy solista. Nową drogę poprowadził w dniach 8–10 lipca 1991 r. i nazwał ją „Manitua”. Jej wysokość wynosi 700 m przy 1100 metrach całego, wyżej łatwego już filara. Startując o 7 rano, pierwszego dnia Slavko pokonał strome śniegi (do 70 st. nachylenia) oraz 4 wyciągi z oceną 6c, A2, które dały mu przedsmak tego, co go czekało. Drugi dzień przyniósł mu 7 wyciągów 6c i A3, ostatni zaś — po ciężkim wiszącym biwaku (na szkicu trójkąci) — najtrudniejszy wyciąg, po którym osiągnął kant filara i starą drogę Petersa i Meiera z r. 1935. Już ok. 10 rano był na szczycie, z którego zjechał ścianą, zbierając sprzęt pozostawiony na drugim biwaku. „Droga jest piękna i logiczna — powiedział — a monolityczna zerwa przypomina ścianę El Capitan, tyle, że znajduje się o wiele wyżej.” I opinia Toneta Skarii: „Wejście zostało zrobione bez reklamy, bez huku helikopterów, bez fotografów, słowem skromnie, w najlepszej tradycji klasycznego alpinizmu.” Prosto z Chamonix Slavko pojechał w góry Peru, jesienią zaś ma w planie przejść nową drogą zachodniej ściany Annapurny.

Jak można było oczekiwać, wejście Destivelle obudziło zawiść alpejskich gwiazdorów. W „Montagnes” 10/1991 zaatakował ją ostro Alain Ghersen, zarzucając jej m.in. to, że ze szczytu wróciła helikopterem...

Artykuł ten pisany jest w środku lata i omówione w nim wyczyny nie będą zapewne jedynymi w tym bogatym w zdarzenia alpejskim roku. Razem wzięte, nasuwają pewną uwagę: nawet najtrudniejsza, najcięższej wywalczona droga szlazierem sezonu stanie się tylko wówczas, jeśli areną walki będzie Eiger, Matterhorn, Drus czy Grandes Jorasses. Nie znaczy to, oczywiście, że na innych ścianach nie warto się biedzić...

In spite of warnings that the Alps are worked out, developments continue and some really first-class climbs have emerged this year. Probably the most important features have been the solo ascents of new routes completed by Jeff Lowe (Eiger-Nordwand direttissima), Catherine Destivelle (West Face of the Petit Dru) and Miroslav (Slavko) Svetičić from Slovenia (Grandes Jorasses, Croz Buttress). All these ascents received wide coverage in the French press.

Annapurna premier 8000

Być na uboczu wielkich spraw środowiska i raptem dostać zaproszenie na spotkanie największych alpinistów całego świata! „To jakaś pomyłka” — pomyślałem. Ale kolejne listy z Chamonix sprawę szybko wyjaśniły. W czerwcu 1990 r. miało 40 lat od zdobycia przez Francuzów pierwszego w dziejach himalaizmu szczytu ośmiotysięcznego: Annapurny. I z tej właśnie okazji władze miasta Chamonix, sponsorowane przez „Paris Match” (który w r. 1950 relacjonował przebieg wyprawy francuskiej), Swissair, Sandoz, „Montagnes Magazine” i wiele innych instytucji i przedsiębiorstw, zaprosiły zdobywców wszystkich ośmiotysięczników, poczynając od Hillarygo a kończąc na Morawcu — łącznie 37 osób, w tym — przez niedopatrzenie — paru ludzi już nie żyjących. Organizatorzy nie czynili rozróżnienia między szczytami głównymi a pobocznymi (problemami tymi zajmują się głównie nasi krajowi specjaliści od Himalajów), dzięki czemu Waldek Olech i piszący te słowa znaleźli się na oficjalnej liście zaraz po Edmundzie Hillarym, zdobywcy K2 — Achille Compagnonim oraz dwójce z głównego wierzchołka Kangchenjungi, Georgu Bandzie i Normanie Hardiem.

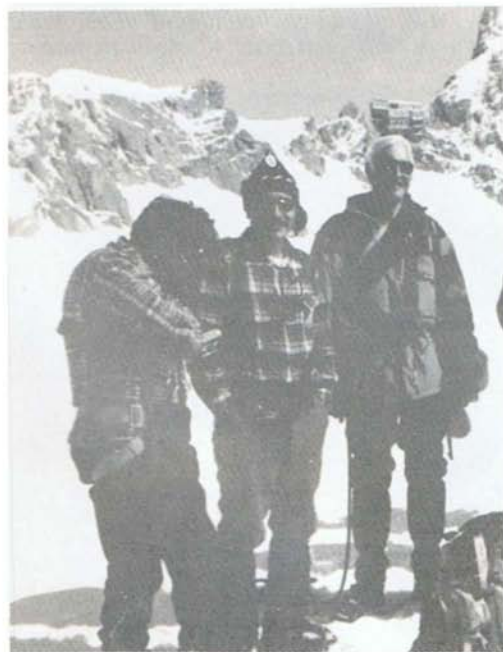
Oczywiście, organizatorzy nie ograniczyli się do tak wąskiej formuły i uświetnili imprezę zapraszając wiele VIP's, w tym najświetniejszych alpinistów



doby obecnej, a także ludzi, którzy swą działalnością organizacyjną, piśmienniczą, filmową czy inną alpinizm współczesny kształtują. Skrupulatny kronikarz nie mógł nie zauważyć, iż poza Francuzami i Szwajcarami najwięcej osób zaproszonych było z Polski. Wymienię tu Andrzeja Zawadę i Józefa Nykę, z którymi spędziliśmy wiele miłych chwil a także Wandę Rutkiewicz i Wojtkę Kurtykę, którzy do Chamonix przybyć nie mogli (Wanda z powodu pobytu w Karakorum). Pięknym gestem było zaproszenie Celiny Kukuczkiej z 10-letnim Maćkiem. W ogóle wdowy po nieżyjących himalaistach stanowiły niemały procent uczestników imprezy.

Na program składały się liczne konferencje, pokazy filmowe i wystawy. Jednym z punktów było stworzenie „ludzkiego łańcucha”, rozciągającego się od Aiguille du Midi aż po szczyt Mont Blanc. Na szczycie grupa alpinistów, strażaków i przedstawicieli organizacji górskich miała utworzyć piramidę, symbolizującą ekspedycję himalajską, przy której często sukces jednego człowieka jest wynikiem zbiorowego wysiłku wszystkich uczestników. Niestety (na szczęście?), świeżo spadłe śniegi i związane z nimi zagrożenie lawinowe uniemożliwiły organizację tego dość dziwnego przedsięwzięcia. Niemniej jednak spore grono uczestników wjechało 16 czerwca kolejką na Aiguille du Midi i kilka grup wyruszyło w kierunku Mont Blanc du Tacul. Lord Hunt, w tym miesiącu kończący 80 lat, ubrany w klasyczne pampki prezentował się znakomicie. Chętnym organizatorzy umożliwili uzupełnienie sprzętu. Skorzystaliśmy z tego i we dwóch z Waldkiem dzielnie parliśmy ku górze, po drodze dopożyczając linę od Banda i Hardiego. Przed nami była tylko trójka Rosjan z Kazbekiem Waliewem na czele. Znikome szanse na złapanie kolejki w dół przy kontynuowaniu podejścia z jednej strony, z drugiej zaś nęcąca perspektywa udziału w galowym przyjęciu zapowiadzanym na wieczór, rozstrzygnęła sprawę na rzecz powrotu.

Wielką radość sprawiono Maćkowi Kukuczce przerzucając go helikopterem na szczyt Mont Blanc. Zdjęcie le petit Kukuczka stojącego na śnieżnym „dachu Europy” pomiędzy Herzogiem a Hillarym, z Szerpanką Nimi za plecami, obiegło całą prasę, nie tylko we Francji. W powietrznej wycieczce udział wzięli nadto Chris Bonington, Pierre Béghin, Tomo Česen, Jean-Claude Lachenal oraz Szerpa Dawa Norbu.



Od lewej: Kazimierz W. Olech, Wojciech Brański i George Band
Fot. Wojciech Brański



Stoją od lewej: John Boyle, Achille Compagnoni (pierwszy zdobywca K2), Hans-Dieter Greul, Andrzej Zawada i Kurt Diemberger. W tyle Jose Anglada.

Fot. Józef Nyka

Tuż przed udaniem się na wyżej wspomnianą Soirée de Gala Andrzej obejrzał mój strój i stwierdził, że nie prezentuję się zadowalająco, pożycz mi swoją elegancką białą marynarkę, zachowując dla siebie strój ciemny. Dzięki temu prezentowałem się znakomicie, przy czym jedynym, co różniło mnie od kelnerów, było moje spalone słońcem oblicze, bliskie poparzeniu I stopnia.

Kluczowym momentem wieczoru było wręczenie złotych statuetek „Match d'Or de l'himalayisme”. Stojące płytki granitu z trójkątnymi złotymi plakietkami otrzymali: honorową — Maurice Herzog i (pośmiertnie) Louis Lachenal; za wielkie osiągnięcie himalajskie — Edmund Hillary; za pokonanie wielkich dróg w Himalajach — Chris Bonington; za największy wyczyn himalajski — Pierre Béghin; dla człowieka, który wniósł największy wkład w rozwój współczesnego himalaizmu — Reinhold Messner; dla kobiety, której osobowość najsilniej zaznaczyła się w himalaizmie współczesnym — Wanda Rutkiewicz; dla Sierpy, który najbardziej wyróżnił się w trakcie wypraw — zespół Sierpów; dla filmowca i fotografa, który najlepiej przedstawił Himalaje — Kurt Diemberger; dla bohatera „himalaizmu jutra” — Tomo Cesen; pośmiertnie: Jerzy Kukuczka oraz — w hołdzie od miasta Chamonix — Jean-Marc Bovin. „Match d'Or” przyznany Kukuczce odebrał Maciek, do którego we wzruszających słowach zwrócił się znany przyjaciel alpinistów polskich, Yves Ballu. Statuetkę przeznaczoną dla Wandy wręczono Małgosi Bilczewskiej-Fromenty.

Ponadto sam Messner ufundował nagrodę „Śnieżnego Lwa”, którą zamierza przyznawać corocznie, a którą po raz pierwszy obdarzył — już odznaczony — Toma Cesena. Wartość tej ostatniej nagrody oceniana jest na 10000 dolarów.

Poza oficjalnym programem, spotkanie stwarzało doskonałą okazję do kularowych kontaktów i rozmów. „Nie jestem już zainteresowany himalaizmem ekstremalnym — stwierdził Messner w pogawędce z Celiną Kukuczkową. — Traversowanie Antarktydy, skąd niedawno wróciłem, lub Grenlandii, które właśnie planuję, to są moje obecne cele.” W innym momencie Messner wyraźnie od-

ciął się od czysto sportowej rywalizacji, dominującej we współczesnym himalaizmie (!). Dla mnie bardzo ciekawy był jego pojedynek słowny z samym Hillarym — w trakcie dyskusji nad ewolucją wypraw himalajskich. Otóż Hillary wyraził się, że jest szczęśliwy, iż jego ekspedycji nie sponsorowała przysłowiowa „Pepsi-Cola”. Messner bystro zareplikował, że jego zdaniem o wiele czystsza jest sytuacja finansowania przedsięwzięć górskich przez prywatne firmy, aniżeli przez rządy, które często wykorzystują ekspedycje do celów propagandowo-politycznych.

Głównym problemem sesji poświęconej ewolucji wypraw był jednak dylemat, jakie wyprawy należy organizować: małe czy duże? Oczywiście zalety tych pierwszych są dobrze znane i nie trzeba ich tutaj powtarzać. A jednak zaproszony



Gala Dinner. Reinhold Messner i Edmund Hillary.

Fot. Wojciech Brański

do głosu przedstawiciel ZSRR stwierdził, iż alpinści radzieccy obok wypraw lekkich będą w dalszym ciągu wysyłali w Himalaje ekspedycje ciężkie. Wszyscy znamy ich sukces przy trawersowaniu Kangchenjungi i nikt chyba nie ma wątpliwości co do tego, że był on możliwy tylko dzięki zastosowaniu techniki i taktyki tradycyjnego typu. Nie można dziś dyskutować spraw współczesnego himalaizmu nie poruszając problematyki wypraw zimowych. Poproszony o wypowiedź Andrzej Zawada omówił specyfikę takich wypraw i wskazał na ciągle jeszcze nie zrealizowany cel główny, jakim jest zimowy K2. W trakcie konferencji poświęconej problemom medycznym himalaizmu głos zabrał m.in. Józef Nyka, zwracając uwagę na wzrost ryzyka w himalaizmie dnia dzisiejszego, który przekracza akceptowane dotąd granice bezpieczeństwa przy jednoczesnym zaostrzeniu rywalizacji.

Wiele wypowiedzi poświęcono Szerpom i ochronie środowiska himalajskiego. Zwracano uwagę na eksplozję demograficzną w Nepalu, gdzie w latach 1950–1990 ogólna liczba ludności wzrosła z 7 do 19 milionów. W połączeniu z gwałtownym rozwojem turystyki (w rejonie Khumbu w ciągu sezonu 85% całej populacji stanowią przyjezdni) powoduje to degradację środowiska bliską katastrofy. Nie jest to, oczywiście, problem obchodzący samych Nepalczyków. Stąd sponsorowane przez in-

stytucje, rządy i osoby prywatne przedsięwzięcia ochroniarskie, ustanawianie parków narodowych, zawiązywanie się zrzeszeń w rodzaju „Mountain Wilderness” czy „Himalayan Adventure Trust”. Bardzo piękną akcją prowadzoną przez gospodarzy „Annapurna Premier 8000” była zbiórka pieniędzy na rzecz odbudowy zniszczonego przez pożar klasztoru Tyangboche. Uczestnicząca w obradach trójka Szerpów, ubrana w tradycyjne stroje, prezentowała się bardzo miło.

Kiedy w końcowej fazie seminariów i dyskusji ktoś dziękował organizatorom za realizację tego unikalnego spotkania himalaistów z całego świata i wyrażał nadzieję na podobne imprezy w przyszłości, piszący te słowa zebrał się w sobie i wystąpił publicznie, zauważając, że to piękne spotkanie jest rzeczywiście pierwszym w tej skali ale i zapewne ostatnim. Cóż bowiem może łączyć dawnych, choćby i autentycznych zdobywców, będących czystej krwi amatorami, z kadrą dzisiejszych niewątpliwych profesjonalistów. Dobrym przykładem rozejścia się podobnych grup zainteresowań może być narciarstwo — tradycyjne i sportowo-wyczynowe. W replike od stołu prezydiального — Béghin, Profit? — padły gorące słowa sprzeciwu: himalaizm, niezależnie od rozwoju swoich nowych form, miałby stanowić jedność łączącą wszystkich. Oby tak było, choć ja w to nie wierzę.

NASZ PUNKT HONORU

DRODZY PRZYJACIELE!

Dochodzą mnie wieści, że jesteście w trakcie przygotowywania kolejnej wyprawy w góry wysokie. W imieniu „Mountain Wilderness” chciałbym wyrazić życzenie, abyście Wasze przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem, a wszyscy uczestnicy ekspedycji powrócili do domów z poczuciem głębokiej satysfakcji.

Jak Wam dobrze wiadomo, „Mountain Wilderness” zajmuje aktualnie czołową pozycję na froncie walki o ocalenie integralności natury i walorów alpinistycznych wielkich gór na całym świecie. Uchronienie pustkowi górskich od zniszczenia zależy od każdego z nas i od siły naszej determinacji. Łatwo jest postulować czystość gór siedząc przy stole konferencyjnym. O wiele jednak trudniej działać zgodnie z przyjętymi wzorami postępowania kiedy się stoi w obliczu ceny, jaką przychodzi za to zapłacić — ceny mierzonej kategoriami organizacji, zmęczenia, zaciągniętych zobowiązań, wreszcie zawsze kusego budżetu wyprawy. Jednakowoż innej drogi nie ma, a stawka, o jaką toczy się gra, jest zbyt wysoka, aby można było pozostawić margines na kompromis czy samorozgrzeszenie. „Mountain Wilderness” jest rzecznikiem takiego alpinizmu eksploracyjnego, który — kierując się zasadami surowego kodeksu etycznego — stara się nie pozostawić w górach śladów ludzkiej w nich bytności.

Niezbędne wydaje się rozwijanie w ludziach głęboko zakorzenionego przeświadczenia, że zdobyście szczytu, przejście nowej drogi czy realizacja

osiągnięcia sportowego TRACĄ WARTOŚĆ, jeśli zostają dokonane jakimkolwiek kosztem środowiska górskiego. Nic nie może usprawiedliwić porzucenia obozu bazowego, pozostawienia w ścianie lin poręczowych czy nie zlikwidowanych odpadków i śmieci. Już w fazie preliminowania wyprawy należy przewidzieć wydatki na zniesienie w dół całego ekwipunku i wszystkich rzeczy, włącznie z tą częścią śmieci, której nie da się w sposób nie kolidujący z przyrodą zniszczyć. Co więcej, sprawy te winny stanowić punkt honoru ekipy!

Mam nadzieję, że tych kilku zdań pisanych z potrzeby serca nie uznacie za zbędne i budzące irytację wtrącanie się w Wasze sprawy, lecz przyjmiecie je życzliwie jako zachętę do pozytywnych działań na rzecz ochrony górskiej przyrody. Pozwalam też sobie na sugestię, aby w materiałach prasowych i podczas spotkań z dziennikarzami, poprzedzających wyruszenie wyprawy, było wyraźnie artykułowane stwierdzenie, że idee ochrony gór, wyrażone w znanej „Deklaracji z Biella” są Waszymi ideami. Byłbym Wam również bardzo zobowiązany, gdybyście po powrocie do kraju zechcieli powiadomić mnie o ewentualnych zanieczyszczeniach środowiska, pozostawionych przez wcześniejsze wyprawy.

„Mountain Wilderness” jest z Wami. Bądźcie i Wy z „Mountain Wilderness”.

Wyruszającym na górskie szlaki polskim przyjaciołom życzę wszystkiego, co najlepsze.

Carlo Alberto Pinelli
Koordynator międzynarodowy MW

Dhaulagiri wschodnią ścianą, 1990

Organizatorem wyprawy był Klub Wysokogórski w Katowicach, zespół tworzyli Janusz Gniadek, Dariusz Piętak, Krzysztof Wielicki (kierownik) oraz — z AKE Sopot — Zbigniew Kacuga. W Katmandu dołączyli Ingrid Baeyens z Belgii i Rüdiger Schleyen z Niemiec. Celem wyprawy było wejście wschodnią ścianą, być może nową drogą. Ściana ta ma już długą, bo 10-letnią historię. W r. 1980 przeszli ją w stylu alpejskim z dwoma biwakami Wojciech Kurtyka, Alex MacIntyre, Renato Ghilini i Ludwik Wilczyński (T. 2/81 s.61). Jesienią 1985 r. bardziej na prawo próbowali wytyczyć nową drogę Jugosłowianie, ale dotarli tylko do grani. Drogę Kurtyki w początku grudnia 1985 powtórzył Erhard Loretan z dwoma towarzyszami.

Nasza karawana doliną rzeki Myangdi utknęła z powodu bardzo obfitych opadów śniegu w miejscu bazy włoskiej pod zachodnią ścianą (3700 m). Stąd też w dniu 23 marca rozpoczęliśmy działalność, po dwóch dniach torowania w głębokim na metr śniegu osiągając miejsce właściwej bazy na wysokości 4650 m pod północno-wschodnią granicą. Po drugim wyjściu z „bazy niskiej” w dniu 7 kwietnia założyliśmy obóz I na przełęczy (5750 m), a w 10 dni później — obóz II (6800 m) na grani północno-wschodniej, mający stanowić zabezpieczenie zejścia po pokonaniu wschodniej ściany. Tego samego dnia (17 kwietnia) sirdar zakończył wadłowy transport ładunków do bazy właściwej. Rekonesans pod wschodnią ścianą wykazał dobitnie, że należy zdecydować się na styl alpejski i w

miarę szybki atak. Brak było miejsc na obozy, a dłuższe przebywanie w ścianie mogło się okazać niebezpieczne.

W dniu 23 kwietnia Ingrid, Janusz i ja założyliśmy biwak (namiot) na wysokości 7000 m. Wykorzystując dobre samopoczucie, o 4.20 nad ranem wyruszyłem samotnie w stronę szczytu. Przy dość dobrej, choć trochę zbyt wietrznej pogodzie i przy dobrych warunkach śnieżno-lodowych o godz. 10.50 osiągnąłem szczyt i o 14 byłem z powrotem w miejscu biwaku, gdzie czekali na mnie partnerzy. O godz. 19 tego samego dnia (24 kwietnia) znaleźliśmy się ponownie w bazie. Po moim wejściu na szczyt, cele naszego zespołu uległy podziałowi. Ja skupiłem się na wschodniej ścianie, pozostali — na drodze granią północno-wschodnią. Odpoczywając w bazie, czekałem na idealne warunki i pełnię księżyca. W tym czasie Zbyszek i Rüdiger zdeponowali na wysokości 7450 m sprzęt do założenia obozu III. Ingrid i Janusz dwukrotnie próbowali rozwinąć akcję, jednakże z powodu warunków, głównie wiatru — bez powodzenia.

8 maja, tuż po pełni, wszedłem na przełęcz i tam przeczekałem dzień, by 9 maja o godzinie 22 przy świetle księżyca wyruszyć w kierunku centralnego kuluaru wschodniej ściany. O 23 rozpocząłem samotną wspinaczkę. Na mój sprzęt składały się m.in. 25-metrowa lina (do autoasekuracji lub zjazdu), 3 śruby lodowe, 4 haki, czekan i czekanomłotek. W plecaku miałem 2 litry napojów, słodycze, radiotelefon, maszynkę butanową,

Od lewej: Ingrid Baeyens, Janusz Gniadek, Ralf Dujmovits, Kurt Wilde i Krzysztof Wielicki



garnek, płachtę biwakową, aparat fotograficzny. Spiwora nie miałem. Wspinałem się w komplecie puchowym, przygotowanym przez firmę VALANDRE z Francji. Potem było 13 godzin trudnej, ale nie przekraczającej moich możliwości wspinaczki. Najpierw były niełatwe kominki skalno-lodowe (w sumie ok. 80 m), dalej już moja droga wiodła wprost do góry centralnym kuluarem, po lodzie o nastromieniu 60, a miejscami 65 stopni. Warunki lodowe były dość dobre. Metry odmierzane bezustannymi uderzeniami przyrządów i raków, na przemian lewa i prawa... O 12 w południe byłem już niedaleko grani. Na widok śnieżnych zachodów serce zabiło mi raźniej, ale na krótko. Za sprawą stromych płyt skalnych, pokrytych cienką warstwą śniegu, osunąłem się kilka razy ze zgrzytem raków i ostrzy czekanów. Zorientowałem się, że do zachodów nie dojdę. Pułapka? Schodzenie było możliwe ale nierealne. W górze trudna bariera skalna. Po 3 godzinach przeróżnych prób i odwołaniu się do doświadczenia i szczęścia, osiągnąłem grani na wysokości 7750–7800 m, już ponad zachodami.

Wyczerpany byłem bardziej psychicznie niż fizycznie. Zaczął sypać śnieg, wobec czego zaniechałem kontynuowania wspinaczki aż do szczytu, na którym byłem już 24 kwietnia. W tych warunkach nie należało zwiększać ryzyka, chociaż bardzo chciałem dokończyć drogę we właściwym stylu. Była 3 po południu, gdy obniżając się trudnymi trawersami osiągnąłem obóz III (7450 m), gdzie zastałem Ingrid i... Ralfa Dujmovitsa (członka wyprawy niemieckiej), którzy przygotowywali się do ataku na szczyt. Zszedłem więc do naszego biwaku na wysokości 7000 m, gdzie spędziłem noc w dziurawym już namiocie. Następnego dnia — był to 11 maja — powróciłem do bazy, podczas gdy Ingrid i Ralf dokonali wejścia na szczyt Dhaulagiri. Wyruszyli oni o godz. 5, rozdzielili się jednak i wierzchołek osiągnęli oddzielnie o godz. 11 (Ralf) i 14 (Ingrid). Powrócili do obozu III i następnego dnia zameldowali się w bazie. 12 maja wyprawa zakończyła działalność.

Reasumując, wyprawę uznać należy za bardzo udaną. Mały, właściwie pięcioosobowy zespół (Darek opuścił nas ze względu na stan zdrowia już na początku wyprawy) działał w świetnej koleżeńskej atmosferze i dobrze współpracował. Szkoda tylko, że w końcowych dniach nerwobóle Janusza i przemęczenie Zbyszka udaremniły im ostateczny atak, do którego byli przygotowani. Ingrid



Wschodnia ściana Dhaulagiri z nową drogą

Fot. Krzysztof Wielicki

osiągnęła szczyt Dhaulagiri jako trzecia w ogóle kobieta, był to zarazem jej drugi ośmiotysięcznik, miała bowiem już za sobą Gasherbrum II.

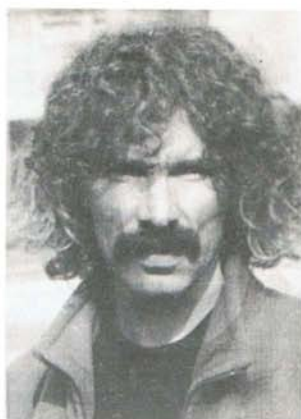
Dhaulagiri 1990. The small international party was led by Krzysztof Wielicki. On 24 April he reached the top of the mountain starting solo from a tent at 7,000 m. This was his 7th 8,000er. On 9 May (from 11 p.m.) and 10 May (till 3 p.m.) Wielicki climbed alone the triangle East Face opening an impressive direct route. The line took the steep ice couloir (60–65 Degree) in the centre of the face, reaching the ridge at 7800 m. The most difficult sections were the 80-metre icefalls in the bottom part and a snow covered rock barrier guarding the access to the ridge. Because of stormy conditions he gave up to repeat the ascent of the summit. On 11 May Mrs. Ingrid Bueyens from Belgium got to the top, accompanied by Ralf Dujmovits, member of a German expedition.

Postanie miłości na Lho La

Znany włoski organizator wypraw, Oreste Forno, przekazał nam informacje o kierowanej przez siebie wiosną 1989 r. ekspedycji CAI „Citta di Oggiono”. Poszczęściło jej się na Dhaulagiri, której czubek w dniu 11 maja osiągnęli Fausto De Stefani (pisany też Destefani) oraz Sergio Martini. Dla obu z nich był to ósmy ośmiotysięcznik. Następnie przeprowadzono się do Tybetu, docierając 2 lipca (dni ewakuacji Andrzeja Marciniaka) do bazy Rongbuk. Zła pogoda pokrzyżowała plany: próbując dokonać całonocowego przejścia Wielkiego Kuluaru Everestu, zdolali dotrzeć tylko do wysokości 7500 m.

Przed opuszczeniem Rongbuku włoscy alpinści udali się na przełęcz Lho La, gdzie na świeżym jeszcze lawinie — grobie piątki naszych Przyjaciół — zatknęli czekan z umocowaną doń plakietką z metalowym krucyfiksem, poświęconym przez Ojca Świętego i wręczonym wyprawie z prośbą o umieszczenie go na szczycie Everestu — z posłaniem „miłości, pokoju i braterstwa”. Na miejscu wypadku odmówili modły za tragicznie zmarłych. Oreste przekazał nam wycinki z włoskich gazet oraz zdjęcie krucyfiks. Błogosławiąc krzyżyk Papież nie przypuszczał, że zamiast na szczycie Everestu znajdzie się on na lodowej mogile jego rodaków.

Samotnie na Pumori



Krótkie informacje o moim późnojesiennym wejściu na Pumori (7165 m) ukazały się w paru czasopiśmie, m.in. w „Gościńcu” — tu chciałbym podać nieco więcej szczegółów a także podzielić się kilkoma spostrzeżeniami.

Jesień 1990 r. charakteryzowała się w Himalajach piękną pogodą i doskonałymi warunkami w ścianach. Ponieważ z aurą bywa różnie, powyższa uwaga dotyczy w każdym razie obszaru od Rolwalingu po Makalu, co mogłem stwierdzić naocznie, przebywając w tym rejonie przez miesiąc na przełomie października i listopada. Rozmowy, jakie przeprowadziłem z alpinistami napotykanymi w Katmandu i na trasie, potwierdzają tę obserwację. Christine de Colombel, uczestniczka francuskiej wyprawy na Everest, opowiadała, że w bazie przebywało ok. 250 osób, a do Przełęczy Południowej prowadził „szlak trekkingowy”. Również sąsiednia Pumori miała w tym sezonie kilka wejść. Prawdziwym rekordzistą sezonu był Amerykanin Andy Perkins, który wszedł na szczyt trzy razy, dwukrotnie drogą normalną, czyli południowo-wschodnią ścianą do północno-wschodniej grani, oraz żebrzem południowym, w ciągu 11 godzin dokonując trawersowania góry (zszedł drogą normalną). Jednak już od początku listopada powyżej 6–7000 m wiały bardzo silne wiatry, co dotkliwie odczuł na własnej skórze członkowie radzieckiej, znacznie spóźnionej wyprawy na Cho Oyu. Kilku doznało odmrożeń i w efekcie nie zdolali oni dokończyć drogi granią południowo-zachodnią, zapowiadającą się na długą i trudną.

W rejon Khumbu trafiłem nieco przypadkowo, w składzie niemieckiej „wyprawki” trekkingowej, której uczestnicy pragnęli m.in. wejść na Island Peak (Imja Tse, 6173 m) oraz przejść przez 3 wysokie przełęcze do bazy pod Makalu. Brak motywacji, drobne choroby i przecenienie własnych sił sprawiły, że plany te nie zostały zrealizowane. Dysponując 10 dniami wolnego czasu, postanowiłem wykorzystać piękną pogodę, dobre warunki i używaną wcześniej na Parchamo Peak (6187 m, Parchemuche) i Island Peak aklimatyzację i skierowałem się pod Pumori. W pewnej mierze przyczynił się do tego i Andy Perkins, którego wcześniej spotkałem w pobliżu Tengboche i który zachwalał drogi i „betony”.

Z góry założyłem, że wejście nie powinno zająć mi więcej niż dwie doby, mogę więc zrezygnować z przyborów do gotowania, opierając się na zapasie żywności i płynów zabranym z Gorak Shep. Maksymalnie zredukowałem też sprzęt i wyposażenie, zabrakło mi jednak odwagi, by również pozostawić śpiwór i karimatę. Oczywiście, nie zabrałem z sobą namiotu, a jedynie folię NRC. W Lobuche dokonałem zakupów: litr herbaty z mlekiem (do butelki), puszka (800 g) kompotu ananasowego, 5

jaj na twardo, 2 konserwy rybne po 250 g, herbatniki i 2 puszczyki filecików z kaparkami po 50 g. W tamtejszym „hoteliku” spożyłem też obfite śniadanie. Na obiad zatrzymałem się w jednej z bud w Gorak Shep i około godz. 16 dotarłem zanikającą ścieżką do podstawy ściany, gdzie odnalazłem platformy po zakładanych tam zwykle bazach wynisniętych (ok. 5700 m).

Po biwaku, o godz. 7 rozpocząłem wspinaczkę. Był 12 listopada. Początek drogi sprawił mi nieco kłopotu. W górze widniały strzępy lin, i to w dwóch różnych miejscach, ale teren był stromy i bardzo kruchy. Pół godziny straciłem na pokonanie pierwszych stu metrów, i to dopiero za drugim podejściem, bardziej na prawo. Wyżej napotkałem kilka poręczówek po poprzednich wyprawach, do których wpinałem się nie obciążając ich. O godz. 10 dotarłem do miejsca byłego obozu (platformy, śmiecie, kanister z ok. 20 l nafty itp.). Powyżej ciągnęło się strome i długie pole firnowe, wyraźnie zagrożone przez barierę niewielkich seraków, widocznych na tle nieba wzdłuż grani północno-wschodniej. W górnej jego części, w poprzek toru lawinowego, prowadziły ukośnie w górę dwie lub trzy poręczówki, dalej zaś teren się kładł i doprowadzał do szerokiej grani, łączącej Pumori z Lingtrenem (6749 m). Byłem tam o godz. 11. Pamiętając, że jest to wysokość ok. 6600 m, stwierdziłem, że zdążę wejść na szczyt i wrócić przynajmniej do tej niewyraźnej przełączki. Mogłem więc pozostawić tu cały plecak i po 45 minutach odpoczynku, w czasie którego zjadłem kompot ananasowy, ruszyłem w górę, zabierając z sobą tylko aparat fotograficzny i płachtę NRC.

Niewyraźne ślady prowadziły przez labirynt raczej bezpiecznych seraków, wystających ze stromej ściany kopuły szczytowej. Wiał silny wiatr, który od południa nagał chmury, przysłaniające horyzont od strony Cho Oyu i Ama Dablam. Zdało mi się, że wspinam się bardzo wolno, męczył mnie kaszel i ból przeziębionego wcześniej gardła. Wreszcie spostrzegłem, że chmury gnane wiatrem uciekają jakby tuż nad głową, powyżej seraka, do którego się zbliżałem — to musiał (nie, nie musiał!) być szczyt, tak myślałem i chciałem w to wierzyć.

Zupełnie niespodziewanie stroma rynną w seraku wyprowadziła mnie prawie na sam wierzchołek. Byłem na nim o godz. 16.10 i tylko przez 10 minut. Znalazłem tybetańską flagę modlitewną na cienkim bambusie, wbitym w śnieg i leżący obok bambusowy traser bez szmatki. Widok na masyw Everestu jest z tej perspektywy po prostu oszałamiający. Kocioł Zachodni widać cały, a wszystko jest tak bliskie i tak ogromne, że nie można objąć

całości standardowym obiektywem. Po wykonaniu kilku zdjęć rozpocząłem zejście, w ciągu 40 minut osiągając mój depozyt na grani. Po dalszym zejściu byłem znowu u podstawy ściany i tam zabiwałem po raz wtóry. Następnego dnia zszedłem do Lobuche i po południu dotarłem aż do Pheriche. 14 listopada, dokładnie po 48 godzinach od chwili wejścia na Pumori, piłem w Namche Bazar upragnione piwo.

ZWYCIEŚTWA, ODWROTY, ŚMIERĆ

Wiosna 1991 w Himalajach

Mamy za sobą kolejny wielki i obfitujący w zdarzenia sezon w Himalajach. Według Ministerstwa Turystyki Nepalu, w Katmandu wydano 40 pozwoleń na wyprawy z 20 krajów, a były wśród nich kraje tak rzadko widywane w głębi Azji, jak Dania (najwyższy szczyt 173 m n.p.m.) czy Irlandia (Carn Tuaitil, 1041 m). Tadeusz Skarja zdołał zebrać dane sezonowe, obejmujące nie tylko Nepal, ale i szczyty na jego pograniczu, atakowane od strony Tybetu i Sikkimu. Według tak poszerzonego wykazu, w Himalajach działało wiosną co najmniej 50 wypraw, z czego połowa osiągnęła cele. Nadal trwa szal ośmiotysięczników — aż 70% wypraw pod nimi rozbiło swoje bazy, przy czym tylko nieliczne zaplanowały drogi inne, niż normalne. W centrum uwagi był, jak zwykle, Mount Everest. Obiegało go 15 wypraw. Choć Oyu szturmowało 7 wypraw, które wprowadziły na wierzchołek 33 osoby, w tym 4 panie. Na Kangchendzöngę weszły 2 wyprawy, również 2 (w tym duńska) na Dhaulagiri. Z 4 wypraw przyzających pod Manaslu wejścia dokonała jedna. Całkowicie obroniły się tym razem Makalu i Annapurna. Zestawienie nie obejmuje zawsze ludnej Shisha Pangmy ani też grup przybywających z głębi Chin, do owych 50 wypraw trzeba więc dodać jeszcze co najmniej pięć.

Warunki meteorologiczne były trudne, a w zachodniej części Himalajów — całkiem złe. „Pod Manaslu — mówi Siergiej Bierszow — zastaliśmy niespodziewanie wielkie śniegi, a potem sypało i sypało każdego dnia.” W rejonie Everestu wyprawy narzekały nie na opady, lecz na mrozy i szalejące bez przerwy wichury.

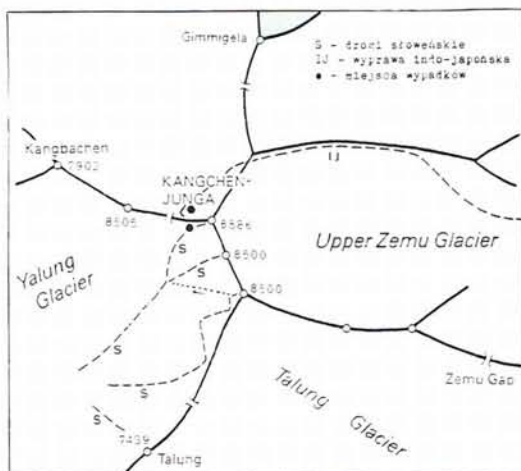
Gorzka radość Jugosłowian

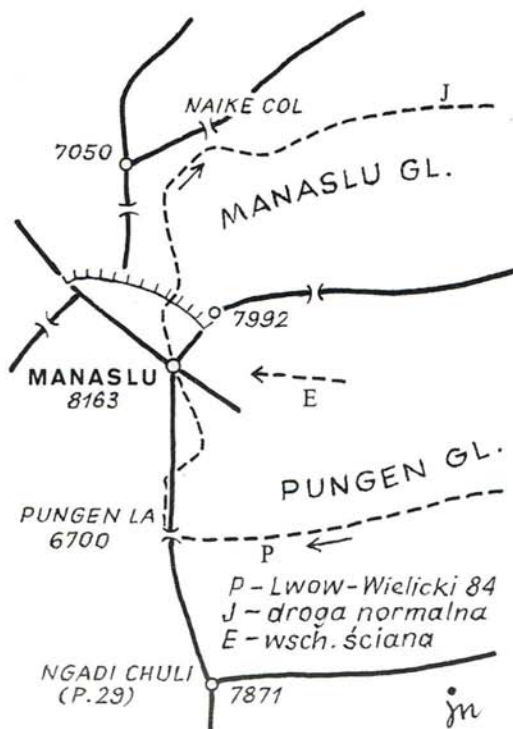
Na pełny obraz sezonu trzeba będzie jeszcze poczekać, już dziś jednak widać, że kilka osiągnięć zasługuje na wysokie oceny. Niektóre projekty były zresztą bardzo ambitne. Uparty Marc Bataud (Francja) już po raz trzeci zapowiadał realizację trawersu Everest — Lhotse, z noclegiem na czubku Everestu. Włoska grupa „Ragni” (kierownik Casimiro Ferrari) planowała zachodnią ścianę Makalu, zaś wyprawa hindusko-japońska — dziewięć wschodnią ścianę Kangchendzöngi. Chantal Mauduit marzył się tytuł pierwszej Francuzki na Everestcie „sans oxygène”. Cel doborowej ekipy ukraińskiej stanowiła wschodnia ściana

Manaslu, w r. 1987 „napoczęta” przez Ludwika Wilezińskiego i Krzysztofa Pankiewicza. Harry Taylor (GB) i Russell Brice (NZ) podjęli drugą próbę przejścia całości NE grani Everestu. Shinichi Hirano z grupą alpinistów z Uniwersytetu Meiji zamierzał osiągnąć tę granicę przez piękną „Fantasy Ridge” (mapka w TB 1/91 s. 7). Żadnego z tych śmiałych projektów nie udało się zrealizować, co jednak nie podważa wyrażonego na wstępie twierdzenia, że sezon był bardzo ciekawy.

Zaczął się od pewnej niespodzianki. Członek debiutanckiej wyprawy z Irlandii, Mick Murphy, już 4 kwietnia wszedł na Ama Dablam w odważnym samotnym wypadzie. Mimo iż szczyt ten oblegało 6 wypraw, na czubku nie stanął nikt więcej. Tygodniowy okres słońca na przełomie kwietnia i maja dał szansę paru ekipom, które zdążyły się przygotować do ataków szczytowych. Niewątpliwie wydarzeniem sezonu była słoweńska wyprawa na Kangchendzöngę (kierownik Tadeusz Skarja), z udziałem Ewy Pankiewicz i Wandy Rutkiewicz (TB 1/91 s.2-3). Oto imponująca lista sukcesów naszych kolegów ze Słowenii:

10 IV wejście na Boktoh (6142 m): Marko Prezelj. Uroš Rupar i Andrej Štremfelj.





20 IV wejście nową drogą (ściana zachodnią) na Talung (7349 m): Marko Prezelj i Andrej Stremfelj, przy czym tylko pierwszy z nich dotarł do szczytu (III wejście).

25-30 IV pierwsze wejście południowo-zachodnim filarem Kangchendzongi Południowej (ok. 8500 m): Marko Prezelj i Andrej Stremfelj. Stylem alpejskim, bez tlenu — 2900 m wysokości, IV-VI.

1 V pierwsze wejście samotne na Kangchendzongę Środkową (ok. 8500 m): Uroš Rupar, polską drogą (IV).

1 V wejście drogą normalną (z tlenu) na Kangchendzongę (8586 m): Viktor Grošelj (jego 9. ośmiotysięcznik) i Stipe Božić (3. ośmiotysięcznik).

1 V odwrót w nieporządku z wysokości 7050 m, 400 m od szczytu, po przejściu głównych trudności wschodniej ściany Kumbhakarny East (7468 m): Vanja Furlan i Bojan Počkar. Wysokość ściany 1500 m, pokonano odcinki VI-VII UIAA.

Rosjanie nie chcą być gorsi

W tym samym czasie na Manaslu działała wyprawa ukraińska, kierowana przez prof. Władimira Szumichina (i jako trenera) Siergieja Bierszowa. Po założeniu trzech obozów i dotarciu do 7200 m na wschodniej ścianie, zmieniono plany. 1 maja Aleksiej Makarow, Wiktor Pastuch i Igor Swiergun wyruszyli ku szczytowi alpejskim stylem polską drogą (Lwow i Wielicki, 1984). W dniu 6 maja, po 5 biwakach, trójka stanęła na wierzchołku Manaslu (8156 m), by w dół zejść drogą normalną. 8 maja na wysokości 6500 m nastąpiło spotkanie z zespołem Kammerlandera, na dwa dni przed jego tragedią. Trzej Ukraińcy dokonali I powtórzenia drogi polskiej i I trawersowania Manaslu z południa na północ. Bardzo cenne osiągnięcie.

Inny przebieg sezonu również należy do wyprawy radzieckiej. Celem doborowej ekipy z Kazachstanu, którą kierował Erwand Iliniński (50), była zachodnia ściana Dhaulagiri — nową drogą, na lewo od próby czeskiej. Wypatrzyli ten problem Kazbek Waliew (główny organizator wyprawy, choć w niej nie uczestniczył) oraz Juri Moisiejew, atakując w r. 1988 SW filar Dhaulagiri. Drogę poprowadzono bardzo śmiało, największe trudności pokonując w skalnych partiach od 5400 do 6200 m. Stromizna sięgała tam 80 st., zdarzały się nawet przewieszki. Założono 6 obozów na wysokości 4800, 5200, 5800, 6200, 6800 i 7400 m (ostatni już na grani). O klasie zespołu — nazwiska mówią zresztą same za siebie — świadczy to, że w dwóch rzutach na szczyt weszło aż 10 uczestników. Piątką w dniu 10 maja kierował Juri Moisiejew, drugą zaś, 13 maja — Waleri Chruszczaty. Członkami obu zespołów byli: Andriej Celinszczew, Anatoli Bukrijew, Władimir Suwiga, Rienat Chajbullin; Władimir Prisiażny, Artur Szegaj, Aleksandr Sawin i Zaurbek Mizambiekow. Nowa droga należy do najtrudniejszych na Dhaulagiri.

Na sezon wiosenny kluby radzieckie zaplanowały więcej wypraw, część trzeba było jednak przesunąć na jesień. W ogóle należy oczekiwać, iż wyprawy ze Związku Radzieckiego w najbliższych sezonach dokonają prawdziwego podboju Himalajów Nepalskich, oczywiście pod warunkiem, że sytuacja gospodarcza nie pokrzyżuje im planów. W różnych ośrodkach kraju, a czołowymi są Alma Ata (wysokość) i Petersburg (zima), działa stu lub więcej alpinistów zdolnych podejmować najtrudniejsze zadania wysokościowe i techniczne. Mają oni oparcie w potężnym aparacie organizacyjnym. Wyprawy radzieckie stosują na ogół taktykę mieszaną. Zakładają obozy i rozpinają liny poręczowe, przy szczytach najwyższych mają tlen, choć nie wszyscy szturmowcy z niego korzystają. Kiedy jednak dochodzi do finału lub gdy sprawy się komplikują (Manaslu) łatwo wylaniają się zespoły zdolne do działania nowoczesnym stylem alpejskim, i to z brawurą i skutecznością.

Tajemnica ich perfekcji jest podobna, jak w przypadku Jugosłowian. Ludzie ci spędzają długie miesiące w górach i są niesłychanie rozwspinani, a nierzadko przygotowywani w ramach specjalnych zgrupowań. W Jugosławii 50 czy nawet 80 dużych dróg w ciągu roku to nieomal norma każdego alpinisty, a Tómo Cesen nie pojechał wiosną pod Annapurnę, gdyż cykl prelekcji nie pozostawił mu czasu na racjonalny trening w Alpach.



Osiągnięć było więcej

Oczywiście, wiosną 1991 nie próżnowały i inne nacje. Tak np. wzmiankowana wyżej wyprawa hindusko-japońska, która uzyskała zgodę na atakowanie Kangchendzongi z doliny lodowca Zemu (z Sikkimu), co prawda zrezygnowała z dziewięciu

czej ściany, w zamian za to dokonała jednak II wejścia tzw. wschodnim żebrzem, znanym już wyprawom Bauera z lat 1929 i 1931. Po założeniu serii obozów, w dniu 24 maja na szczyt weszło 3 Japończyków (dla Hideji Nazuki był to trzeci 8-tysięcznik), zaś nazajutrz — 3 Hindusów, członków słynnej Indo-Tibetan Border Police. Respektując uczucia religijne miejscowej ludności, oba zespoły zatrzymały się w odległości 10 m od czubka góry. Kierowali wyprawą Hukam Singh (Indie) i Yoshio Ogata z Japonii.

Na Mount Everest weszło 30 osób, w tym 11 Sierpów. Nie powiodło się Australijczykom na grani zachodniej ani Koreańczykom na ścianie południowo-zachodniej. Russell Brice i Harry Taylor powtórzyli swą próbę przejścia grani północno-wschodniej, ale dotarli tylko do stóp turni 8423 m. Kompletnym fiaskiem zakończyła się natomiast próba Japończyków od strony lodowca Kangshung: już 5 maja ogłosiła ona odwrót z wysokości 6500 m. Najciekawszy sukces odniosła na Everestze mała wyprawa włoska, którą kierował Oreste Forno. Zaplanowała ona „integralne” przejście całości tzw. Kuluaru Nortona. Jako pierwsza ruszyła do szczytu świetna dwójka Giuliano De Marchi i Fausto De Stefani. Niestety, na wysokości 8350 m ten drugi zapadł na obrzęk płuc i odwrót przemienił się w 5-dniową walkę o życie obu alpinistów. Finał dzielnie rozegrała druga dwójka: Battista Bonali i Czech Leopold Sulovský (jesienią 1990 Dhaulagiri), którzy 17 maja osiągnęli wierzchołek. Nikt nie używał tlenu, nie korzystano z pomocy Sierpów, liny poręczowe ograniczono do 80 m w głównym spiętrzeniu kuluaru (55 st.). Kolejne bardzo ładne i wolne od natrętnej reklamy osiągnięcie.

Jeśli chodzi o szczyty niższe, wymienić warto piąte wejście na Apí (7132 m, Koreańczycy) i drugie wejście na Kanjerlwa (6612 m, na szczycie m.in. weteran Jordi Pons). Japończyk Toshio Ohno przeszedł solo południowo-zachodnią ścianę Lobuje East, osiągając wierzchołek 6080 m.

Ślady ludzkich stóp

Jak to zawsze bywało, pogoda determinowała działalność, ale nie ostatecznie. Wyprawy silnie dawały sobie radę i przy gorszych warunkach meteorologicznych. Pisze Artur Szegaj spod Dhaulagiri: „Dolna skalna ostroga była trudna, a na dodatek robiliśmy ją przy wyjątkowo złej pogodzie. Przez całą pierwszą połowę kwietnia walił śnieg. W bazie było go czasami do pół metra. Później warunki się ustabilizowały, a właściwie to my przywykliśmy do kaprysów aury i robota na ścianie posuwała się żwawo naprzód.” Z Kangchendzongi i Everestu mamy przykłady większej skuteczności wypraw (zespołów) stosujących tlen. „Zła pogoda i obawa przed odmrożeniami — wspomina Steven Untch — hamowały nasz postęp. Amerykanie byli w stanie przeć w górę dzięki temu, że posługiwali się tlenem. Oni też zaporęczowali co trudniejsze miejsca i ułatwili wszystkim odwroty.”

Podobnie, jak w roku zeszłym, można było obserwować wzrost świadomości ekologicznej wśród

uczestników wypraw. Zespoły miały w programie prace na rzecz środowiska, inne dbały przynajmniej o to, aby nie pozostawić własnych śladów. W dniu 25 kwietnia na Pumori weszli filarem amerykańskim SE ściany Baskowie Rojo i Díaz de Durana. „Pomni przeróżnych apeli, m.in. Mountain Wilderness — czytamy w ich sprawozdaniu — przed opuszczeniem gór zlikwidowaliśmy wszystkie nasze odpadki i usunęliśmy ślady pobytu. Całkowicie uporządkowana została droga, na której nie pozostał ani jeden metr liny, ani jedna pętla czy śruba lodowa.” I Amerykanin Eric Simonson spod północnej ściany Everestu: „Po wspinaczce usunęliśmy cały śmietnik od bazy wysuniętej począwszy (6500 m) a na bazie właściwej kończąc. Wysłaliśmy do Xegar ok. 3500 kg odpadków i 28 maja pozostawiliśmy bazę nieskazitelnie czystą.”

La notte piu terribile

Omówienie sezonu wyprawowego trudno zakończyć inaczej, jak rozdziałem zawierającym podsumowanie wypadków. Złe warunki pogodowe były tej wiosny przyczyną licznych odmrożeń i wychłodeń. „Problemy zdrowotne były na porządku dziennym — stwierdza Steven Untch spod Everestu — odmrożenia, obrzęki płuc i mózgu. Gdyby nie szpital polowy pomocnych wszystkim Szwedów, zgonów byłoby więcej niż te dwa, o których wiem.” Z poważnymi odmrożeniami powrócił z Ama Dablam Murphy, podmrażał się De Marchi. Wiele do myślenia daje przygoda De Stefaniego, jednego z najbardziej doświadczonych wspinaczy wysokościowych świata (9 szczytów 8-tysięcznych w latach 1983–90). Okazuje się — i to nie po raz pierwszy — że nawet tak sprawdzone osoby powyżej 7500–8000 m nie mogą czuć się bezpieczne.

Everest. Górna część drogi Wielkim Kuluarem. Po prawej Kuluar Hornbeina.



W sumie wypadków śmiertelnych zanotowano 12, a liczbę tę można uznać za umiarkowanie przeciętną. Wieczorem 3 maja podczas odwrotu spod szczytu Kangchendzongi w wyniku upadku śmierć ponieśli Słoweńcy Marija Frantar (35) i jej partner, Jože Rozman (36). Marija była jedną z najlepszych alpinistek swego kraju, weszła m.in. na Nanga Parbat flanką Rupal. 17 maja z północnej grani śmiertelny lot „zaliczył” członek wyprawy japońsko-hinduskiej, Pasang Sherpa, który będąc 100 m od wierzchołka zawrócił na polecenie bazy. Podczas powrotu z Cho Oyu, na polu lodowym na wysokości 6500 m spadł i zabił się Niemiec Horst Wasmann (52), w prasie zachodniej podawany za Szwajcara. Drugą ofiarą Everestu był rodak Horsta, Rüdiger Lang (34, zob. TB 3/90 s.6), który nie przeżył biwaku w złej pogodzie 1000 m poniżej szczytu Everestu. Podobnie jak Batard, i on planował łańcuchówkę Everest-Lhotse. „Mimo ostrzeżeń — jak pisała prasa niemiecka — wszedł w północną ścianę sam i bez ekipunku.” 22 maja, atakując Szczyt Centralny Shisha Pangma zaginęli bez śladu czterej alpinisci niemieccy.

Prawdziwie dramatyczny przebieg miał odwrót z wysokości ok. 7500 m trójki Tyrolczyków na Manaslu. Było to w dniu 10 maja 1991 r. W rejonie obozu III (6900 m) zabił się, być może przy robieniu zdjęć, Karl Grossrubatscher (29). Jego towarzysze, Hans Kammerlander i Friedl Mutschlechner, pochowali go i kontynuowali zejście, likwidując obozy. W pobliżu obozu I (5500 m) szli przez lodowiec na nartach, w odstępach ok. 10 m. Srożyła się burza, powietrze było naładowane elektrycznością. W pewnej chwili uderzył piorun i rzucał Hansa w śnieg. „Gdy się ocknąłem — mówi — chwyciłem za linę. Była zablokowana. Ruszyłem w stronę Friedla i wtedy poczułem swąd spalonego ciała. Friedl był martwy, z 3 dziurami w głowie.” Kammerlander zagrzebał się w śnieg i ok. 20 minut przeczekiwał atak nawałnicy. Przy każdym piorunie żegnał się z życiem. Potem przeciągnął zwłoki przyjaciela do obozu I i tam przetrwał pełną błyskawic i grzmotów noc. „Questa resterà la notte più terribile della mia vita”, stwierdza.

W sumie, mimo kaprysów pogody, sezon wiosenny przyniósł nowe tuziny zdobywców szczytów 8-tysięcznych, zwłaszcza Cho Oyu, Everestu i Shisha Pangmy. Prowadzenie

szczegółowych list nazwisk, co usiłują jeszcze robić skomputeryzowani kronikarze, zaczyna miać się z celem, jak ok. 1860 r. straciła sens imienna ewidencja wejść na Mont Blanc a ok. 1880 na nasz tatrzański Gierlach. Sezon dorzucił też kilka nowych dróg, z których najcenniejsza — przy całym szacunku dla Dhaulagiri — wydaje się być filar Kangchendzongi Południowej. W poprowadzeniu jej w zrygask ujawniła się dojrzałość taktyczna słoweńskiej dwójki, która nie chciała uwikłać się w „piątki” powyżej 7000 m, co bez wsparcia tlenowego groziło zawisnięciem się na śmierć, jak to się zdarzyło Słowakom na Everestcie. Uchował dziewiczość wierzchołek 7468 m Jannu czyli Kumbhakarny, chociaż młodzi Słoweńcy pokonali niemal całe trudności ściany. Niewielkie zmiany następują u czoła listy kolekcjonerów szczytów 8-tysięcznych (TB 3/90 s.21): na miejsce 8 awansował Viki Grošelj, nie posunęli się natomiast w górę De Stefani (aktualnie miejsce 7) i Kammerlander (miejsce 12).

Jeśli chodzi o wypadki, jest ich zbyt mało, by mogły się nasunąć jakieś wnioski statystyczne. Znamienne, że wszystkie wydarzyły się na szczytach ośmiotysięcznych, a 4 osoby zginęły w wyniku upadków na wysokości ok. 8500 m lub większej. W naszym wyczeniu pierwszą piątkę zgonów może łączyć wspólna przyczyna: wyczerpanie wysokościowe wskutek przekroczenia własnych granic wydolności i aklimatyzacji.

Czekamy teraz na rozwój sezonu jesiennego, którego szlagierem będzie finalny atak na Namche Barwa (7782 m), najwyższy i jeden z najtrudniejszych dotąd dziewiczych samodzielnych szczytów Ziemi. Atakuje go silna wyprawa japońsko-chińska. Znosi się też na sensację sportową: Władimir Bałyberdin zapowiedział wyścigi na szczyt Everestu — z wejściem i powrotem w ciągu jednego dnia!

Józef Nyka

Himalaya. Pre-monsoon season 1991. Although the weather was poor, the Himalaya has been the scene of much activity. No less than 55 expeditions were in the field, 50% of them with success. Some high-quality climbs should be recorded. A huge team from Slovenia led by Tone Skarja completed a series of impressive ascents on Kangchenjunga, a Kazakh group pioneered a new route via the West Face of Dhaulagiri, a party from Ukraine made the first SE-NE traverse of the Manaslu. The season was marred by at least 12 deaths, mostly by falls. Over 70% of all expeditions opted for 8,000ers and all deaths were on these peaks.

W ostatnich latach śmierć zabrała kilku wybitnie zasłużonych alpinistów i działaczy naszej organizacji, członków honorowych Klubu Wysokogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu. I tak odeszli od nas:

JERZY KUKUCZKA
JERZY HAJDUKIEWICZ
WŁADYSŁAW MANDUK
CZESŁAW ŁAPIŃSKI
KAZIMIERZ PASZUCHA
JAN ALFRED SZCZEPANSKI
JULIAN ŁASZKIEWICZ

Ich pamięć pozostanie żywa na kartach historii taternictwa i alpinizmu polskiego a także w naszych sercach i naszej pamięci

POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU

Dhaulagiri ścianą zachodnią

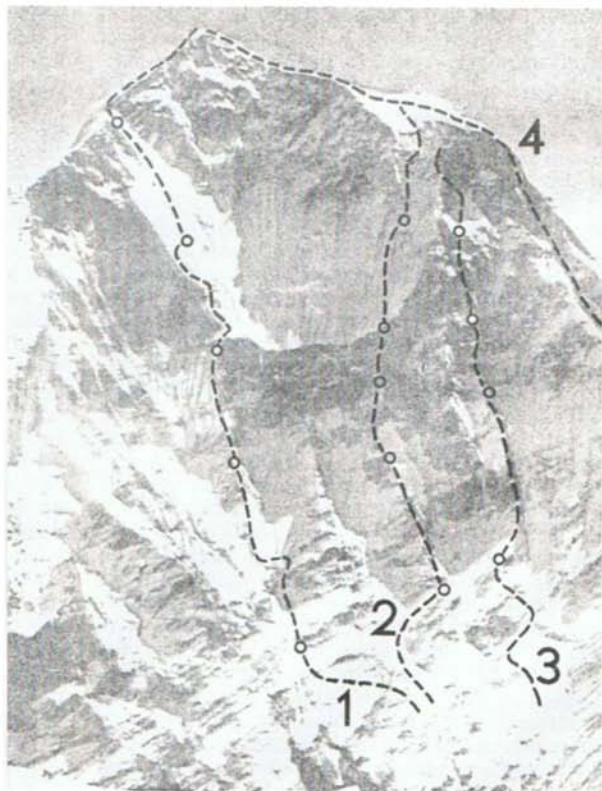


Ściana ta ma bez mała 3500 m wysokości, a w jej górą połowę wciną się charakterystyczny półkolisty kocioł lodowy. Jesienią 1984 roku lewą stroną poprowadziła drogę wyprawa czecosłowacka, niestety, podczas zejścia ze szczytu poniósł śmierć Ján Šimon. W rok później druga wyprawa z tego kraju (obiema kierował Jiří Novák) pokonała prawą połąkę urwiska, osiągając wysokość 7250 m w pobliżu spłaszczonej tu grani. Przejście ściany bliżej jej środka było jednym z dwu głównych sukcesów wiosny 1991 w Himalajach. Drogę wypatrzyli w r. 1988 Juri Moisiejew i Kazbek Waliew, a wyprawę zorganizowała Federacja Alpinizmu Kazachstanu wspólnie z M.A.L. Chan Tengri. Sponsorem — tak! — był Invesibank Alma Ata. Oto krótka relacja, przy czym dodać trzeba, iż jej autor operuje danymi (np. wysokościami obozów) odbiegającymi od podawanych gdzie indziej. (Red.)

Z Katmandu wyruszyliśmy w końcu marca. Głównym organizatorem wyprawy był Kazbek Waliew, czas nie pozwolił mu jednak na kierowanie nią, które to obowiązki przejął starszy trener, Jerwand Ilinski. Ekipę sportową tworzyło 11 wspinaczy, w większości ludzi o dużym doświadczeniu wysokościowym. Wynajęliśmy 154 tragarzy, Sierpowie nie zostali zatrudnieni. Baza stanęła 2 kwietnia na wysokości 3600 m. W początku kwietnia przystąpiliśmy do instalowania obozów. Pracowaliśmy systemem wyprawowym, rozpinając poręczówki i zakładając obozy — z powrotami do bazy na wypoczynek. Obozy stanęły na wysokości 4670, 5100, 5600, 6050 i 6700 m — ostatni w dniu 7 maja. Obozu VI w rzeczywistości nie było, na wysokości 7400 m biwakowaliśmy jedynie przed atakami szczytowymi. Jeden z uczestników, Wiktor Diedi, już w trakcie robót na ścianie oberwał ka-

mieniem, co wyłączyło go z dalszej akcji. Pozostała dziesiątka podzieliła się na 2 grupy i w dniach 10 i 13 maja weszła na szczyt, oczywiście nie postępując się tlenem.

Nazwiska członków obu zwycięskich piątek podane są w omówieniu sezonu. W dniu 10 maja na szczycie było bardzo mroźno i wietrznie. 13 maja warunki były łagodniejsze, jednakże w południe otuliła szczyt mgła, powodując kłopoty orientacyjne. Pod wieczór znowu zerwał się wiatr i widoczność uległa poprawie. Przez cały czas trwania wyprawy pogoda nie była po naszej stronie. Rano można było popracować do godz. 10–11, później niebo zaciągały chmury i sywał śnieg. Dokuczliwe były też wiatry. Zaledwie kilka dni zdołaliśmy wykorzystać w całości. Nasza droga ma charakter kombinowany, przy czym kluczowe trudności skupiają się w pasie 4800–6050 m. Między obozami I i II i jeszcze trochę wyżej wiedzie ona stromą



Zachodnia ściana Dhaulagiri. 1. i 3. — drogi czecosłowackie; 2. — droga Kazachów; 4. — filar południowo-zachodni (1988).

grzędą z urwistymi bastionami skalnymi. Potem grzęda przechodzi w ścianę. Obozy II–IV stały w stromej monolitycznej ścianie — litej w niższych partiach, w środkowych zaś i górnych kruchej i niebezpiecznej. Jej średnie nachylenie oszacowaliśmy na 65–75 stopni, nie brakowało jednak odcinków pionowych a nawet przewieszonych. Między obozami IV i V rozpinął się stromy stok lodowy, w górnej części (300 m) przechodzący w gładkie zalane lodem płyty. Ta trudna formacja prowadziła nas aż do firnowego plateau na wysokości 7400 m (biwaki). Wyżej wznosił się w stronę szczytu łagodnie nachylony firnowy grzbiet, z partiami lodu.

Jeszcze słowo o moim lecie 1990. Otóż po powrocie z Nepalu wyjechałem w Pamir, gdzie zrobiłem szereg wspinaczek, m.in., wchodząc na Pik Komunizmu i Pik Korzeniowskiej. Później przenieśliśmy się w Tien-szan, by tam w grupie 4 osób wejść na Pik Pobjedy i na Chan Tengri.

Dhaulagiri West Face 1991. A strong party from Kazakhstan, led by Ervand Ilinski, forced a new spectacular route up the 3400 m high face, left from the right-hand Czech line. 10 members of the 11-strong climbing team managed to reach the summit on 10th and 13th May 1991. Undoubtedly, one of the toughest ascents of the Himalayan year, pioneered in rather adverse conditions.

MONIKA NYCZANKA

Wypadek na Mount McKinley

W pierwszych dniach lipca 1991 r. w masywie Mount McKinley na Alasce (6194 m) rozegrały się dramatyczne wydarzenia. Próbę wejścia na ten szczyt — najwyższy w Ameryce Północnej — podjęli dwaj członkowie Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie, 27-letni Jacek Kozieł i 28-letni Krzysztof Wiecha. Obydwaj mieli za sobą spore doświadczenie wysokogórskie. Uczestniczyli w wejściach trekkingowych powyżej 5500 m, m.in. w rejonie Everestu i w Ameryce Południowej. W lecie 1989 r. byli na najwyższym szczycie Boliwii, Sajamie (6520 m) oraz na Coto-paxi w Ekwadorze (5896 m), podejmowali też zaważansowane próby wejścia na Chimborazo (6267 m) i Aconcagua (6960 m).

Do podnóża Mount McKinley dotarli z Nowego Jorku samochodem. Po okresie aklimatyzacji założyli oboz na wysokości 5200 m. Pogoda była znakomita, a długi dzień pozwalał na wspinaczkę w nocy, przy zmrzonym śniegu. 2 lipca wyruszyli w kierunku szczytu w towarzystwie dwóch Amerykanów z Colorado. Po godzinie podejścia Krzysztof Wiecha, któremu bardzo marzły nogi, cofnął się do namiotu. Trzej pozostali kontynuowali wspinaczkę i 3 lipca o godzinie 4 rano stanęli na szczycie Mount McKinley, po czym wrócili do obozu. Spotkali tam Krzysztofa, który jeszcze tego samego dnia ruszył samotnie do góry, w ślad za grupą Amerykanów, prowadzonych przez przewodnika. Amerykanie poruszyli się wolniej, tak że Wiecha wyprzedził ich. Na przełęczy Denali (5500 m) amerykański przewodnik zorientował się, że pogoda ulega zmianie i zarządził odwrót. Było zimno, temperatura poniżej -18 st.C, wiał silny porywisty wiatr, miotający śniegiem. Polak był już daleko w przodzie, wspiął się stromą krawędzią, skąd droga wiedzie na najwyższy, południowy wierzchołek. Wkrótce jednak i jego zatrzymała zawierucha. Wykopał jamę śnieżną i przeczekał noc. Rano warunki poprawiły się i wszedł na szczyt. Niestety, w trakcie zejścia zaskoczyło go ko-

lejne załamanie pogody, tym razem bardzo głębokie. Stracił orientację, wykopał jamę i postanowił czekać na poprawę warunków. Był zaledwie 150 m poniżej szczytu. Nie miał żadnego ekwipunku biwakowego, kochera, śpiworu, ani żywności. Zwartości małego plecaczka stanowiły aparat fotograficzny, tabliczka czekolady i butelka z niecałym litrem soku, który zamarzał. Mijały godziny, stracił rachubę czasu. Rozcierał ręce i twarz, kopał kolejne schrony. Cały czas liczył, że warunki ulegną poprawie i uda mu się zejść o własnych siłach.

W obozie na 5200 m towarzysze niepokoił się o niego. Próbowali wyjść mu naprzeciw, ale szalejąca zawierucha zmusiła ich do pozostania w namiotach. 5 lipca powiadomili przez radio lotnisko w Talkeetna. W dniach 4 i 5 lipca pogoda nie pozwalała na żaden lot. 6 lipca burza osłabła. O godzinie 3 po południu poszukiwawcza awionetka zauważyła Wiechę. Ku zdziwieniu pilota nie tylko żył, ale nawet wzywał pomocy. Do akcji włączono francuski helikopter Aerospatiale „Lama”. Zaczęto od zrzucenia poszkodowanemu pakietu ratunkowego. Spadł on w pobliżu jamy, ale osłabiony Polak nie zdołał go schwycić i pakunek potoczył się w dół. Zaraz potem przygotowyjący się do lądowania śmigłowiec uległ awarii: silnik zaczął się krztusić, a nawet zgasił na chwilę i tylko dzięki przytomności pilota nie doszło do katastrofy. Maszyna wróciła do bazy w Talkeetna, gdzie poddano ją kilkugodzinnej naprawie. Następnym razem pilot zabrał tylko jednego ratownika i wysadził go na wysokości 5900 m, kilkaset metrów od schronienia Wiechy, po czym poleciał po drugiego ratownika a na koniec po sprzęt.

Po północy 7 lipca ratownicy dotarli do Krzysztofa. Był w pełni przytomny, logicznie odpowiadał na pytania. Przetransportowano go do miejsc, gdzie wyładował helikopter. 7 lipca rano nasz kolega został przyjęty przez Humana Hospital w Anchorage — „w stanie poważnym, ale nie zagrożającym życiu”. Był wycieńczony i odwodniony.

Dopiero oględziny nóg wykazały ciężkie i głębokie odmrożenia. Alpinista przez cztery dni nie zdejmował „Koflachów”, rozgrzewał tylko ręce, nóg nie czuł. Tymczasem temperatura spadła poniżej -35 st.C, a odmrożeniom dodatkowo sprzyjała wysokość i odwodnienie organizmu. Dr William Mills, światowej klasy autorytet w dziedzinie odmrożeń i szef kliniki w Anchorage (TB 1/91 s.9), stwierdził, że wewnętrzna wkładka w „Koflachach” napęczniała na wysokości, dodatkowo upośledzając obieg krwi. Okazało się, że konieczna jest amputacja obu stóp. Krzysztof przeszedł już dwie operacje i nadal pozostaje pod opieką specjalistów z Anchorage. Początkowo starano się ocalić część stawu skokowego, okazało się to jednak niemożliwe i amputację trzeba było przesunąć wyżej.

Koszty kuracji Krzysztofa będą bardzo wysokie. Grono jego przyjaciół prowadzi kampanię prasową i radiowo-telewizyjną w Polsce, w USA i w Kanadzie, próbując zgromadzić choćby część potrzebnej sumy.

Krzysztof Wiecha ocalał dzięki ofiarności ratowników oraz specjalistycznemu francuskiemu helikopterowi. Śmigłowiec ten jest wykorzystywany przez służby Parku Narodowego Denali tylko w sezonie wspinaczkowym. Jest bardzo kosztowny, jednakże niezastąpiony na dużej wysokości. W nocy z 6 na 7 lipca, podczas opisanej wyżej akcji, ustanowił on rekord lądowania na Mount McKinley (5900 m), tylko o 160 m gorszy od światowego rekordu w tej dziedzinie (6060 m). Wyprawa ratunkowa po Wiechę była drugą w historii Mount McKinley prowadzoną na tak dużej wysokości, po tym, jak w roku 1976 udzielano pomocy dwóm alpinistom amerykańskim w rejonie szczytu.

Dla mnie ten wypadek ma także wymiar osobisty. Krzyska znam bowiem od wielu lat. Prowadziłem działalność w tym samym kole przewodnickim, ale przede wszystkim podróżowaliśmy razem przez wiele tygodni po Chinach, Tybecie, Nepalu i Indiach. Odbyliśmy wypadki trekkingowe pod Everest i Shisha Pangmę. Dał się wówczas poznać jako wspaniały towarzysz, radzący sobie w każdej sytuacji i chętnie śpieszący z pomocą innym — nawet jeśli trzeba się było rzucić w nurty rwącej himalajskiej rzeki, jak to się zdarzyło, kiedy wzbране wody porwały nasze krakowskie kołczanki. Alę Bednarz i Ewę Kurtykową. Od tamtej pory Krzysiek bardzo dużo podróżował po świecie. Wspaniale opowiadał, za każdym razem przy-

woził piękne slajdy i mnóstwo zaskakujących obserwacji. Mam nadzieję, że przezwycięży kalectwo i wróci do aktywnego życia, a nawet do turystyki górskiej, znamy bowiem niejednego przykład osób z protezami kończyn dolnych, uprawiających alpinizm. Nie dalej, jak jesienią 1990 r. pozbawiony nogi francuski wspinacz dokonał wejścia na Przełęcz Południową Everestu (7900 m).

PRZYPIS REDAKCJI

Jednodniowe wejścia na Mount McKinley nie są jeszcze na porządku dziennym, ale słychać o nich coraz częściej. Od r. 1989 praktykują je też Polacy. Tej wiosny wejścia takiego dokonał jugosłowiański alpinista, Vincenc Grilje, liczący lat 57. Z bazy na wysokości 4300 m dotarł on na szczyt w 10 1/2 godziny. Zejście zajęło mu dalsze 5 godzin. Warte podkreślenia jest fakt, że swe zamierzenie zrealizował zaledwie w tydzień po odlocie z Zagrzebia, a więc praktycznie bez aklimatyzacji. Wraz ze Stanetom Klemencem opuścił on kraj 14 maja. W dwa dni później byli w Talkeetna a 19 maja już w bazie na lodowcu (4300 m). We wtorek 21 maja skorzystali z dobrej pogody i o 6 rano rozpoczęli wspinaczkę. Klemenc, mimo iż dużo młodszy, nie wytrzymał tempa i wycofał się, natomiast Grilje parł do góry i wkrótce po godz. 16 stał na czubku najwyższego szczytu Ameryki Północnej.

Cene Grilje znany jest jako wytrawny wspinacz i ratownik. Od wielu lat kieruje kamienką placówką GRS, bywał też w innych górach, m.in. jako szef wyprawy na Lhotse Shar. Przeciętny czas wejścia na Denali wynosi 5-6 dni. Szybkie ataki dokonywane są w oparciu o spostrzeżenie, iż deterioracja wysokościowa wiaze większą trudność dopiero po 3-4 dniach. Ryzykowność tej — jakże efektywnej — metody polega na tym, że nie bierze ona w rachubę żadnych nieprzewidywanych komplikacji, jak np. raptowna zmiana pogody czy też drobna nawet kontuzja, uniemożliwiająca sprawną powrót do bazy. Krzysztof Wiecha wpadł w takie właśnie tarapaty. To, że całą przygodę zdołał przeżyć, zawdzięcza siłę woli i wyjątkowej odporności własnego organizmu, a także, oczywiście, zaangażowaniu i perfekcji alaskskich ratowników, którym należy się wyrazić serdecznego podziękowania.

Summary. On 21 May 1991 a 57 year old Yugoslav mountaineer, Vincenc (Cene) Grilje managed to climb Mount McKinley (6194 m) in 10 1/2 hours — 1 week after leaving his European country. He started from BC at 4300 m, descent took him 5 hours. By contrast, in early July making a speed ascent a young Polish climber was trapped for 4 days by atrocious weather short beneath the summit. Although being without gear and food, Krzysztof Wiecha survived and an air rescue team was able, with difficulty, to pick him up from the altitude of 6000 m. Unfortunately, he lost both feet because of severe frostbite. The one-day climbing method seems to be very effective but on Mount McKinley extremely hazardous because of sudden changes of weather conditions.

Pół wieku później

W grudniu 1989 i styczniu 1990 bawiłem w Andach, w grupie Ramady. Los sprawił, że na szczycie Cerro La Mesa (6200 m) znalazłem puszkę po „Ovomaltinie” a w niej połówką ze starości kartkę z następującym zapisem:

Polska Wyprawa Alpinistyczno-Naukowa. Expedición científica y alpinística polaca. J.K. Dorawski (Cracovia — Polonia), W. Ostrowski (Varsavia — Polonia), 10 II 34 (mgła — śnieg).

Nie jest to jedyny ślad po pierwszej polskiej wyprawie alpinistycznej w Andy (1933-1934), na jaki udało mi się natrafić. Od prostych żołnierzy i żandarmów, od dystygowanych panów łowiących ryby na wakacjach, od argentyńskich andynistów przypadkowo spotykanych w górach z przyjemnością wysłuchiwałem zapytań o to, czy wiem, kto był pierwszym zdobywcą Mercedario, albo o to, czy czytałem książkę „Mas alto que les condors”. Miło było być Polakiem.

Bolesław Dziągiew

Taternicki Klub Harcerzy, KW Kraków

Taternictwo jaskiniowe 1991

Aktualny stan taternictwa jaskiniowego w Polsce inaczej przedstawia się w liczbach, inaczej zaś w rzeczywistości. W 18 klubach speleologicznych i 3 sekcjach przy Klubach Wysokogórskich zrzeszonych jest ok. 1250 taterników jaskiniowych, działających „pod wodzą” aż 93 instruktorów. W ciągu ostatnich dwóch lat na łono PZA powróciło środowisko poznańskie (Speleoklub Akademicki Poznań), a w najbliższym czasie o rejestrację ubiegać się będą taternicy z Kielc.

Pomimo tak optymistycznej statystyki, spadła liczba osób działających w Tatrach, co nie jest, niestety, związane ze wzrostem aktywności w innych górach świata, gdyż ostatni sezon był ubogi także w wyprawy zagraniczne. Pomimo różnych trudności wyjazdowych, w minionych dwóch latach odbyło się kilka — tradycyjnych już — wypraw do jaskini Lamprechtsofen, kierowanych przez Andrzeja Ciszewskiego, w których trakcie wynikiem 1050 m ustanowiono nowy światowy rekord wysokości we wspinaczce jaskiniowej. Latem 1990 rekord ten „przeszedł istnieć”, ponieważ kolejna wyprawa połączyła „najwyższą jaskinię świata” z jaskinią Verlorenenweghöhle, co dało system o łącznej deniwelacji 1484 m, dzięki czemu Lamprechtsofen awansowała w klasyfikacji najgłębszych jaskiń świata na 3 miejsce — za Réseau Jean Bernard i Jaskinię Pantuchina, wysuwając się jednocześnie na prowadzenie wśród najgłębszych trawersów jaskiniowych. W innych masywach uzyskano również kilka rezultatów dobrze rokujących na przyszłość.

Działalność krajowa nie przedstawia się rewelacyjnie, choć trzeba przyznać, że większość przeprowadzonych akcji prezentuje dobry poziom sportowy. Nie należą już do rzadkości ani nie są uznawane za wybitne przejścia pełnowartościowe, czyli połączone z poręczowaniem i odporęczowaniem takich jaskiń, jak Śnieżna, Bańdzioch Kominarski czy Wielka Litworowa — nawet jeśli dokonują ich małe, dwuosobowe zespoły. Ciekawym osiągnięciem sportowym była akcja w Bańdziochu Kominarskim, podczas której zwiedzono 4 dna tej jaskini, co po zsumowaniu dało łączną deniwelację 1080 m.

TOMASZ K. PRYJMA

Śnieżna Studnia wspinaczkowo

Dokonanie czwórki warszawskich grotolazów młodszej pokolenia jest w dziedzinie wspinaczkowego pokonywania jaskiń niewątpliwym przebojem — nie tylko zimy 1990–91 ale i ostatnich lat. Zaatakowany został „z marszu” problem najwyższej klasy. Poprzeczka została podniesiona wysoko, i to w eleganckim stylu. Prezentujemy niżej relację jednego z uczestników przebiegu. (Red.)

Wzrasta też liczba solistów i „szybkich” zespołów dwójkowych, działających metodą sznureczkową w jaskiniach takich, jak Wielka Litworowa, Pod Wanta, Marmurowa, Bańdzioch Kominarski, a także interesujących wyżej wspinaczkowych z jaskiń. Za wybitny sukces w tej dziedzinie należy uznać akcję 4-osobowego zespołu, który pokonał wspinaczkowo Śnieżną Studnię (–693 m, szczegóły w osobnej relacji). Jest to rekordowe osiągnięcie tego rodzaju w jaskiniach Polski.

Do wyników sportowych dochodzą sukcesy eksploracyjne, które choć nie są nadzwyczajne, to jednak świadczą o tym, że pogoń za osiągnięciami sportowymi nie przytłumiła pasji odkrywczej. Członkowie Speleoklubu Tatrzańskiego sukcesywnie „dokładają metry” w Śnieżnej Studni. Wieloletnie trudy eksploracyjne krakowiaków w Jaskini nad Dachem zaowocowały w końcu, przynosząc jednak sławę nie im, lecz członkom Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego, którym udało się przyłączyć tę jaskinię do systemu Ptasia Studnia — Lodowa Litworowa, co relacjonujemy w osobnej notatce. Wobec finalnej długości 120 m, rozczarowaniem zakończyła się eksploracja jaskini Dmuchawa, w której w marzeniach widziano wielki system „Bańdziocha Chochłowski”. Nowe partie udało się też odkryć w Jaskini Lodowej w Ciemniaku. Poza Tatrami ciekawe odkrycia poczyniono na Jurze Krakowsko-Wieluńskiej, gdzie sensacją stało się wyeksplorowanie 800-metrowej Jaskini Wiernej a także wodnej Jaskini Szmaragdowej o długości 218 m.

Zainteresowania grotolazów nie ograniczają się do penetracji podziemnych czeluści. Wielu z nas z powodzeniem odbywa wspinaczki w skałkach, Tatrach i Alpach. Na szczególne wyróżnienie zasługuje trio ze Speleoklubu Warszawskiego (Krzysztof Guzek, Krzysztof Krawiec i Stefan Stefanowski). W czasie dwumiesięcznego pobytu w Chamonix przeszli oni ok. 30 dróg, z których do ciekawszych należą wspinaczki na Petit Dru (Directe Américaine i Filar Bonattiego) oraz na Mont Blanc (filar Fréney i voie Major — tę drugą K. Guzek pokonał solo bez asekuracji).

Rzecz zaczęła się blisko dwa lata temu. W trakcie kolejnej dyskusji padła i ta propozycja. Realniejsze kształty przybrała w Indiach, gdzie Stefan myślał bardziej o Tatrach, niż o Himalajach. Decyzja zapadła w styczniu, czasu więc nie było wiele i przygotowania nie zostały do końca zrealizowane.

26 stycznia 1991 weszli do jaskini Marcin Francuz (Speleoklub Warszawski), Krzysztof Guzek

(SW), Tomasz K. Pryjma (Speleoklub Akademicki Poznań) i Stefan Stefański (SW) — wraz z grupą odprowadzającą. Po stałych linach poręczowych zejście do -500 m miało przebieg w miarę sprawny: z biwaku część grupy wycofała się już do góry. Cztery osoby dotarły z nami nad Hipopotama, skąd zjeżdżaliśmy, ściągając za sobą liny. Grupa towarzysząca podczas wycofywania się podciągała poręczówki w studniach, aby umożliwić nam uzyskanie jak największej czystości stylu. Nie do końca było to możliwe: część lin była przydługa, a niektóre z zakręcanych karabinków nie do odkręcenia. Poza tym, w trakcie naszej akcji ktoś zwiędzając wyższe partie jaskini zrzucił niektóre liny poręczowe, nie miało to jednak wpływu na jakość przejścia.

Po 12 godzinach stanęliśmy nad rzeką. Ogłuszający huk wody towarzyszył nam na biwaku przez dwie noce. Wstępne przymiarki nie wyglądały zbyt pomyślnie. Dolne partie jaskini charakteryzuje powiedzenie „gdzie noga stanie, tam kalosz zostanie”. W walce z trudnościami skalno-błotnymi dotarliśmy w końcu pod tzw. Westgangi. Odcinki pokonane w tych rejonach dały już smak prawdziwej wspinaczki. Po skończeniu z błotem narzucało się przeniesienie biwaku na miejsce używane przez zakopiańczyków. Zaskoczyło ono nas komfortem i ciszą. Stąd przez kilka dni robiliśmy wypadki w górę jaskini. Długo wybieraliśmy miejsce rozpoczęcia wspinaczki w 203-metrowej „Studni Wazelinarzy”, długo walczyliśmy o dotarcie do pierwszej półki. Większość drogi to trudne odcinki hakowe, systematycznie zresztą przewijające się i dalej. Zmudne wspinanie się po rzędach jedynek, rurów i sky-hooków, by w końcu osiąść na wbitym spicie... Odcinki klasyczne to z kolei — albo horrory kruszyzny, albo akrobatyczne wyjścia z lawczek. Zeby mimo to nie było zbyt łatwo, pojawiły się i problemy z wyszukiwaniem drogi. Próbuąc ominąć główne trudności weszliśmy w spore odgałęzienie — niestety, konieczny okazał się odwrót i walka na głównej ścianie. Widząc już koniec studni, poszliśmy w górę z jednoczesnym transportem biwaku. Ufni w siły po pokonanych trudnościach, z uśmiechem spojrzeliśmy na niewielki próg zw. Kaczą Łapą. Śmiech wkrótce zamarł, gdyż przejście wymagało wbicia kolejnych spitów i skrajnie trudnej wspinaczki z zarzuceniem nogi włącznie.

TOMASZ K. PRYJMA

Speleomistrzostwa Polski, 1990

W dniu 3 czerwca 1990 r. rozegrane zostały w Olsztynie w pobliżu Częstochowy zawody w technikach jaskiniowych, zorganizowane przez komitet pod kierownictwem wyżej podpisanego. Zebrało się pokaźne grono wielbicieli jaskiń, okazało się jednak, że łatwiej rozdzielać zaszczyty i laury, niż zdecydować się o nie walczyć, na starcie stanęła więc niemal sama młodzież. Niedzielna aura, niestety, nie rozpieszczała. Liczebność widzów zmniejszała się, wzrastając podczas finału do ok. 150

Tzw. drugi biwak zakopiański. Atakująca dwójka bombardowała śpiących kamieniami. Hamaki zostały zniszczone, głowy chroniliśmy w skalnej niszy. Tak została pokonana Studnia Huczającego Młota — częściowo przez rozebranie. Kolejna zmiana wspinania się w Studni Zakopiańskiej. Atakowała ją drogą przez „Okno z Cipolem” i došla do widocznego w stropie zasypanego zwężenia meandra. Tędy jednak przejście nie było możliwe. Nastąpił odwrót, uatrakcyjniony totalną awarią oświetlenia. Zjazd z wiszącego stanowiska: wpi-nany kolejno sprzęt, szarpnięcia liny powodujące przyspieszoną akcję serca...

Mijał już, niestety, czas alarmowy. Wkrótce też pojawili się nasi przyjaciele. Z radością witali nas całych i zdrowych, przejmując na siebie transport śmieci i niepotrzebne już wyposażenia.

Znów zostaliśmy sami. Kolejna dwójka wspiniała się jeszcze raz Studnią Zakopiańską, tym razem do drugiego okna, wykonując efektowny travers na wysokości przepinki. Podczas pokonywania przez nią Studni Kozika dołączyli pozostali z całocią wyposażenia. Teraz już tylko Lodospad i po 9 dniach pod ziemią powitał nas jasny otwór jaskini. Był 4 lutego — za nami 216 godzin akcji.

Podczas przejścia pokonaliśmy w zjeździe 693 m jaskini, zdobyliśmy ponad 450 m ściany, reszta to trawersy lub fragmenty nie wymagające poręczowania. Trudności klasyczne (30–40% odcinków wspinaczkowych) osiągały V+, hakowe (ok. 60–70% całoci) — A2. Wbiliśmy 34 spity, częściowo z pomocą wiertarki. Od głębokości -150 m większość ścian była oblodzona, nie wspominając już o kilkumetrowym lodospadzie. Tak duża akcja nie oszczędziła naszego sprzętu, boleśnie dotykając nawet tak podstawowego, jak oświetlenie. Ogólna wycena strat jest smutna pod każdym względem. Ostatnich emocji nie poskapiła nam nawet pogoda, podczas wyjścia urządzając totalne załamanie. W nawałnicy ponieśliśmy kolejne straty sprzętowe — dobrze, że skończyło się tylko na tym.

Według skorygowanych pomiarów oraz nowych obliczeń, głębokość jaskini wynosi -696 m (ostatnie 3 m w syfonie), całkowita zas deniwelacja: 734 m (w tym +38 m przewyższenia). Red.

osób. Do rywalizacji przystąpiło 19 zawodników i 4 zawodniczek. Geografia ich przynależności klubowej była dość zaskakująca: 8 osób z Warszawy (7 z SW — w tym 2 panie, zawodniczka z UKG), po 3 z Poznania (SAP), Krakowa (AKG!), Katowic (KKS, w tym zawodniczka), po jednej z STJiA Kielce, SKTJ, SDG, Speleoklubu Gliwice, „Avenu” i Speleoklubu „Boby”. Smucił brak gospodarzy terenu — wyjątek stanowił Piotr Wolski, reprezentujący jednak AKG. Dziwiła nieobecność

członków KKTJ, zwyczajowo uznawanych za mistrzów. Eliminacje składały się z następujących trzech konkurencji:

1) wychodzenia po linie na czas (tzw. sprintu — 15 m liny plus 5 m dobiegu);

2) poręczowania i odporęczowania, tzw. przelaju (główny punkt zaczepienia i 5 oznaczonych, uzbrojonych w plakietki przepinek);

3) wspinaczki z górna asekuracją w określonym limicie czasu (długość drogi ok. 20 m, trudności V-VI, miejsce VI+/6.1, limit 8 minut).

Finałem był tor przeszkód, tzw. cross, który należało pokonać po linie z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. Poza przepinkami występowały tam trawersy linowe, tyrolka i odciąg. Kryterium klasyfikacyjnym był czas przebycia trasy. Za niestosowanie się do regulaminu i wskazań sędziów groziły punkty karne, ew. dyskwalifikacja. Nad prawidłowością zawodów czuwali sędziowie — w 90 procentach instruktorzy PZA.

Niewątpliwie najlepszym zawodnikiem eliminacji był Sebastian Woźny — zwyciężył sprint, był trzeci we wspinaczce. Drugie miejsce zajął najlepszy wspinacz, Andrzej Czubalski, który pozostałe konkurencje ukończył także na punktowanych miejscach. W przelaju triumfował Andrzej Majkowski. Zaprezentował on perfekcję techniczną, uzyskując rewelacyjny czas przejścia. Do finału weszło 30% zawodników. Największą niespodzianką był awans dwójki z AKG.

Panie swą liczebnością zadecydowały o ograniczeniu ich zmagania tylko do drogi finałowej. Wobec liczebnej przewagi Stolicy, honoru reszty kraju broniła tylko Kasia Preisner z Katowic. Na krótkim torze mistrzowską klasę pokazała Magda Słupińska z Warszawy.

Finał mężczyzn, w zasadzie wyrównany, dał nie mniejsze emocje. Ostatecznie zwyciężył rutyna i doświadczenie. Mimo poważnego zagrożenia, na pierwsze miejsce wysunął się jedyny reprezentant starszego pokolenia, Aleksander Chruściel. Klasyfikacja generalna pań i 6 najlepszych panów przedstawia się następująco:

1. Magdalena Słupińska (UKG) . . 4 min 51 sek
2. Krystyna Jankowska (SW) 5 min 32 sek
3. Katarzyna Preisner (KKS) 6 min 00 sek
4. Sylwia Dmowska (SW) 6 min 25 sek
1. Aleksander Chruściel (SDG) . . 6 min 56 sek
2. Andrzej Czubalski (SW) 7 min 34 sek
3. Piotr Olejniczak (SAP) 7 min 49 sek
4. Sebastian Woźny (AKG) 8 min 43 sek
5. Piotr Wolski (AKG) 9 min 03 sek
6. Jacek Kawarski (STJiA) 14 min 49 sek

W pierwszej dziesiątce znaleźli się nadto: Krzysztof Wardakowski (35 p.), Andrzej Majkowski (32 p.), Zbigniew Świątek (32 p.) i Ryszard Widuch (32 p.).

Mimo pewnych niedociągnięć i potknięć, myślę, że zawody były imprezą udaną. Mam nadzieję, że zdobyte doświadczenia pozwolą na zorganizowanie następnego spotkania na znacznie wyższym poziomie. Przedsięwzięcie doszło do skutku dzięki opiece Federacji Akademickich Klubów Speleologicznych — zarówno jeśli chodzi o finanse, jak i sprzęt. Cennej pomocy sprzętowej udzielił Krzysztof Zajdziński, prywatnym sponsorem był także Piotr Kulbicki, jemu też należy się podziękowanie za wkład pracy w organizację spotkania i za cenne uwagi. Trudno również nie wspomnieć o firmach i osobach prywatnych, które ufundowały nagrody dla zawodników. Każda okazana mi pomoc była niezwykle cenna — dziękuję.



Mieć hobby, to jest to!

TYLKO TRZY PYTANIA

A. Czarnowski

szymi najwyższymi górami. Ogłosił ok. 30 publikacji o tej tematyce, a jego wystawy — m.in. na Ścianie Wschodniej w r. 1984 — były wydarzeniami nie tylko dla stołecznych miłośników Tatr.

„TATERNIK”: Kolekcjonerstwo góroznawcze, tak szeroko rozpowszechnione np. w Niemczech, Anglii czy Związku Radzieckim, jest często pochodną wcześniejszej czynnej działalności górskiej, turystycznej bądź wspinaczkowej. Czy tak było i z Pana zainteresowaniami?

A. Cz.: Zamiłowania kolekcjonerskie towarzyszyły mi od wczesnych lat szkolnych, rozwinęły się jednak wówczas, kiedy zaczęło brakować sił do biegania po górach. Wiele z nich łączyło się z długoletnią działalnością w PTTK, m.in. w komisjach Górskiej, Fotograficznej oraz Krajoznawstwa Górskiego. Tą ostatnią kierowałem od r. 1990. Ku Tatom zwróciło mnie nie tyle uprawianie taternictwa, co fakt spokrewnienia ze słynną „tatrzańską”

Tatry. Pierwsze wyjście na I. turnię około 200 metrów.



z czego ok. 2000 pochodzi sprzed r. 1918. Jestem w posiadaniu pierwszej w ogóle ilustrowanej polskiej „korespondentki” tatrzańskiej — z r. 1895. Tak się złożyło, że prawdziwa eksplozja produkcji wido-
kówek nastąpiła w r. 1900. Jeśli zaś chodzi o foto-
grafię tatrzańską, na mój zbiór — doprowadzony
do lat obecnych — składa się ok. 1000 jednostek, a
są w tym wczesne prace Szuberta, Bizańskiego i in-
nych pionierów. Zbiory moje stale uzupełniam, są
one dziś jednak na tyle reprezentatywne, że umoż-
liwiają mi prowadzenie prac badawczych, już nie
ciekawych, lecz wręcz pasjonujących, jak np. ka-
talogi, monografie, biografie fotografów Tatr itp.
Pragnę jeszcze podkreślić fakt, iż kolekcje poc-
tówek stanowią cenny materiał dokumentalny,
popularyzatorski a nawet dydaktyczny.

„TATERNIK”: W jednym ze swych artykułów na-
pisał Pan, że w polskim tatrzańsko-podhalańskim
serwisie pocztówkowym, oprócz widoków, tematyką
dominującą jest folklor góralski. Jak Pan rozumie,
charakter naszego czasopisma skłania nas do py-
tania o inny dział tematyczny, a mianowicie o po-
cztówkę tatarnicką, wspinaczkową.

A. Cz.: Rzecz jasna, wyodrębniam w moich
zbiorach i taki dział, muszę jednak z góry powie-
dzieć, że historii tatarnictwa nie dałoby się z jego
pomocą zilustrować. Najpierw kartki prezentowały
„tatarnictwo” z epoki Chałubińskiego: grupki tu-
rystów na szczytach, w otoczeniu przewodników.
Później jednak w tematyce tatrzańskiej zaczęły się
pojawiać pocztówki par excellence wspinaczkowe.

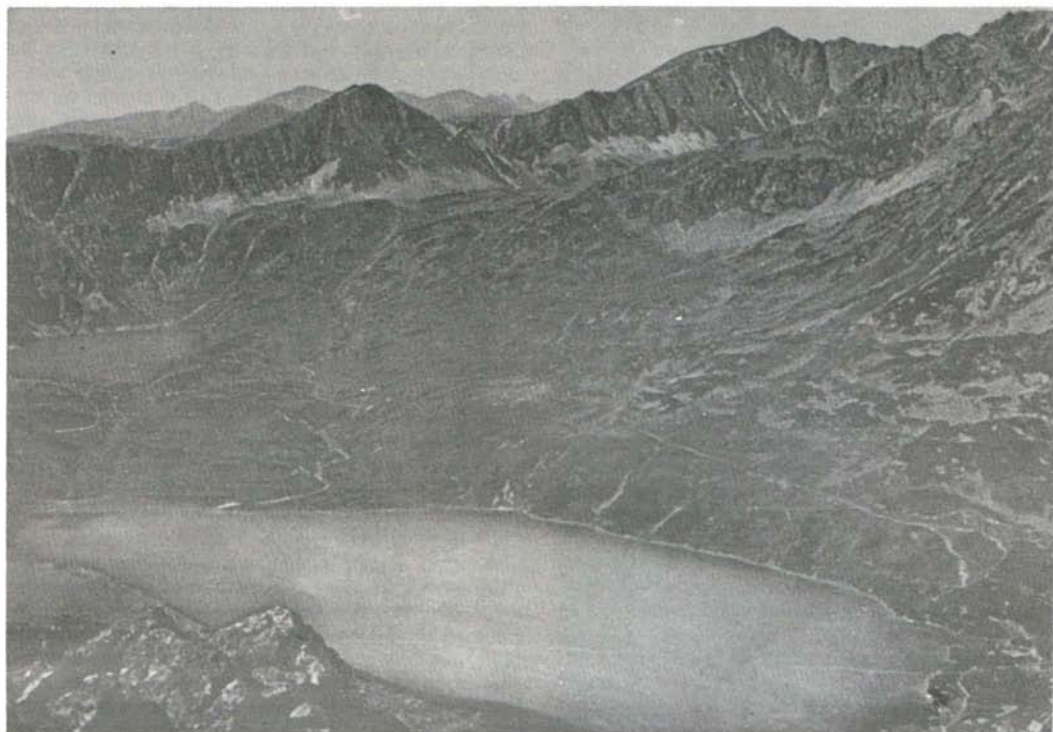
Z lewej kartka z ok. 1910 r. — wspinaczka na Kominy
w Strażyskach. U dołu: pocztówka z serii wydawnictwa
„Sport” w opracowaniu Arna Puśkaśa.

rodziną Ciechanowskich z Krakowa. Wspomnie-
nia z Tatr trzech braci Ciechanowskich z r. 1954
należą dziś do klasycznych pozycji naszej litera-
tury górskiej. Nawiasem mówiąc, wspólnie z moją
kuzynką, Jadwigą Ciechanowską, opracowałem ta-
trzańskie archiwa tej rodziny. Maszynopis został
złożony w r. 1989 w Wydawnictwie Literackim w
Krakowie, obszerny zaś artykuł ukazał się w 84
tomie „Wierchów”, wydanym w r. 1985.

„TATERNIK”: Słysząc często o zbieraczach gór-
skich odznak czy znaczków pocztowych, natomiast
kartka widokowa wydaje się być znacznie mniej po-
politym hobby...

A. Cz.: Znam kilkanaście zbiorów o tej tema-
tyce, zaledwie parę jednak o poważniejszym cha-
rakterze. Sporo zbieraczy działa na Słowacji, np.
pan Andrej Janovský w Kieżmarku. Z satysfak-
cją mogę stwierdzić, iż moja kolekcja jest jedną
z dwu największych, i to chyba nie tylko w Pol-
sce. Posiadaczami drugiej są pp. Elżbieta i An-
drzej Petrykowscy z Warszawy. Rzecz ciekawa, że
biblioteki i muzea nie mają pod tym względem
wiele do zaprezentowania. Wyjątek stanowi Mu-
zeum Tatrzańskie, które ma zbiór niezbyt duży, za
to niezwykle cenny, gdyż pokrywający okres naro-
dzin i początków widołówki tatrzańskiej. Ciekawa
jest też kolekcja Muzeum TANAP w Łomnicy Ta-
trzańskiej. Mój zbiór oceniam na ok. 7000 pozycji,





Absolutne kuriozum w historii pocztówki tatrzańskiej stanowi reprodukowana wyżej kartka wydana w r. 1983 w Iraku a przedstawiająca naszą Dolinę Pięciu Stawów. Na jej rewersie znajduje się objaśnienie w językach arabskim i angielskim: „Lake in the north of Irack” — „jeziorno na północy Iraku”. Kartki te przysłali do „Łaternika” — niezależnie od siebie — pracujący w Iraku Jerzy Marcinkowski i Jerzy Leśniak. Obawiając się mało czytelnej reprodukcji wyjaśniamy, iż zdjęcie przedstawia Wielki Staw Polski i część Czarnego Stawu — w tle zaś Gładki Wierch i Walentkową. Na horyzoncie Tatry Zachodnie. Widać szlaki turystyczne a w prawym dolnym rogu — stare schronisko nad Małym Stawem. Wobec braku adresu wydawcy pocztówki nie można ustalić, jak mogło dojść do tak groteskowej pomyłki — czy może oszustwa?

Utrwalono na nich m. in. efektowne „ćwiczenia w spinaniu” na Łysankach, wspinaczki na Mnicha, „pierwsze wejścia” na Kominy w Dolinie Strążysk. Częściowo udokumentowane zostały też pierwsze lata istnienia TOPR. W okresie międzywojennym widokówka taternicka rozkwitła, były to jednak na ogół ujęcia „grzeczne”, robione na skałkach przez autorów spoza kręgu wspinaczy, często w okolicy Kasprowego Wierchu. Później trafiało się nieco efektowniejszych ujęć. Natomiast sami taternicy byli płodnymi producentami i wydawcami kartek krajoobrazowych. Do potentatów w skali całych Tatr należeli: najpierw Jan Fischer, a następnie Stanisław Zdyb i Józef Oppenheim. Publikowali swe prace Mieczysław Karłowicz, Zygmunt Klemensiewicz, bracia Zwolińscy, Roman Kordys (np. efektowny Wschodni Szczyt Widel), Wiktor Ostrowski i wielu innych. Piękne widoki z Tatr Słowackich, m.in. ze zdjęć Tadeusza Krystka, wydała w latach 1938–39 „Książnica Atlas”. W słowackiej „kartotece” taternickiej ważne miejsce zajmuje realizowana przez Arna Puškása rozciągająca na lata seria „tatrzańskie ściany”, prezentująca popularne urwiska z wysowanymi dro-

gami wspinaczkowymi. Swego rodzaju osobliwość w moim dziale taternickim stanowi wydana ok. 1903 r. na Węgrzech kartka podpisana m.in. w języku polskim „Strasliwy Roy [zamiast Róg — J.N.] ze Strasliwej Grani”, a przedstawiająca... alpejski Petit Dru, dodatkowo wyostrzony zabiegami retuszerskimi. Autorem tego anonimowego fałszerstwa był bez wątpienia Karol English.

* * *

Dziękując koledze Adamowi Czarnowskiemu za interesującą rozmowę, chcielibyśmy stwierdzić, że kolekcjonerstwo tematyczne jest istotnym elementem kultury górskiej a także wspaniałą „deską ratunku” dla tych wszystkich górolazów, którym zdrowie lub wiek nie pozwalają już na bezpośrednie obcowanie z ukochanymi wierzchołkami. A swoją drogą, może nasi mili Czytelnicy przetrząsną własne szuflady i wydobędą z nich warte uwagi obiekty kolekcjonerskie — pocztówki, odznaki, exlibrisy, fotografie, nalepki. Zbieracze chętnie je przygarną i włączą do swoich zbiorów, a my o ciekawszych z przyjemnością napiszemy.

Rozmawiał: Józef Nyka

CZAS SCENARIUSZA

WACŁAW ŚWIEŻYŃSKI

Dekada 1978–88 wejdzie do historii sportowego filmu górskiego jako dekada Francuzów, dekada operatora i śmigłowców. Przypomnijmy jej cechy najbardziej rzucające się w oczy. Po pierwsze — triumfowały filmy o rekordzie sportowym w górach, o wyczynach ekstremalnych. Po drugie — człowiek, pozbawiony osobowości, wyabstrahowany z tła socjalnego, psychologicznego, kulturowego przypominał w tych filmach robota, doskonały mechanizm, barwną efektowną atrapę: operatorom (także producentom i reżyserom) wystarczały słońce i skała, opalone torsy, muskularne ramiona i zwinne nogi w tańcu nad przepaścią. I po trzecie: natura nie była w tych filmach partnerem człowieka — ujarzmiona i pomniejszona w zdjęciach z lotu ptaka, sprowadzona do roli cyrkowej areny, ulegała przemianie w wielkie gimnastyczne instrumentarium.

Scenarzysta okazał się niekiedy potrzebny do wymyślenia kilku efektownych gagów: nikt go nie indagował o koncepcję, ideę, elementarny sens filmu, nikt go nie pytał o postać, o filmowego bohatera.

Z końcem lat osiemdziesiątych nastał zmierzch tej formuły, przede wszystkim w samej Francji. Przestała wystarczać i widzom, i filmowcom. Mały wskaźnik oglądalności, znikł z telewizyjnych ekranów bardzo popularny przedtem program „Les carnets d'aventure” — okno wystawowe niegdyś dużej, dziś wątłej górskiej produkcji kanału „Antenne 2”, przestały się sypać nagrody festiwalowe, opatrzyły się najbardziej akrobatyczne wspinaczki. „Uderzyło mnie, że widz ogląda filmy o niebawym wyczynach wspinaczkowych bez specjalnej emocji” — donosił z Trydentu korespondent „La Montagne”. Imprezy, które nadal usiłowały lansować filmy „cyrkowe”, doczekały się cierpkich uwag: „Czy potrzebne są wszystkie dzisiejsze festiwale górskie? — pytał „Montagnes Magazine” — czy starczy materiału? Czy istnieje świadomość faktu, że mnożąc spotkania, selekcje i nagrody rozcieńcza się przede wszystkim zainteresowanie publiczności obrazem gór?”

Miejsca, z wolna opuszczanego przez efektowne, lecz puste francuskie zapisy rekordów, nie zajął żaden określony kierunek. Nie oznacza to jednak, że nie próbuje się, nowych dróg. Zyskuje na znaczeniu fantazja, wyobraźnia, kreacja. Otwiera się pole działania dla scenarzysty. Na festiwalach górskich ostatnich lat zwracały uwagę takie filmy, jak „Na krawędzi” Kathryn Johnston i Iaina Stobie (USA), „Comeback Baqueta” Nicolasa Philiberta (Francja), „Wspinacz gwiazda” Laurenta Chevaliera (Francja), „Samotna podróż” Vica Sarina i Suzanne Cook (Kanada), „K2 — marzenie i los” Kurta Diembergera (Niemcy), „Nanga Parbat — góra fatalna Niemców” Gerharda Bauera (Niemcy). Filmy lepsze lub gorsze: każdy z nich repre-

zentuje inny styl, inną konwencję, inny gatunek — od fabularyzowanych przygód alpinistów w ścianie, przez krotchwile, fantazje, baletową metaforę, bardzo indywidualne w wyborze wątków spojrzenie na wysokogórskie wyprawy, aż po symfonię obrazów w duchu nieomal wagnerowskim. Mimo wszystkich różnic, mają te filmy coś wspólnego. Od niezwyklego wyczynu ważniejszy jest tu luz, swoboda, duch przygody górskiej, od sztywnego kronikarskiego zapisu zdarzenia — jego indywidualne, subiektywne ujęcie i także ocena, od harmonijnych ruchów wspinacza w ścianie — jego kontakt psychiczny z zachowującą autonomię naturą i partnerem na linie. Nie darmo przebojem festiwalu górskich w roku ubiegłym (i największym sukcesem w całej historii polskiego filmu górskiego) okazał się „Mój mały Everest” Mirosława Dembińskiego — zabawna i nad podziw lakoniczna próba wpisania pasji wspinaczkowej w kontekst ludzkich ambicji, uczuć, złudzeń i rozczarowań. Pełny wykaz nagród przyznanych temu filmowi publikujemy obok. Wszystkie te filmy odznaczają się logiczną konstrukcją, uwzględniają komplikację tematu, starają się zawrzeć na kanwie górskich zdarzeń jakąś myśl, sens, doświadczenie ludzkie. Wszystkim przyswieca wyraźnie sformułowany cel, zawarty już w scenariuszu. Wszystkie dalekie są od mechanicznego zdobywczego triumfalizmu i wyćwiczonej „radości życia”, zastępującej autentyczną skalę przeżyć w zmieniach, często trudnych warunkach wspinaczki. Film na nowo zaczyna dostrzegać indywidualny wymiar górskiej przygody, jej niespodzianki, zasadzki, cenę, jej nośność metaforyczną i poznawczą w kulturze.

Ciekawe — może to tylko przypadek — że niemal równocześnie ze zwrotem ku kreacji w filmie krótkim i telewizyjnym powraca w góry „prawdziwe kino”, pełnometrażowy kinowy film fabularny. Już we wrześniu, na międzynarodowym festiwalu w Wenecji, odbyła się premiera „Kamienno go krzyku” (Schrei aus Stein) Wernera Herzoga, jednego z najwybitniejszych dziś filmowców niemieckich (por. TB 1/91 s.23). Herzog dokonał

Zachęcamy do subskrypcji

W r. 1992 prof. Stanisław Siedlecki, członek honorowy KW i PZA, będzie obchodził osiemdziesiąte urodziny. Z tej okazji grono jego przyjaciół przygotowuje wydanie poświęconej mu „Pamiątkowej księgi przyjaźni” — pod redakcją Ryszarda W. Schramma. W około 300-stronicowej książce znajdują się teksty ok. 30 autorów. Całość obejmie trzy działy: Alpinizm, Polarnictwo i Geologię, a dzieło będzie bogato ilustrowane. Nakład nie znajdzie się w wolnym handlu. Cena subskrypcji 60 000 zł, wpłaty do 15 lutego 1992 na konto: Ryszard W. Schramm, PKO I O. Poznań, nr 63513-109341-170-4. Subskrybenci otrzymają książkę przed latem 1992 roku.

próby odświeżenia klasycznej formuły „bergfilmu” z lat dwudziestych; zdjęcia (z udziałem dobrze znanego w Polsce Fulvia Marianiego) nakręcono na Cerro Torre, a w jednej z dwu głównych ról wystąpił Stefan Glowacz. Nie pozostają też w tyle Amerykanie: w grudniu wejdzie na ekrany „K2” Franka Roddama, jak zapewnia reklama — nakręcony w Himalajach film na motywach sztuki Patricka Meyersa, wystawianej z powodzeniem w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Paryżu. Sukcesy nie wykluczone, gdyż oba filmy są zakrojone śmiało, a nawet ambitnie, oba wkraczają na teren sportu, ale i psychologii, socjologii, refleksji na temat środków przekazu, oba dotykają sensu, ideologii i metafizyki alpinizmu.

Film niemiecki kosztował 4 miliony dolarów, budżet filmu amerykańskiego wyniósł aż 25 milionów. Dużo! Gdybyż jeszcze koszty mogły przesądzać o powodzeniu przedsięwzięcia! Ale nie ludźmy się: ani pieniądze, ani sprawna reżyseria, ani oszałamiające zdjęcia, ani wyborne aktorstwo,

ani nowoczesny sprzęt i najlepsi konsultanci nie zastąpią fundamentu wszelkiej filmowej inicjatywy — dobrze zbudowanego scenariusza. Wydaje się, że ta stara prawda z wolna powraca do łask także w filmie górskim.

„MÓJ MAŁY EVEREST” 1990

Katowice (Polska) — Grand Prix i nagroda publiczności;
Trydent (Włochy) — nagroda za najlepszy film górski;
Telluride (USA) — nagroda specjalna Jury;
Teplie (CSRS) — II nagroda Jury Filmowców (I nie przyznano);
Diablerets (Szwajcaria) — nagroda za najlepszy film fabularny;
Banff (Kanada) — nagroda za najlepszy film o sporcie górskim;
Autrans (Francja) — nagroda Komitetu Organizacyjnego Festiwalu;
Antibes (Francja) — nagroda humoru.

Oprócz Telewizji Polskiej, „Mój mały Everest” pokazały również telewizje niemiecka (SDR) i francuska (FR 3).

HENRYK MIERZEJEWSKI

Komisja Sprzętowa PZA

AWARIE KARABINKÓW

Najnowszy numer wydawanego przez ENSA rocznika „Ski & Alpinisme” zawiera artykuł Jean-Franka Charleta (s. 77–78) wyjaśniający przyczyny budzących niepokój rozgięć i pęknięć karabinków asekuracyjnych. Wypadki takie stały się na tyle częste, że zaczęły budzić powszechne poruszenie. Do początku r. 1989 w samej tylko ENSA zarejestrowano przeszło 20 przypadków trudnych do wytłumaczenia awarii karabinków. Zjawisko było tak alarmujące, że kilka instytucji i firm (m.in. Simond) sfinansowało program badań naukowo-technicznych mających wyjaśnić przyczyny i wskazać środki zaradcze.

W Polsce wypadki takie pojawiły się około r. 1984 i zbiegły się w czasie z masowym wprowadzeniem do wspinaczek skałkowych karabinków krajowych produkcji R. Thena z Bielska Białej. Było to przyczyną dużych przykrości, jakie spotykały „nieodpowiedzialnego” producenta ze strony rozgoryczonych użytkowników. Istniejąca wówczas Komisja Bezpieczeństwa PZA nie dysponowała możliwościami technicznymi ani finansowymi do przeprowadzenia szerszych badań i siłą rzeczy musiała ograniczyć się do sprawdzenia zgodności karabinków z normą UIAA. Wnioski wyciągnięte z badań PZA pozwoliły jednak stwierdzić, że przyczyn uszkodzeń nie należy szukać w wadach technicznych karabinków lecz w sposobie ich użytkowania. Informacje na ten temat podano w komunikacie KBG PZA, rozesłanym w październiku 1988 r. do wszystkich agend Związku. Opublikowane w organie ENSA badania potwierdzają ten wniosek. Oto główne tezy artykułu:

• *Praktycznie wszystkie uchwycone przypadki uszkodzenia karabinka wiążą się ze stosowaniem pętli*

ekspresowych. Awarii ulegał karabinek dolny, współpracujący z liną.

• *Bezpośrednią przyczyną awarii było otwarcie się karabinka w chwili obciążenia go największą siłą hamującą upadek prowadzącego.*

W artykule opisano trzy przyczyny otwarcia się karabinka w krytycznym momencie (zob. rysunek).

1. Uderzenie karabinka o ścianę w chwili, gdy zaczyna on przejmować energię upadku prowadzącego. Bezwładność zapadki powoduje uchylenie się jej w momencie obciążenia największą siłą dynamiczną. Fotografie wykonane kamerą o częstotliwości 400 zdjęć na sekundę pokazują, że kąt otwarcia zapadki dochodzi do 30 stopni!

2. Gwałtowny obrót karabinka podczas przejmowania upadku prowadzącego. W trakcie wspinaczki wpięty w ekspres karabinek może przesunąć się w oczku taśmy i zająć ukośne położenie. Podczas hamowania lotu zostaje on gwałtownie obrócony do położenia pionowego, co daje efekt podobny do uderzenia w ścianę.

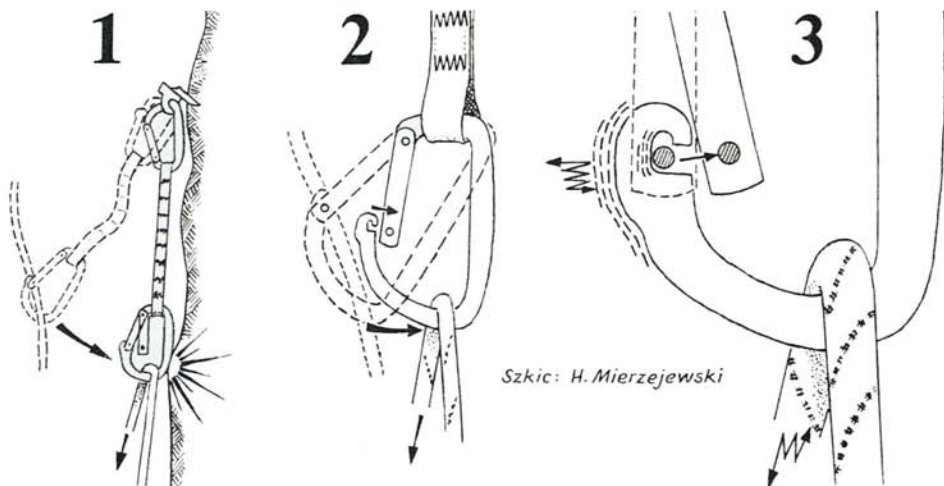
3. Wibracje liny, przenoszone na ogniwo karabinka. Drgania ogniwa mogą spowodować odbicie zapadki przez ogniwo, przez co w chwili obciążenia największą siłą dynamiczną karabinek będzie otwarty.

Dodać należy, iż zdjęcia podczas badań wykonywane były na stanowisku do prób dynamicznych lin w wytwórni „Rivory-Joanny”.

Środki zaradcze proponowane w artykule można podzielić na dwie grupy (w nawiasach uwagi moje — H.M.):

1. Zmiany zalecane w normach UIAA odnoszących się do karabinków (niedawno zaktualizowanych przez Komisję Sprzętową tej organizacji):

a) Zwiększenie wytrzymałości karabinka otwartego. W artykule przypomina się, że pierwsze na świecie karabinki lekkie, „P. Allain 1500”, przy wadze zbliżonej do karabinków używanych obecnie miały wytrzymałość 1500 kG bez



względem na to, czy były zamknięte czy otwarte, obowiązująca norma wymaga zaś tylko 600 kG.

b) Zwiększenie siły sprężyny zamykającej zapadkę. Norma nakazuje, by siła potrzebna do otwarcia karabinka nie była większa, niż 15 kG i nie mniejsza niż 5 kG (R. Then wprowadził te parametry w r. 1988 w wyniku zalecenia KBG PZA.)

c) Obowiązująca norma wymaga, aby karabinek obciążony 80 kG pozwalał się swobodnie otworzyć. Wartość tej siły należałoby ograniczyć do ok. 10 kG (co będzie zapewne trudne do zaakceptowania przez użytkowników).

2. Opracowanie J.-F. Charleta ogłoszone w roczniku ENSA zawiera również zalecenia dla użytkowników:

a) Do wpięcia w dolne oczko pętli ekspresowej należy wybrać karabinek o najwyższej wytrzymałości.

b) Unikaj karabinków, które ze względu na kształt mogą w pętli ekspresowej łatwo przyjmować złe położenie.

c) Zbyt duża, a także zbyt mała szerokość taśmy oraz zbyt luźne oczko ekspresu sprzyjają niewłaściwemu ukladaniu się karabinka podczas wspinaczki.

d) Zbyt częste obciążanie karabinka znaczną siłą męczy materiał i zwiększa ryzyko awarii.

e) Liny stosowane podwójnie (bliźniaczo) są sztywniejsze i powodują większe obciążenie karabinka podczas upadku.

Od siebie pragnę dodać jeszcze jedno zalecenie: Stosowanie pętli ekspresowych należy ograniczyć do tych sytuacji, w których są one rzeczywiście niezbędne. Rutynowe używanie ich przy każdym punkcie asekuracyjnym jest przejawem skrajnej bezmyślności. Ułatwia ono może wspinanie, ale zdecydowanie pogarsza asekurację. Warto się zastanowić nad tym, co ważniejsze.

NEWS, NEWS, NEWS

Ma się czym pochwalić indyjsko-brytyjska wyprawa w rejon Chong Kumdan w południowo-wschodnim Karakorum. Dokonano wejścia na najwyższy w całej grupie i dotąd dziewięciu Chong Kumdan I (7071 m, William Church, Neil McAdie, John Porter i Dave Wilkinson, 4 VIII 1991), a także na 6 ładnych 6-tysięczników, również do tej pory nie zdobytych. Na dwóch z nich był Paul Nunn, współredaktor „Mountain”. Kierowali wyprawą Harish Kapadia i Dave Wilkinson.

W lodowcu Similaun w Alpach Oetztalskich znaleziono we wrześniu dobrze zachowane zwłoki ludzkie sprzed stuleci. Jedni (Reinhold Messner) datują je na XIV-XV wiek, inni — na epokę brązu! Znaleźliś badają obecnie naukowcy w Innsbrucku.

W dniu 5 września w masywie Trisul w Himalajach zmarła z wyczerpania Anna Bruzdowicz-Dudek, alpinistka i działaczka klubów z Trójmiasta. Pochowano ją na miejscu, na wysokości ok. 6000 m. Urodzona w r. 1932, miała spore doświadczenie himalajskie, m.in. z wejścia na Gangotri I jesienią 1986 roku. Wyprawą kierował Michał Kočańczyk.

Belgijska wyprawa „Everest 91” załamała się jeszcze przed końcem lata. Kierując się w stronę Kuluaru Hornbeina założono 1 obóz (6000 m), a w najwyższym osiągniętym punkcie (7200 m) pozostawiono część sprzętu. Uczestnicy wrócili do Belgii już 18 września. Jak nam podał kierownik,

Alain Hubert, dłuższe rozpogodzenie było tylko jedno: w dniach 23-25 sierpnia.

„Polish Jack Wolfskin Everest Expedition '91”, kartka od Aleksandra Lwowa: Base Camp 9 IX 91. Pogoda zła, siedem wypraw, a ma być jeszcze więcej. Atmosfera miła. Ekipa okrojona ale doskonała. Ostateczny skład: Bernard Erdtracht (Niemcy), Thor Kieser, Tom Maceyka, David Reeder (wszyscy USA), Jerzy Zajac (Australia), Aleksander Lwow (kierownik) i Piotr Snopczyński (obaj z Polski).

I barwna pocztówka spod południowej ściany Annapurny. Piszze Krzysztof Wielicki: „20 września 1991. Serdeczne pozdrowienia z b. niskiej bazy (4000 m). Zaczęliśmy już robotę na drodze brytyjskiej (18 września 6100 m). Mało śniegu ale idzie nam dobrze. Pogoda od 3 dni uległa poprawie. Skład zespołu: Ingrid Bayens, Jolanta Patynowska, J. Keska, R. Pawłowski, R. Schleyen, M. Sprutta, B. Stefko i G. Velez.

Rodzinka tatrzańskich niedźwiedzi, która ostatnio psuła krew turystom i taternikom, została w dniu 19 września zwabiona przez służbę TPN do klatek i przekazana do ZOO we Wrocławiu. Czy jest to jednak koniec niedźwiedziej sprawy? Jerzy Wala był w ostatni weekend września w „Bettejemce”. „Z soboty na niedzielę — pisze — nie dawały nam spokoju misie, które chciały się dostać do budynku. Młodszy atakował o godz. 23, starszy o 4.30 nad ranem.”

Co nowego w Tatrach?

Obóz PZA w Zbójnickiej Chacie

Tęgoroczny zimowy obóz kwalifikacyjny PZA odbył się w dniach 17 lutego — 2 marca 1991 r. w Dolinie Staroleśnej. W zgrupowaniu udział wzięli Emil Mikulski, Kosma Bienkowski, Piotr Staniorowski, Rafał Zaluśki (wszyscy z KW Wrocław), Krzysztof Gnutek, Tomasz Köhler, Jerzy Sikora (z KW Bielsko-Biała), Janusz Gołąb, Ryszard Hołodniak (KW Gliwice), Sławomir Jabłoński (KW Szczecin) i Stanisław Piecuch (KW Katowice). Kadre stanowili Jerzy Brennejzen (kierownik) oraz Arkadiusz Kubicki z KW Warszawa.

Pogoda była niezła, choć warunki raczej trudne. W ścianach, zwłaszcza północnych, zalegały masy niezwiązane go śniegu a na niektórych drogach, znanych jako lodowe, tego lodu nie było. Właśnie z braku lodu ambitny zespół z Gliwic zrezygnował z atakowania drogi Titanová Pašča na Rogowej Grani, by niejako w zamian przejść Komin Navratov (21 II). Północną ścianę Jaworowego Szczytu Wielkiego żlebem Stanisławskiego przeszli 19 lutego Gołąb i Hołodniak, zaś 22 lutego — Piecuch i (spoza obozu) Jacek Kozaczekiewicz; filarem Cermana — Brennejzen, Kubicki i Köhler (23–24 II). Gnutek i Sikora przebyli południowo-zachodnią ścianę tego szczytu tzw. Martinską Cestą (pierwsze przejście zimowe). Na drodze Palenička „Posledny Dostih” na północnej ścianie Wielkiej Jaworowej Turni osiągnięto niepełny sukces: ze względu na złe warunki śnieżne, górną część ściany (powyżej 13 stanowiska) pokonano nietrudną drogą Szczepańskiego (WHP 2225). Przejście to zrealizowali Gołąb i Hołodniak, w poręczowaniu (do stanowiska 5) wspomagani przez Bienkowskiego i Piecucha (25 i 26 II oraz 1 III). Wspinano się również na Strzeleckiej Turni, Ostrym Szczycie i Dzikiej Turni. Poziom uczestników był zróżnicowany, na co wpływ miał dość przypadkowy ich dobór. Wydaje się, że wobec malejącego zainteresowania taką formą obozu, trzeba będzie rozważyć zmianę systemu promowania kandydatów do wyjazdów centralnych.

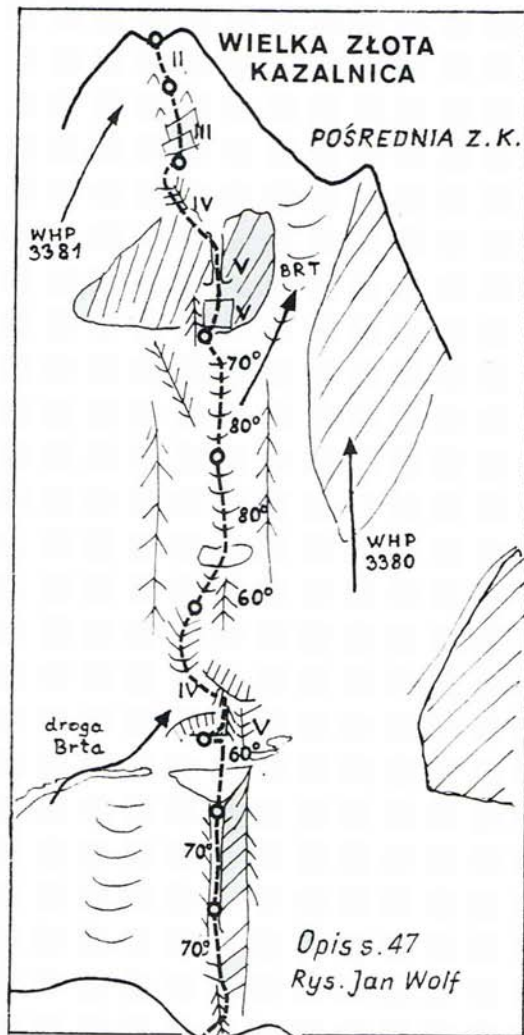
(Informację o przebiegu obozu przekazali nam Jerzy Brennejzen.)

Ziemowit J. Wirski

Chata Teriego w lutym

W drugiej połowie lutego 1991 r. przez 2 tygodnie byliśmy uczestnikami czteroosobowego obozu KW Katowice (kierownik Igor Bakon). Schronisko było prawie puste, wyżywienie bardzo dobre, ciepło, gaz, raz w tygodniu gorący prysznic, a do tego miła, prawdziwie do-

mowa atmosfera. Wspinaliśmy się na 6 drogach o trudnościach II-III, Igor zaś wychodził w góry codziennie, niezależnie od pogody. Minionej zimy Słowacja była dla nas stosunkowo tania — za dwutygodniowy pobyt (po 2 posiłki dziennie) zapłaciliśmy 807 000 zł. Podzielamy powszechną opinię, że „Terinka” jest jednym z najmiłszych



tatrzańskich schronisk. Niestety, coraz częstsze są pogłoski, iż od sezonu letniego schroniska w Tatrach mają pobierać opłaty w dolarach.

Anna i Andrzej Gardasowie

Spotkania Tatrzańskie 1991

Już trzecie, a więc rzecz można tradycyjne, Spotkania Tatrzańskie odbyły się w dniach 1–14 lipca 1991 r. (por. TB 3/90 s.16–17). Bazą było obozowisko na Szałasiskach. Uczestniczyły 24 osoby, w tym 4-osobowa kadra: Anna Czyż, Andrzej Machnik, Krystyna Palmowska i — jako kierownik, również tradycyjnie — Ziemowit Wirski. Wobec otwarcia granicy z Czecho-Słowacją, działać można było w całych Tatrach. Z możliwości, jaką stworzyła ta do tej pory niecodzienna sytuacja, skorzystało tylko kilka osób, a szkoda.

Wilgotny początek lata, z dużą ilością śniegu — prawda, że szybko znikającego — zapraszał do słonecznych, południowych dolin. Ci, którzy odwiedzili Staroleśną, Złomiska, Dolinę Małej Zimnej Wody, zgodnie potwierdzają, że Tatry Słowackie odczuwalnie opustoszały. Jest trochę turystów z Polski, Niemców z byłej NRD i Węgrów. Natomiast miejscowych turystów, a szczególnie wspinaczy, spotyka się sporadycznie. Należy podejrzewać, że zachylają się oni wolnością w Alpach. Tymczasem najaktywniejsi uczestnicy Spotkań wspinali się m.in. na Ostrem Szczycie, Łomnicy, Lodowym, Ganku, Szarpianych Turniach, Wschodnim Szczycie Żelaznych Wrót.

Nagrody otrzymali wszyscy, którzy wytrwali do końca imprezy, przy czym najcenniejsze — liny „Beal” i „Laser” — przypadły w udziale Włodzimierzowi Comporkowi i Annie Strzeleckiej z KW Trójmiasto oraz Tomaszowi Hreczuchowi i Krzysztofowi Smulskiemu z KW Wrocław. Nagrodę specjalną — liny „Rivory” — na wniosek kierownika przyznano Andrzejowi Machnikowi, taternikowi, który przez przeszło 20 lat aktywności zgromadził na swoim koncie bodaj największą liczbę trudnych i zarazem ciekawych dróg tatrzańskich. Jak mówi, nie wspinął się jedynie w Dolinie Ważeckiej.

Z przykrością muszę stwierdzić, że ze względu na brak informacji w klubach, znaczenie imprezy jest mniejsze, niż mogłoby być. Wielu potencjalnych kandydatów po prostu o Spotkaniach nie wie, gdyż zawiadomienia przesyłane z Biura PZA utykają zapewne w sekretariatach klubów, nie docierając do zainteresowanych. W tej sytuacji impreza ta w małym tylko stopniu wpływa na ożywienie ruchu w Tatrach na początku lata. Część tegorocznych uczestników pochodziła „z łapanek”. Spotkania (a szczególnie nagrody) stanowią natomiast dużą atrakcję dla młodych taterników, znakomicie ubarwiając mokre dni pierwszych dwóch tygodni lipca (na szczęście było też trochę słońca). Chciałbym powtórzyć opinię (TB 3/90), że imprezę warto by „umiejętnarodowić”, zapraszając na korzystnych warunkach młodych wspinaczy z zagranicy (pieniądze!), a także zmienić jej termin, na oferujący, statystycznie rzecz ujmując, lepszą pogodę, np. między 15 a 30 sierpnia.

Ziemowit J. Wirski

Wariant R klasycznie

Początek sierpnia, w Tatrach sezon w pełni. Na Hali Gąsienicowej króluje niedźwiedzia. Coraz to więcej osób opowiada o spotkaniach z nią „oko w oko”, także na progu „Betelejemki”. Tymczasem w COS sytuacja nie



Anna Czyż i Włodzimierz Comporek. Szałasiska w lipcu 1991.

Fot. Krystyna Palmowska

notowana od lat: liczebna przewaga instruktorów nad kursantami.

Za to obozowisko na Rábanisku pracuje na pełnych obrotach, podobnie jak „Szałasiska” w Dolinie Rybiego Potoku. Jeśli chodzi o działalność wspinaczkową, najważniejsza jest wiadomość o klasycznym przejściu „Wariantu R” na Mnichu. Po wielu próbach silnych zespołów (m.in. K. Pankiewicza, J. Krawczyka), pierwszego przejścia RP całoci drogi dokonali Piotr Dawidowicz i Michał Wajda z Krakowa. Dobito kilka nitów asekuracyjnych, m.in. na stanowisku na płycie. Droga ma dwa trudne wyciągi. Pierwszy, o trudnościach IX–, to rysa, pod koniec lekko przewieszająca się. Stanowisko na stopieńku pod nitami Długosza. Stąd już łatwiej — „tylko” VIII — przez płytę i okapy, z małym, kilkumetrowym obejściem na prawo od oryginalnego wejścia w przewieszkę. Stanowisko powyżej okapów w tradycyjnym miejscu i dalej już łatwo. (Aż się prosi o klasyczne przejście wariantu wprost do wierzchołka.) Wielkie brawa! Dawidowicz i Wajda przeszli także jako pierwsi kombinację dróg Baryły i Wachowicza, lekko przy tym odpadając (RP na drugim wyciągu „Wachowicza”, reszta OS). Dla podkreślenia rangi sukcesu naszych młodych kolegów warto dodać, że jak dotąd wspinali się oni tylko w skałkach i nawet nie mają uprawnień taternickich! Takie czasy.

A więc mamy na Mnichu kolejną trudną drogę. Z problemów pozostało tu już tylko ukłasyfikowanie drogi Sadusia, a także parę mniejszych fragmentów dziewiczej skały o charakterze estetycznych acz tylko kieszonkowych „boulderów”. A propos drogi Sadusia, to okap na niej winien puścić klasycznie łatwiej, niż na „Wariancie R”, rysa zapewne też, natomiast płyta z jedynekami może

okazać się poważnym problemem. No cóż, ktoś w końcu przejdzie i to, może nawet już niedługo.

Poza tym sezon „normalny”. Czołówka w Alpach a ułatwienia w przechodzeniu w Tatrach Słowackie sprawiają, że spora liczba wspinaczy tam właśnie próbuje swoich sił. Reszta, jak zwykle: Mnich, Zadni Mnich, Żabi Mnich. Kilka prób na Kazalnicy. Słowem — turystyka, tyle że kwalifikowana.

W Tatrach Zachodnich dwa ważne wydarzenia. Wojciech Kurtyka w ciągu dwu wypadów w lipcu rozprawił się z problemem klasycznego przejścia drogi Kiełkowskiego na Raptawickiej Turni. Po rozpoznaniu z górną asekuracją i osadzeniu spitów, droga otrzymała przejście RP i wycenę IX-. Podobne trudności oferuje klasyczna wersja drogi Wolfa i Narożniaka na Mnichu Raptawickim. Autorem przejścia jest Stanisław Piecuch. W rejonie Raptawickiej Grani znajduje się obecnie największy wybór trudnych dróg i wciąż jeszcze wielu pięknych problemów. Przy okazji uwaga organizacyjna. Warto by wreszcie uzgodnić nasze poczynania z Dyrekcją TPN. Być może Park mógłby wyrazić zgodę na prowadzenie działalności wspinaczkowej np. z wyłączeniem określonych miejsc czy też okresów, jak to jest praktykowane chociażby w Elbsandsteingebirge czy też w skałkach Wielkiej Brytanii. Tak czy inaczej, obecna sytuacja jest daleka od normalności — zarówno dla wspinaczy, jak i dla Parku.

Marcin Kantecki

Słowacja latem 1991

Po zniesieniu w połowie tego roku obowiązku posiadania zaproszeń lub voucherów, góry Słowacji stały dla nas ponownie otworem. Polecam je gorąco, dopóki są pustawe, przyjemne i — ciągle jeszcze tanie. Z dokumentów obowiązuje paszport, ew. także ubezpieczenie samochodu. Oficjalnie źródłem utrzymania winny być przywiezione dewizy, o które jednak nikt nie pyta i których wymiany nie potrzeba dokumentować. Wwóz koron z Polski nie jest legalny, chociaż w naszych kantorach można je nabyć po 360–370 zł (1 dolar = 30 do 32 koron). Wymiana na miejscu jest kłopotliwa z uwagi na dziwne godziny pracy banków i biur wymiany. Kurs jest przy tym wyraźnie mniej korzystny: uwzględniając opłaty manipulacyjne, za 1 dolara otrzymuje się niekiedy mniej niż 27 koron.

W sierpniu 1991 r. odwiedziłem Tatry i ich okolice — jako zmotoryzowany turysta. W rejonie Tatr bazą zakwaterowania była Wielka Lomnica, z dość komfortowym zakwaterowaniem prywatnym w cenie ok. 80 koron za dobę od osoby. Ze znalezieniem locum nie ma najmniejszych problemów. Dojazd stamtąd w Tatry kolejką lub autobusem kosztuje 2–5 koron, niezły obiad — 30 do 35 koron. W sumie raczej trudno jest wydać dziennie na osobę więcej, niż 150 koron czyli 5 dolarów! Sklepy zaopatrzone są dużo lepiej, niż zimą, pojawiają się sklepiki, stragany i restauracje prywatne. Stopa inflacyjna wydaje się być, jak na razie, bardzo umiarkowana.

Z rzeczy mniej miłych, aczkolwiek nie szczególnie uciążliwych, wymienić trzeba wprowadzenie w tym sezonie biletów wstępu w wyższe partie Tatr. Obowiązują one od granic wyznaczanych tabliczkami przy szlakach — na ogół powyżej Magistrali, choć również na niektórych odcinkach tej drogi. „Vstupenki” w cenie 10 koron należy kupować w hotelach, biurach turystycznych etc. Chodząc sporo po wyższych partiach gór nie spotka-



łem się z przypadkiem egzekwowania tego nowego zarządzenia. Dla posiadaczy samochodów dużym utrudnieniem jest zamykanie dla ruchu prywatnego Drogi Wolności od Tatrzańskiej Kotliny do Szczyrbskiego Jeziora w godz. 9–16 w lipcu i sierpniu. Zakazu tego praktycznie nikt nie przestrzega. Czechom i Słowakom uchodzi to zapewne bezkarnie, chociaż cudzoziemiec może się narazić na mandat w kwocie 500 koron. Parkingi podtatrzańskie kosztują 20 koron dziennie, benzyna 90-oktanowa 16 koron, super 96-oktanowa 18 koron a olej napędowy — 15

koron. Na ten ostatni ciągle jeszcze trzeba nabywać talony (w bankach lub hotelach).

Natomiast w Niskich Tatrach już same tylko przyjemności. Zakwaterowanie i wyżywienie jak wyżej, góry piękne i puste, grzyby (rydze!), maliny i jagody w ilościach trudnych do wyobrażenia. Mieszkaliśmy w Niżniej Boce pod przełęczą Czertowina, co daje możliwość wypadów zarówno w zachodnią, jak i we wschodnią część pasma. W TB 1/91 na s.12 ukazał się wybór przepisów obowiązujących na obszarze TANAP, sądzę, że i podane wyżej ekonomiczno-organizacyjne wskazówki będą dla naszych Czytelników użyteczne. Wszystkie dane odnoszą się do połowy sierpnia 1991 roku. Pamiętajmy, że wszystko wokół nas się zmienia, choć na Słowacji jak gdyby wolniej.

Zdzisław Kozłowski

O krok od tragedii

W sobotę 24 sierpnia dzień był pogodny i na południowej ścianie Zamarłej Turni wspinano się kilkanaście osób. Jeden z zespołów kursowych COS kończył drogę potocznie zwaną „Festiwarem Granitu”, a stanowiącą kombinację dróg Komarnickich, trawersu i drogi klasycznej. Tuż pod wierzchołkiem prowadzący wyważył wielki blok skalny, który potrafił jednego z członków zespołu (złamanie, rana), następnie zaś runął zacięciem Zaruskiego i pod nim rozbił się na płycie. Liczne odłamki omiotły ścianę w różnych kierunkach — wyglądało to jak ostrzał artyleryjski. Jeden z kamieni przeciął linę zespołowi przygotowującemu się do wejścia w lewe zacięcie Wrześniaków i poturbował instruktora. Fakt, że powstała z rozbitego bloku lawina kamienna nie pociągnęła za sobą ofiar śmiertelnych zakrawa na cud.

Andrzej Skłodowski

Szałasiska nadal nasze

W dniu 9 września 1991 r. odbyło się w Krakowie posiedzenie Rady Naukowej Tatrzańskiego Parku Narodowego — obradom przewodniczył prof. Kazimierz Klimek. Jednym z głównych punktów porządku dnia była sprawa obozowiska PZA w Dolinie Rybiego Potoku, w związku z czym na zebranie zaproszono prezesa Związku, Andrzeja Paczkowskiego — w towarzystwie Macieja Pawlikowskiego. W toku godzinnej dyskusji ustalono, iż pomysł przeniesienia obozowiska na Włosienię nie jest szczęśliwy — z wielu powodów, dla taterników od początku oczywistych. Ostatnio do argumentów przemawiających przeciwko tej lokalizacji doszedł jeszcze jeden: drastyczne cięcia budżetowe, w których wyniku PZA nie znalazłby przypuszczalnie środków na szczególnie istotną a przy tym najbardziej kosztowną część robót adaptacyjnych, mianowicie budowę oczyszczalni ścieków. Rada przyjęła jednogłośnie uchwałę stwierdzającą, że obozowisko winno pozostać na Szałasiskach na czas bliżej nie sprecyzowany, natomiast starania PZA i władz sportowych — przy poparciu ze strony TPN — winny pójść w kierunku przejęcia przez Związek tzw. starego schroniska przy Morskim Oku. Ponieważ PZA wywodzi się w prostej linii z Towarzystwa Tatrzańskiego, które obiekt ten stworzyło bez mała sto lat temu, nie byłoby niemoralne, gdyby upomniał się o tę właśnie część jego schedy. Sprawa domku na Włosienicy (TB 1/91 s. 13) pozostaje otwarta.

W jednym z dalszych punktów porządku dnia Rada TPN omówiła problem uprawiania w Tatrach lotnictwa i sportu spadołotowego.

NEWS, NEWS, NEWS

25 września Wojciech Kurtyka i Grzegorz Zajda poprowadzili RP nową trudną drogę na ścianie Raptawickiej Turni, w 3 miejscach przecinającą się z drogą Kiedrowskiego. Spośród 4 krótkich wyciągów (w sumie 85 m) najtrudniejszy jest pierwszy, zwłaszcza na dolnym odcinku (VI.5-). Dalsze wyciągi mają oceny VI.3+, VI.4 i — ostatni — VI+. Osadzono 26 spitów, nie licząc 9 na stanowiskach.

27 i 28 września w Budapeszcie obradowały Rada i Walne Zgromadzenie UIAA. Nasz Związek reprezentował Andrzej Paczkowski, do końca roku również wiceprezes UIAA. Wyznaczona przez Radę na zebraniu w Arizonie trójka arbitrażowa, powołana do rozpatrzenia kontrowersyjnej klasyfikacji Lynn Hill i Isabelle Patissier w Pucharze UIAA 1990, postanowiła nie zmieniać pierwotnego werdyktu (kwestionowanego głównie przez Francję — por. TB 1/91 s.14) i utrzymać obie panie ex aequo na pierwszym miejscu.

Gratulacje dla Wandy Rutkiewicz! W dniu 2 października powiadomiła ona PZA o wejściu na Cho Oyu (8201 m), który jest jej siódmym ośmiotysięcznikiem. Na światowej liście alpinistów mających w dorobku więcej niż 3 ośmiotysięczniki zajmuje ona obecnie miejsce 14 lub 15 i jest na niej jedyną kobietą. Nie zatrzymując się w Katmandu, Wanda ruszyła pod Annapurnę, by dołączyć do wyprawy Krzysztofa Wielickiego, atakującej południową ścianę.

Składamy również gratulacje Prezesowi PZA, Andrzejowi Paczkowskiemu, który z rąk Prezydenta RP, Lecha Wałęsy, otrzymał nominację profesorską. Prawdę rzekłszy, należała mu się ona 10 czy 15 lat wcześniej, wówczas jednak nie miał odpowiedniej politycznej sylwetki.

W dniach 4-6 października odbyły się we Frankfurcie Mistrzostwa Świata we Wspinaniu Sportowym. Z prośbą o garść szczegółów zwróciliśmy się do Andrzeja Marciszaka. Organizacja zawodów nie była, jego zdaniem, nadzwyczajna, a widownia skromniejsza, niż np. w Wiedniu. Pozycję lidera utrzymał François Legrand, drugie miejsce zajął Japończyk Yuji Hirayama. W klasyfikacji pań, przed Patissier wysunęła się przebojowa Susi Good. Iwona Gronkiewicz-Marciszowa była 13. W zawodach „na czas” zwyciężył Amerykanin Hans Florine, zaś Jacky Godoffe spadł na drugą pozycję. Andrzej Marciszak zajął dobre 4 miejsce. Z pań najszybsze były Isabelle Dorsimond i Agnes Brard. Dużą niespodziankę zgotowali Rosjanie, zajmując kilka wysokich miejsc. W kategorii „trudność” 4 miejsce wywalczył 16-letni Paweł Samojlin ze Świerdłowska.

Na koniec wiadomość otrzymana w trakcie druku numeru: wyprawa Krzysztofa Wielickiego (zob. s. 41) weszła na Annapurnę, na której 21, 22 i 23 października stanęli niemal wszyscy uczestnicy — krajowi i zagraniczni, i to trudną drogą brytyjską. Duże brawa!

Komisja Wypraw UIAA organizuje w jesieni 1992 r. obóz treningowy dla wspinaczy chcących zakosztować uroków wspinaczki w Himalajach. Zatwierdzeni przez związek, kandydaci w wieku 20-30 lat winni dysponować doświadczeniem na drogach typu alpejskiego lub zimowych drogach tatrzańskich do V stopnia trudności. Koszt udziału skalkulowany będzie dostępnie — ok. 1000 dol., nie licząc podróży do Nepalu. Jako teren działania przewidziany jest Langtang albo rejon Manangu. Szczegóły w Komisji Sportowej lub Redakcji „Taternika”.

Nowe drogi w Tatrach

KOŚCIELEC

Nowa droga zachodnią ścianą: Jacek Luniak i Jan Wolf, 1 IX 1990. Trudności VII, czas pierwszego przejścia 8 godzin. W ścianie pozostawiono kilka haków. Styl naszego przejścia można zakwalifikować jako AF (all free), choć kilka razy używaliśmy skyhooków i friendów do odpoczynków i osadzania haków, przy czym nie zawsze powracaliśmy do miejsca pozwalającego w pełni stać bez użycia rąk. Droge poprowadzono bez wcze-

śniejszego rozpoznania, ubezpieczenia zakładając od dołu. W dolnej partii asekurowano się z haków na drogach Jungera i Dziędzielewicza i dalej z tzw. zapychowych, ale do wspinania starano się wykorzystać teren pomiędzy tymi drogami. Ostatni wyciąg należy podzielić — ze względu na tarcie liny oraz kłopoty ze stanowiskiem na górze. Luźne bloki! Schemat drogi reprodukowany jest na s. 11. Strzałki na nim oznaczają możliwości dojścia do drogi Dziędzielewicza (górna: ła-

two); A — droga wiedzie w tym rejonie przez płyty obok łatwiejszego terenu.

Jan Wolf

TURNIA NAD SCHODKAMI

Pierwsze wejście wschodnią ścianą: Piotr Drobot i Mariusz Smolarski, 4 I 1991. Poręczowanie na odcinku 45 m: ci sami i Janusz Łątką, 31 XII 1990 i 2 I 1991. Trudności III, A2. Czas pierwszego przejścia efektywnie 16 godzin.

Droga prowadzi poprzez skośnie poprzewieszane formacje wschodniej ściany. Jej początek znajduje się w linii spadku przełączki pomiędzy dwoma wybitnymi przewieszonymi nosami skalnymi, 40 m powyżej miejsca, gdzie filar ograniczający wschodnią ścianę z lewej strony schodzi najniżej. Na ścianie Turni nad Schodkami zwracał już uwagę Grzegorz Głazek w r. 1981 (T 2/81), mimo to nasza droga jest dopiero drugą w tym rejonie. Potrzebny sprzęt: 10 jedynek, cienkie haki, komplet kostek (RP, heksy do nru 11), przydatne friendy.

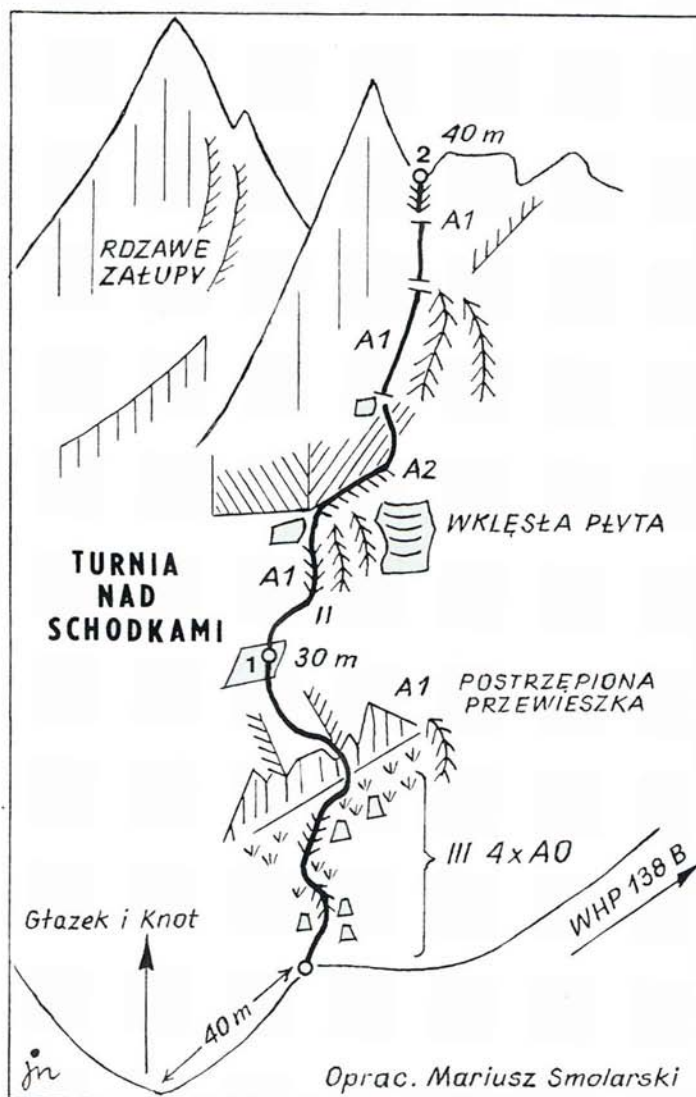
Piotr Drobot

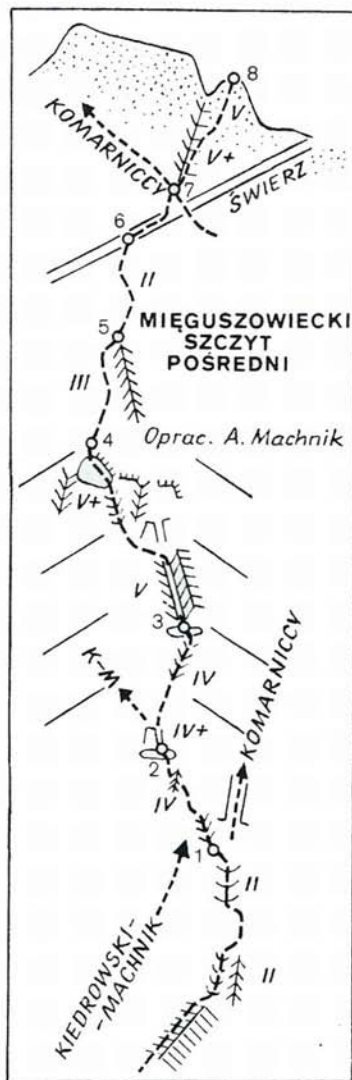
MNICH

Nowa droga wschodnią ścianą, na lewo od drogi Gryczyńskiego i Szurka: Aleksandra Tomkowiczówna, Lesław Jakubowski i Krzysztof Pankiewicz, 28 i 29 VIII 1988. Trudności drogi autorzy oceniają na VII, czas pierwszego przejścia ok. 16 godzin. Styl: pierwszy wyciąg RP, drugi — RK (koniec drugiej rysy), trzeci — OS. Czas ew. powtórzeń ok. 2 1/2 godziny.

Piękna, urozmaicona wspinaczka w litej skale, przez płyty, zacięcia, rysy. W ścianie pozostawiono niezbędne haki i stałe punkty asekuracyjne (nit „VauDe” z plakieta oraz stopper). Potrzebny sprzęt: komplet stopperów (rocks), komplet freindów (do rozmiaru 3,5) lub ew. duże heksy (w pierwszej rysie na drugim wyciągu), 10 ekspresów, kilka pętli i karabinków. Stanowisko trzecie z kostek pod okapem. Trudności drogi są prawdopodobnie nieco niższe ze względu na niepełną formę autorów wejścia. Schemat drogi został opublikowany w T. 2/88 na s. 69.

Krzysztof Pankiewicz





CUBRYNKA

Środkiem południowo-wschodniej ściany — wprost na wierzchołek: Andrzej Machnik i Andrzej Zakrzewski, 27 VIII 1990. Trudności V+, czas pierwszego przejścia 4 1/2 godziny. W dolnej części skała lita, u góry krucha. Schemat zamieszczony jest przy omówieniu sezonu na s. 10.

Andrzej Machnik

KOPROWY WIERCH

Nowa droga, lewą częścią północnej ściany: Iwona Mosiej-Skłódowska i Andrzej Skłodowski, 14 III 1991. Trudności III; trzy godziny. Wejście w ścianę w linii charakterystycznej ostrogi sklanej. Droga ma wybitne

walory zimowe. Schemat przy artykule omawiającym sezon zimowy 1990–91.

Andrzej Skłodowski

MIEGUSZOWIECKI SZCZYT POŚREDNI

Nowa droga prawą częścią północno-wschodniej ściany: Tomasz Kuzio i Andrzej Machnik, 5 VIII 1990. Trudności IV–V, dwa miejsca V+. Czas pierwszego przejścia 3 1/2 godziny. Szczegóły na schemacie.

Andrzej Machnik

SPADOWE SIODEŁKO

Pierwsze wejście z Dolinki Spadowej (od wschodu): Małgorzata Morawska, Krystyna Palmowska, Grzegorz Głazek i Ziemowit Wirski, 14 IX 1989. Trudności III–IV, 1 godzina. Skała lita.

Z niewybitnego zagłębienia Spadowego Siodła opada w stronę Dolinki Spadowej charakterystyczna załupa, wyznaczająca ogólny kierunek drogi. Załupę doskonale widać np. na zdjęciu XXI/5 w tomie VI „Wysokie Tatry” A. Puśkaśa. Wspinaczkę zaczynamy ze szczeliny brzeżnej, kilka metrów na prawo od początku załupy. Jasnymi płytowymi skałami do góry z odchyleniem w lewo do dna załupy i nim przez małe spiętrzenie (III) na mniej stromy teren. Stanowisko. (Można tu dojść łatwiej od prawej strony.) Teraz I wyciąg dnem załupy (II) do stanowiska pod wybitnym uskokiem (dachówkowato uwarstwione, przewieszane skały). Pozostawiony hak. Uskok pokonujemy albo wyraźnym zacięciem na prawo (IV), albo nieco dalszym płytkim zacięciem: najpierw rysą i po przewinięciu w lewo przez pionową ściankę do góry do stanowiska (IV). Ostatnią długością linii przez trawiasto-skalne stopnie wprost na grań.

Spadowe Siodło jest płytka przełączką pomiędzy Kopą Spadową a najbardziej na północ wysuniętą turnią szczytową Niżnich Rysów. Arno Puśkaś w VI tomie swego przewodnika wprowadził dla niego nazwę Spádová priehyba (s. 76).

Ziemowit J. Wirski

BARANI MNICH

Nowa droga środkiem wschodniej ściany: Katarzyna Wesołowska i Andrzej Machnik, 14 VII 1989. Trudności IV+, 2 godziny. Skała na trudniejszych odcinkach lita, aczkolwiek źle uwarstwiona. Oznaczona na schema-



cie drogę prawą częścią ściany przeszli 6 II 1977 r. Jerzy Kukuczka i Andrzej Machnik (V, A0).

Andrzej Machnik

MAŁY DURNY SZCZYT

„Nowy Filar”. Nowa droga ściśle spiętrzeniem północnego filara: Paweł Mieszkowski i Jan Wolf, 21 i 22 II 1989. Trudności V, A0, efektywny czas pierwszego przejścia 12 godzin. Powtórzenia letnie nie powinny zająć więcej, niż 5 godzin. Duże możliwości przejścia klasycznego. Przebieg drogi przedstawiony jest na schemacie zamieszczonym na s. 44.

Jan Wolf

WIELKA ŻŁOTA KAZALNICA

Nowa droga środkiem północnej ściany: Paweł Mieszkowski i Jan Wolf, 23 II 1989. Trudności V, trawa i lód 80 stopni, czas pierwszego przejścia 9 godzin. Zob. też WHP t. 22 s. 147, 150 i 219. Szczegóły drogi na schemacie zamieszczonym na s. 42.

Jan Wolf

rozegrano finały. Panie startowały na „dziewiątkę”, przy czym całą drogę pokonała tylko Hill. Świetnie spisały się też zawodniczki miejscowe, Miranda Ortar oraz Marija Štremfelj, nawiasem mówiąc, pół roku temu pierwsza Jugosłowianka na Evereście. Dla panów przygotowano finał klasy X-, który w całości zaliczył jedynie Tribout. Obsadzenie pierwszych miejsc nie przynosi niespodzianek, choć trzeba dodać, iż kilkoro znanych Francuzów znalazło się poniżej wspinaczy słoweńskich:

Lynn Hill	14,00 m
Corinne Labruno	12,12 m
Miranda Ortar	10,17 m
Marija Štremfelj	9,05 m
Jean-Baptiste Tribout	14,00 m
Robert Cortijo	10,82 m
Vili Guček	10,11 m
Tadej Slabe	10,11 m

Zmagania zawodników śledziło ok. 4000 widzów. Gościom umożliwiono też poznanie kilku rejonów skalowych, gdzie robili on sight powtórzenia klasy 7c-8a, poprowadzili nawet kilka nowych dróg, np. Tribout drogę 8b. Wyniki Rock Master w Kranj mają wejść do punktacji ASCI.

COME-BACK GLOWACZA

Po dłuższej nieobecności, spowodowanej m.in. kontuzją, Stefan Glowacz z RFN znowu zaczyna błyszczeć na wspinaczkowej scenie. W weekend 21-23 czerwca 1991 r. w Montblanc-La Riba w Tarragonie odbyło się pierwsze z tegorocznych spotkań V już edycji Master International we wspinaczkę sportową. W piątek imprezę poprzedził konkurs młodzików w wieku 14-17 lat, którzy walczyli „a vista” na drogach 6b i 6c+. W konkurencji męskiej właściwych zawodów startowało 17 zawodników — najpierw na drodze 7c+ a następnie 8a+, którą w całości pokonało tylko 2 wspinaczy. W końcowej klasyfikacji zwyciężyli niemal ex aequo Stefan Glowacz (pierwszy) i zeszłoroczny mistrz Pucharu UIAA, François Legrand (TB 3/90 s.18). Trzeci był François Lombard, czwarty Didier Raboutou, piąty Hiszpan Carlos García. W konkurencji żeńskiej na starcie stanęło 6 „chicas” — najpierw na drodze 7b, potem 8a+, przy czym z tą drugą w całości uporała się tylko mistrzyni roku 1989 — Nannette Raybaud (TB 2/90 s.14). Ona też zajęła pierwsze miejsce — przed stale awansującą Szwajcarką Susi Good i Katalonką, Anną Ibáñez. W konkursie szybkościowym tradycyjnie już zwyciężca został Jacky Godoffe. Jak napisano w oficjalnym sprawozdaniu z zawodów, dwójgim „wielkich nieobecnych” byli Isabelle Patissier oraz Patrick Edlinger.

Zawody w La Riba były pierwszym z 4 spotkań World Master Tour 91. Dwa następne odbyły się w lipcu we Francji, miejscem czwartego było w dniach 7 i 8 września słynne Arco we Włoszech.

RAPTAWICKA TURNIA

Schemat przedstawia klasyczne przejście ściany w rejonie drogi Kielkowskiego. Dlatego „w rejonie”, ponieważ górna połowę ściany przeszliśmy nowym wariantem (45 m wobec 90 m całości). Wariant ten rozwiązuje ładną płytę, jak się okazuje, nie tak trudną, jak można było przypuszczać. Przejście zostało zrealizowane w trakcie dwóch wizyt w lipcu 1991. Pierwszą odbyłem w towarzystwie Jacka Jasińskiego (45 lat), drugą zaś — Jurka Kopacza (46 lat). Zważywszy, że sam mam 44 lata i że do



François Legrand

przejścia nie udało mi się zachęcić nikogo z młodszych kolegów (był to akurat okres zawodów wspinaczkowych), zdecydowałem się klasycznemu „Kielkowskiemu” (z nowym wariantem) nadać nazwę „Ryczące Czerdzieski”.

Wojciech Kurtyka

CEC OBRADUJE

W Bardonecchia we Włoszech odbyło się letnie zebranie Commission Escalade de Competition UIAA (CEC), na którym zapadło szereg istotnych postanowień. Ustalono, że puchary świata we wspinaczkę będą realizowane w lata nieparzyste: 1991, 1993, 1995 i dalsze. Natomiast w lata parzyste będą się odbywały puchary kontynentów. Celem starań CEC jest wprowadzenie zawodów wspinaczkowych jako oficjalnej konkurencji do Igrzysk Olimpijskich, od zimy 1994 i lata 1996 poczynając. Miejscem tegorocznych Mistrzostw Świata będzie Frankfurt (por. TB 1/91 s.23) w dniach 2-6 października. Ustalono ich program. W ćwierć- i półfinałach starty będą się odbywały on sight, natomiast finałisti będą się musieli zmierzyć z dwiema drogami: jedną OS i drugą - „po pracy”.

ONI I ONE

Ożenek z Corinne Labruno nie wpłynął źle na formę Jibé Tribouta. Jak podaje „Vertical”, w skałach Gache na południu Francji przeszedł on za jednym zamachem drogę z trudem wypracowaną przez Stéphane Poussardina i wycenioną na „8b+ minimum”. Być może dalsze powtórzenia awansują ją nawet do klasy 8c. Tymczasem wielki Patrick Edlinger odgraża się, że w końcu roku zrobi drogę o trudnościach 9 — jak oświadczył, również „gdzieś na południu Francji”. Póki co, odbył on wspinaczkowo-telewizyjną podróż naokoło świata, z dłuższymi pobytami w Australii, Japonii, USA. Pod ko-

niec lata był nawet w Saskiej Szwajcarii, która „dostarczała mu nowych impulsów”. Wspinaczem nr 1 Hiszpanii jest aktualnie Bask Patxi Arocena. Został on zwycięzcą sześciu kolejnych zawodów krajowych i — jak pisał „Desnivel” — skutecznie zmierzył się z najtrudniejszą aktualnie drogą Hiszpanii, „Więźniem” w Monserrat (8c — droga „El Sicario” w Escalate cieszy się również tą oceną, jest jednak podobno nieco łatwiejsza). Czołowa skalolazka Japonii, Akiko Ohiwa, wspiwała się przez pół roku we Francji. Jako pierwsza Japonka uporowała się RP z drogą 8a (Samizdat), szereg lżejszych siódek przeszła on sight. W dniach 2–4 sierpnia zajęła pierwsze miejsce w Pucharze Ohkura (najlepszym z panów był Yoshihiko Terashima). I jeszcze jedna dziewczyna-pajak: Isabelle Patissier. Otóż skończyła ona swoją „pierwszą” książkę (nastąpią dalsze?), w której odsłania podobno liczne tajniki swej zawodniczej „kuchni”. W przygotowaniu manuskryptu pomógł jej Jean-Michel Asselin, były redaktor „Montagnes” i „Verticale”, zaprzyjaźniony z alpinistami z Polski (był m.in. uczestnikiem pierwszego festiwalu w Katowicach).

SUSI ATAKUJE

W sympatycznym włoskim Clusone aż 4 sztuczne ściany czekały na zawodników kolejnego spotkania pucharowego UIAA (30 VIII – 1 IX). Zjechało ich aż 195 — z 21 krajów świata. W eliminacjach odpadło kilku zdecydowanych faworytów, m.in. Glowacz, Moon i Hirayama, dzięki czemu na wysokich miejscach znaleźli się dwaj reprezentanci ZSRR. Wśród pań tym razem królowała Susi Good, a Isabelle Patissier ciężko przeżyła po-

W Górach Stołowych (Hejszowinie) ma powstać punkt oparcia dla wspinaczy w postaci obozowiska. PZA poszukuje klubu, który zechciałby współpracować przy urządzeniu i późniejszej eksploatacji tej bazy. Kontakt: Elżbieta Fijałkowska, ul. Babickiego 12 m. 138; 94-056 Łódź; tel. (0-42) 88 09 62.

W Tatrach na okres od 20 grudnia do 3 maja planowane jest otwarcie dla taterników domku na Włosienicy.

razkę. Susi w światło ramp weszła w roku zeszłym i dzięki wyjątkowej sile fizycznej oraz nienagannej technice stale przesuwa się ku górze. Piątki zwycięzców prezentują się następująco:

1. Susi Good; 2. Isabelle Patissier; 3. Luisa Iovane; 4. Andrea Eisenhut; 5. Robyn Erbesfeld.

1. François Legrand; 2. Didier Raboutou; 3. Jewgieni Owczinnikow; 4. Salawat Rachmietow; 5. Frederic Nicole.

Zawodnicy polscy znaleźli się na miejscach 22 (Piotr Korezak), 36 (Andrzej Marcisz) i 58 (Tomasz Samitowski), zaś w klasyfikacji pań — na 7 (Iwona Gronkiewicz). Ten ostatni wynik budzi duże nadzieje, tym bardziej że Iwona dołącza do żeńskiej ekstraklasy, mając daleko za sobą takie gwiazdy, jak Lynn Hill (14) czy Corinne Labrunne (25). Łączna punktacja na czoło tegorocznego Pucharu wysuwa Patissier (45 p.), Good (39 p.), Iovane (26 p.) oraz Legranda (50 p.), Raboutou (26 p.) i Tribouta (25 p.). Iwona Gronkiewicz zajmuje w niej nieźle miejsce jedenaste.

Alpy, Kaukaz

DO ZOBACZENIA W GESÄUSE

Trzeci rok z kolei wspinaliśmy się z Iwoną w Alpach Austriackich, gdzie bawiliśmy 2 tygodnie na przełomie czerwca i lipca. Tym razem z pogodą trafiliśmy „w dziatwę”: na 14 dni pobytu w górach tylko 3 były z deszczem. Udało nam się więc zrobić 8 dróg wspinaczkowych i 2 wejścia turystyczne — w sumie 10 szczytów.

W Zillertaler Alpen przeszliśmy m.in. południowo-wschodnią grań Sigmundyspitze (3087 m), w Wilder Kaiser — m.in. 500-metrowy pionowy i lity, choć tylko „czwórkowy” kant Predigtstuhl (2092 m). W Wysokich Taurach pogoda również nam sprzyjała, było jednak bardzo ciepło, nawet w nocy. Już po raz drugi próbowaliśmy przejść Rynnę Pallaviciniego między Gross- i Kleinglocknerem, jednakże bloki skalne, które spadły obok nas, gdy wspinaliśmy się w nocy dwa wyciągi powyżej szczytów brzoźnej, odebrały nam chęć kontynuowania drogi. Udało nam się za to przejść — jeszcze tego samego dnia — północną flankę Glocknerwand (3722 m) oraz południową grań Grossglocknera. Ta ostatnia, to 600 m litej „trójkowej” grani z kompletem trwale osadzonych haków stanowiskowych oraz wieloma stałymi „przelotami”.

W Dachsteinie dopadł nas deszcz. Jednakże ostatnie dni, które spędziliśmy w nie znanym nam dotąd rejonie Gesäuse, były znowu słoneczne. Zrobiliśmy najświeższą chyba z popularnych dróg tego rejonu — 350-metrową południową grań Kalblingu (15 wyciągów o

trudnościach IV A0). Góry Gesäuse, przecięte malowniczym przełomem rzeki Enns, chciałbym serdecznie polecić naszym skalolazom. Tak np. na 300-metrowej zachodniej ścianie Kalblingu jest około 15 dróg o trudnościach od V do VII — tyle przynajmniej prezentują zdjęcia i opisy techniczne eksponowane na planszach w pobliskim schronisku Oberst-Klinke-Hütte. Również na ścianach innych wierzchołków nie brak możliwości wyciącia się dla wspinaczy lubiących lity pionowy wapien. Geograficznie biorąc, Gesäuse jest częścią Ennstaler Alpen.

Wiele rzeczy podoba mi się w górach Austrii, a jedną z nich jest świetna atmosfera w tamtejszych schroniskach. Są one niedrogie i bardzo czyste, wspinacz jest niewielu, a kierownicy znakomicie zorientowani w sprawach wspinaczkowych. Wszędzie respektowane są legitymacje polskich klubów wysokogórskich, na które przysługują zniżki. Co prawda, w niektórych obiektach brak jest tzw. kuchni turystycznych, zawsze jednak można gotować poza pomieszczeniami.

Po doświadczeniach z ubiegłych sezonów mieszkaliśmy wyłącznie w schroniskach (najtańsze 40 szylingów, najdroższe, prywatne — 80), na dole zaś w tzw. pokojach ze śniadaniem (30 dol. dla 2 osób). Ta metoda pozwoliła nam uniknąć dźwigania namiotu. Rezerwowany sprzęt i żywność deponowaliśmy w przechowalniach kolejowych. Polaków w górach nie spotkaliśmy. Za to Grossglockner przeżywa prawdziwe obłożenie przez Czechów i Słowaków. W ciągu 3 dni pobytu w tym rejonie widzieliśmy

co najmniej setkę osób z tego kraju, zmierzających na najwyższy szczyt Austrii (por. TB 1/91 s.17).

I jeszcze kilka słów o kosztach. Byliśmy w Austrii 17 dni i wydaliśmy łącznie ok. 800 tysięcy zł (pociąg do Bratysławy, ubezpieczenie, żywność) oraz ok. 600 dolarów, z czego 300 na pociąg i autobusy. Nigdy nie byłem na wczasach, ale sądzę, że dobre wczasy w Zakopanem nie są wiele tańsze. A na porównania czegokolwiek — poza cenami — szkoda po prostu czasu. Austriacy wiedzą, jak przyjmować gości i co robić, aby wywieźli oni jak najlepsze wrażenia i by byli zadowoleni z pobytu w ich pięknym górach.

Andrzej Skłodowski

I MY WYBRALIŚMY AUSTRIĘ

W dniach od 1 do 18 sierpnia, na zaproszenie znającego austriackiego himalaisty, Hansa Schella (4 ośmiotysięczniki w latach 1975–85), wspinaliśmy się w Austrii 4 osoby z KW Warszawa. Oprócz niżej podpisanych byli to Jerzy Brenneisen i Andrzej Majewski. Cel główny stanowił znany nam z lat ubiegłych masyw Dachsteinu (południowe ściany Hoher Dachstein i Torstein). Niestety, zamiast zapowiadanej „Kaiserwetter” trafiliśmy najpierw na opady ciągłe (powódzie w Austrii) a później na powtarzające się dwa razy w ciągu doby burze, które utrudniały podejmowanie poważniejszych wspinaczek. Działając w oparciu o znakomitą bazę, jaką był wypoczynkowy dom Schella, położony na zboczu Fastenbergu ponad Schladming — miastem stanowiącym centralny punkt wypadowy w Dachstein, mogliśmy przetrwać mokre dni bez zbytnich uszczerbków na morale.

Najlepsze osiągnięcie, to przejście 11 sierpnia przez Brenneisen i Majewskiego wyprostowania południowo-zachodniego filara Grosser Koppenkarstein (400 m, V+) oraz pokonanie 7 sierpnia przez Palmowską i Wirskiego polecane w przewodnikach południowo-zachodniego zacięcia Hochkesselkopf (650 m, IV z wariantem V w dolnej partii). Poza tym wspinaliśmy się na Niederer Turlspitz i Windlegerkopf. Pod koniec pobytu humory poprawiło nam nieoczekiwane pojawienie się samego Schella, który akurat wrócił z Karakorum (z wyprawą na Pasu Peak). Korzystając z jego oferty, przeszliśmy wspólnie dwie krótkie (pogoda!) drogi: południowo-

-zachodnią ryse na Torsäule (230 m, IV+) w masywie Hochkönig oraz drogę „Halleluja” na południowej ścianie Glatscheroffkogel w Gosaukamm (200 m, IV).

We wspinaczce uczestniczyli również: żona Hansa, Lieselotte (matka — bagatela! — sześciorga dzieci, obecnie w wieku 21–28 lat), jego najstarszy syn, a także doskonały alpinista i przewodnik górski, Rudi Lindner. Ciekawostką stanowi fakt, że ten ostatni jest zatrudniony przez Schella, właściciela sieci supermarketów w południowej Austrii, w — powiedzmy — dziale socjalnym firmy, w charakterze przewodnika górskiego, którego zadaniem jest odbywanie wspinaczek z pracownikami przedsiębiorstwa.

Pragniemy zwrócić uwagę — nie pierwszy na tych łamach — że Austria oferuje alpinistom niezwykle bogate możliwości wspinaczkowe, wyraźnie przez polskich alpinistów nie doceniane. Względnie tani dojazd przy wielkiej różnorodności gór (seria przewodników wydawanych przez Bergverlag Rudolf Rother opisuje 34 różne rejony, niektóre ze ścianami o wysokości 800–1000 m) stanowi o wyjątkowej atrakcyjności tego kraju. I jeszcze jedna uwaga praktyczna. Akcje ratunkowe (w tym śmigłowcowe) są w Austrii bezpłatne. W związku z tym wystarczy w Polsce ubezpieczyć się od kosztów leczenia szpitalnego, a więc nie ma potrzeby płacenia w „Warcie” trzykrotnej stawki za tzw. zwiększone ryzyko.

Krystyna Palmowska i Ziemowit J. Wirski

BULGARZY W KAUKAZIE

W Kaukazie bawiła minionego lata 12-osobowa grupa sportowo-szkoleniowa z Bulgarii. Przybyto przeszło 20 dróg, w tym kilka wysokiej klasy. Iwan Maslarow i Petko Totew przebiegli w 10 1/2 godziny 1000-metrową ścianę Pika Szczurowskiego znaną drogą „Przez Surka”, którą pierwszy z nich znalazł już z przejścia zimowego. Totew powtórzył samotnie drogi III kategorii na Dżan Tuganie i Piku Giernogienowa. Kiril Tafradzkijski zleciał na spadłowiec pomiędzy szczytów Elbrusa (20 minut), następnie zaś z Przełęczy WCSPS (ok. 4100 m) wprost do położonej 2500 m niżej bazy „Szchelda”. Ten drugi lot trwał pełne 45 minut! Kaukaskie lato obfitowało w sukcesy sportowe, niestety również w nieszczęśliwe wypadki.

Redaktor działu: Rafał Kardaś

Jaskinie i speleologia

Jaskinie polskich Karpat fliszowych

W r. 1990 minęło 20 lat od rozpoczęcia przez Speleoklub Bielsko-Biala (obecnie KTJ SBB) prac eksploracyjno-inwentaryzacyjnych w Karpatach fliszowych. W ostatnim okresie przyłączyły się do nas także inne ośrodki jaskiniowe Polski południowej (Nowy Sącz, Dębica), a nawet poszczególne osoby. Kapitałowe znaczenie posiada wydawany przez nasz klub inwentarz, spełniający rolę zbiorczego, otwartego dla wszystkich opracowania. Chcemy, aby obejmował on cały interesujący nas obszar, bez względu na granice państwowe. I tak IV część zawiera dokumentację jaskiń Beskidu Morawsko-Sląskiego w Czechosłowacji, wykonaną przez członków Spele-

klubu ORCUS z Bogumina. W niedalekiej przyszłości podobne rezultaty powinna przynieść współpraca z grotołazami lwowskimi.

W okresie 1988–90 zinwentaryzowano 51 jaskiń i schronisk podskalnych w Beskidzie Śląskim, Sądeckim, Niskim i Małym, a także na pogórzach Rożnowskim i Dynowskim. Według stanu z września 1990 r., w polskich Karpatach fliszowych znanych jest 136 jaskiń i schronisk o łącznej długości 3 958 m. Sto metrów długości przekracza 10 z nich:

1. Jaskinia w Trzech Kopcach (Beskid Śląski) . 826 m
2. Jaskinia Niedźwiedzia (Beskid Sądecki) 340 m
3. Diabla Dziura w Bukowcu (P. Ciężkowickie) 320 m

4. Jaskinia Malinowska (Beskid Śląski) 164 m
5. Jaskinia Chłodna (Beskid Śląski) 117 m
6. Jaskinia Alibaby w Klimczoku (B. Śląski) ... 114 m
7. Jaskinia Mroczna (Beskid Niski) ok. 112 m
8. Mysiorowa Jama (B. Mały-Makowski) ... ok. 110 m
9. Jaskinia Szkieletowa (Pogórze Rożnowskie) 106 m
10. Jaskinia w Sopotni Wielkiej (B. Żywiecki) ... 101 m

Głębokości jaskiń fliszowych nie są wielkie, jednakże co najmniej pięć z nich przekracza 15 metrów:

1. Diabla Dziura w Bukowcu -42,5 m
2. Jaskinia Malinowska -22,7 m
3. Jaskinia Szkieletowa 17 m (+1,-16 m)
4. Jaskinia Chłodna -16,5 m
5. Jaskinia Mroczna -15,0 m

Grzegorz Klasek i Jerzy Pukowski

OD REDAKCJI. Tęże z pełnym uznaniem odnieść się do naszych kolegów prowadzących badania jaskiń w Beskidach za to, że wymyślając dla nich nazwy nie ulegają młodzieżowej modzie na poetykę typu rockowego, tak szeroko rozplenioną w nazwach dróg wspinaczkowych. Jedyne wyjątki stanowią Jaskinia Alibaby, która w krajobrazie Beskidu Śląskiego niepotrzebnie wprowadza bohatera orientalnej baśni. Zanim znajdziemy się na mapach, warto by pomyśleć o zastąpieniu jej inną, boć i w stosunku do Beskidów winny nas obowiązywać słuszne założenia nazwołowe, opracowane niegdyś przez Towarzystwo Tatrzańskie dla Tatr. (jn)

Partie Sąddeckie w Jaskini nad Dachem

Do jesieni ubiegłego roku Jaskinia nad Dachem, położona w północnych zerwach Ratusza Mułowego, była mało znaczącą jaskinią, atrakcyjną głównie ze względu na bardzo trudne dojście. 10 listopada 1990 r. był dla niej dniem przełomowym. Grupa grotolazów z Sąddeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PITK sforsowała na głębokości 30 m ciasny niski korytarzyk i przedostała się do nie znanych dotąd partii jaskini. Jeszcze w listopadzie członkowie SKTJ PITK połączyli Jaskinię nad Dachem z systemem Prasiej Studni — Lodowej Litworowej, odkrywając łącznie 612 m nowych ciągów o deniwelacji 111 m. W eksploracji udział wzięli: Paweł Wańczyk, Paweł Rams, Marek Lorzcyk, Czesław Zabrzeński, Roman Baran, Paweł Irzyk i pisząca te słowa.

SKTJ PITK powstał zaledwie 7 lat temu, a do PZA został przyjęty pod koniec 1988 r. Pierwszy sukces odniósł w r. 1987, było nim zaś odkrycie i wyeksplorowanie Jaskini Szkieletowej (106 m długości) w skałach w rejonie Rożnowa. Na początku 1988 r. członkowie klubu znaleźli „Piekielek” — ok. 80 m nie znanych korytarzy w Jaskini Wysockiej. Potem, pod koniec roku, odkryli i wyeksplorowali trzecią wśród najdłuższych jaskiń polskich Beskidów, Niedźwiedzią w Beskidzie Sąddeckim (340 m długości). Odkrycie Partii Sąddeckich w Jaskini nad Dachem stanowi więc najpoważniejsze osiągnięcie w dotychczasowej historii młodego klubu.

Dzięki przyłączeniu tej jaskini, system Prasiej Studni — Lodowej Litworowej zyskał nie tylko nowy, najniższy otwór, ale też awans z 10 na 8 miejsce wśród najdłuższych jaskiń Polski. Przy nie zmienionej głębokości 351 m, jego aktualna długość wynosi 4052 m (z uwzględnieniem niewielkiego odkrycia warszawiaków z czerwca 1989 r. — R.E.K.).

Anna Antkiewicz-Hunbach

Pełna deniwelacja Jaskini Miętusiej

Po uzyskaniu w r. 1987 przewyższenia +22 m w kominach Sali bez Stropu (T.1/87), pokonanie całości tak ustalonej nowej deniwelacji Jaskini Miętusiej stało się ponownie kwestią otwartą. W dniu 31 stycznia 1991 r., uznawszy że problem „odleżał się” ponad miarę, wraz z Andrzejem Majkowskim przystąpiliśmy do dzieła. Pasaż składa się z 4 wyciągów interesujących na ogół wspinaczką (III-IV, miejsce V) z głębokości — 76 m do najwyższego punktu jaskini oraz zjazdu do najniższego położonego suchego miejsca — nad syfon w Wielkich Kominach (—213 m).

Podczas przejścia powiesiliśmy pętle w Komorze pod Matką Boską oraz na trawersie nad Ciasnymi Kominami, z Piaskowego Progu linię ściągaliśmy stosując metodę sznureczkową. Poza tym dysponowaliśmy liną dynamiczną 39 m długości (do asekuracji podczas wspinania i poręczowania części zjazdów w Wielkich Kominach), statyczną 44 m (używaną poniżej Piaskowego Korytarza) oraz ok. 40-metrowej długości 3-milimetrowym repsznurem do ściągania lin. „Żelaza” zabraliśmy zdecydowanie za dużo. Ponieważ na miejscu jest kilka stałych przelotów, wystarczą w zupełności 3 haki (dość cienkie, średnia rynnica i gruba „v-ka”) oraz 5-6 różnej długości pętli z taśmami, do tego komplet karabinków (wystarczy liczba niezbędna później do poręczowania).

Przejście należy do bardziej interesujących i urozmaiconych ze względu na połączenie technik wspinaczkowych i typowo podziemnych. Jedyną przykrasę stanowi zacisk zmuszający do częściowego „rozszpejenia się” między 3 a 4 wyciągiem — na ciasnym zapieraczkowym stanowisku. Różne okoliczności sprawiły, że uzyskany czas — 9 1/2 godziny — nie jest wyśrubowany. Zapraszamy do powtórzeń.

Rafał Kardaś

Speleologia — przygoda w ukryciu

„Espeleologia: La aventure oculta” — to tytuł hiszpańskiej kasety video, „której celem jest — jak głosi plansza — pomóc młodzieży poznać ten sport i zachęcić ją do praktykowania go”. Tymczasem z różnych stron odzywają się głosy, by popularyzacja alpinizmu jaskiniowego raczej ograniczać, gdyż jej zbyt szerokie wejście do masmediów zwiększa napór ciekawskich na jaskinie, w niektórych przekraczających wszelkie limity ich „pojemności”, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach związanych z wnikaniem w podziemne czeluści osób bez żadnego przygotowania. Dotyczy to w pewnej mierze i naszych jaskiń: „namierzani” przy różnych okazjach amatorscy poszukiwacze otworów w Krzeszanie czy Kominarskim Wierchu przyznają, iż zostali do tego zachęceni przez telewizję bądź publikacje prasowe. Verband der deutschen Höhlen- und Karstforscher ogłosił stan alarmowy dla Alp i rejonów subalpejskich. Nawołuje, by zaniechać publicznej propagandy piękna jaskiń i speleologii jako aktywności sportowej — zwłaszcza w środkach masowego przekazu: gazetach, telewizji, kinie. Zdaniem VDHK, wszelkie informacje należy publikować z dużą ostrożnością, najlepiej nie wychodząc poza niskonakładowe czasopisma fachowe, unikając w ten sposób poszerzania kręgu ludzi zafascynowanych „ukrytą przygodą”. Najbardziej zagrożone obiekty jaskiniowe winny zostać zamknięte. (jn)

LATO 1991 W GÓRACH PAKISTANU

Sezon w Pakistanie był skromniejszy od poprzedniego (1990), a nawet słabszy, niż zapowiadały władze (TB 1/91 s.8). Kilka wypraw zrezygnowało z przyjazdu, inne zredukowały składy zespołów. Około 30 grup, czyli przeszło połowa, operowało na szczytach 8-tysięcznych, 2 od strony Chin. Pogoda znowu się nie spisała, zwłaszcza w pierwszej części lata. Norwedzy utknęli w zadmęcie poniżej szczytu Tirich Mir East w Hindukuszu. Nanga Parbat (8125 m) była celem 6 wypraw, ale tylko dwójce brytyjskiej udało się osiągnąć wierzchołek (Roger Mear i David Welsh). Na Broad Peak weszło ok. 15 osób, wśród nich Japonka, nie wiadomo jednak, czy wszyscy dotarli do najwyższego punktu. Największy ścisk panował tradycyjnie pod Gasherbrumem II (8035 m). Obiegało go 9 wypraw, 13 osób stanęło na szczycie (9 Koreańczyków). Sąsiedni Gasherbrum I (8068 m) miała na celu tylko 1 wyprawa, w dodatku bez powodzenia. K2 znowu bronił się: na grani Abruzzów Niemcy pod wodzą Sigiego Hupfauera założyli 2 obozy i depozyt na wysokości 7200 m. Nowozelandczycy twierdzą, że dotarli do 7500 m. „To co zrobili tam zeszłej jesieni ludzie z Mountain Wilderness — napisał nam w liście Sigi — jest sprawą niemal kryminalną. Zniszczyli haki i poręczówki aż po Komin House'a, złom i pocięte liny porzucając na grani.”

Od strony Pakistanu wejście było tylko jedno — pierwsze od r. 1986! — za to dość sensacyjne. Zrealizowali je w ciągu 3 dni poprzez grań północno-zachodnią Pierre Béghin i Christophe Profit — dwójkową wyprawą, bez tlenu, z 1 lub dwoma obozami. Na szczycie stanęli o zmierzchu 15 sierpnia, wracając nocą na filar. W artykułach prasowych unikają szczegółów technicznych i — jak to jest obecnie w zwyczaju — nie nawiązują do wkładu Polaków czy Japończyków. Mówią o drodze „entièrement nouvelle” choć wiedzą chyba o tym, że szli wariantami polskimi, a w górnej części drogą japońską.

Wiele działo się na niższych szczytach, gdzie wyniki są lepsze, brak jednak szczegółowych danych. Wśród zamierzeń było m.in. trzecie wejście na Kunyang Chish (7852 m) oraz pierwsze wejścia na Makrong Chhish (6607 m), Bojohagur Duan Asir oraz Ultar. Na Makrongu mała wyprawa brytyjska, wsparta przez Fundusz im. Nicka Estcourta, straciła podczas zejścia dwóch młodych wspinaczy (byli to Steven Hillen i David Tyson). W nieudanej wyprawie na Diran wziął udział Aleksander Lwow. Brak też, jak dotąd, wiadomości ze strony chińskiej, skąd wyprawa włoska miała atakować północny filar K2, zaś Katalończycy (z udziałem Kurta Diembergera) dziewiczą wschodnią ścianę Broad Peaka. Jak nam podał Xavier Eguskita, ci drudzy w połowie września mieli 2 obozy i nadzieję na osiągnięcie szczytu.

Pożegnania

W ostatnich latach śmierć zabrała spośród starszego i średniego pokolenia kilkoro znanych i wybitnie zasłużonych taterników i alpinistów. Zanim będziemy w stanie poświęcić im bardziej wyczerpujące wspomnienia, zamieszczamy krótkie encyklopedyczne notatki biograficzne, by do paru przynajmniej nazwisk powrócić w przyszłości.

JERZY HAJDUKIEWICZ



Według metryki urodził się 1 stycznia 1919 r., choć faktycznie był o prawie miesiąc starszy. W Zakopanem osiadł w r. 1933. Studia medyczne odbył we Lwowie i w Zurichu (1937–45). W latach 1954–78 pracował jako chirurg w zmieniającym nazwy Specjalistycznym Zespole Rehabilitacyjno-Ortopedycznym na Bystrem (i w Kuźniach). Uprawiał sportowo narciarstwo, wspinaczki zaczął w r. 1937, mając za partnerów m.in. Jana Sawickiego (którego zwał swoim mistrzem), Zdzisława Dziędziewicz, Zbigniewa Kubińskiego, Jana Staszla, Eugeniusza

Strzebońskiego, Krzysztofa Berbekę. W swoim taternickim dossier wylicza ok. 55 nowych dróg i pierwszych przejść zimowych, wśród nich tak popularne, jak tzw. filar Staszla na Granatach (1938). Za udział w kampanii francuskiej odznaczony został Krzyżem Walecznych (1940). Internowany w Winterthur w Szwajcarii, założył tam — wspólnie z Maciejem Mischke — Klub Wysokogórski Winterthur (1942–46), a w latach 1944–45 wydawał emigracyjną wersję „Taternika” (5 zeszytów).

Po wojnie wrócił do kraju. Wspiął się w Tatrach, gdzie propagował nowoczesny styl chodzenia, zwłaszcza zimą (północna ściana Mięguszwieckiego w 5 1/2 godziny). Pozostał też wierny Alpom. W r. 1947 uczestniczył w obozie KW w Chamonix, w 1957 wziął udział w głośnej akcji ratunkowej na północnej ścianie Eigeru. W r. 1964 dokonał I zimowego przejścia północnej ściany Dent d'Hérens, zakończonego wypadkiem. W latach 1958 i 1960 jako pierwszy po wojnie Polak wyruszył w Himalaje, uczestnicząc w wyprawach Maxa Eiselina na Dhaulagiri. Druga z tych wypraw dokonała I wejścia na ten szczyt. Był w Hindukuszu, w r. 1971 wszedł w skład wyprawy austriackiej, która zdobyła dziewiczy Malubiting (7453 m) w Karakorum.

Stale wspiął się w Tatrach, także Zachodnich (np. na Giewoncie). Mając 60 lat pokonał północno-wschodnią ścianę Aiguille Blanche w Alpach. W latach 1942 (Piz Bernina) — 1980 (Barre des Ecrins) jako jedyny dotąd Polak wszedł na wszystkie 57 czterotysięczników Alp (T. 2/81 s.52).

W KW był sekretarzem generalnym (1948–49) i wiceprezesem (1953–54 i 1957–59), także prezesem kół

KW w Krakowie (1949–54) i Zakopanem (1954–58). Od r. 1950 był aktywnym ratownikiem oraz członkiem władz TOPR i GOPR, m.in. prezesem Grupy Tatrzańskiej i przewodniczącym Rady Naczelnej. W latach 1973–78 i 1986–89 zajmował stanowisko lekarza naczelnego GOPR. Systematycznie uczestniczył w pracach IKAR i kongresach lekarzy służb górskich. Alpy, Tatry, Himalaje popularyzował przez liczne wykłady i prelekcje. W r. 1954 redagował periodyk „Góry Wysokie”, dużo pisywał w prasie ogólnej i fachowej, także zagranicznej (m.in. jako stały korespondent „Alpinismus” i „Berg-Echo”). Liczbę artykułów i prac naukowych szacował na 150. Wydał także 3 książki. Dwie z nich, poświęcone wyprawom na Dhaulagiri, „Himal-Cu-Cu-Ra” (1961) i „Dhaulagiri zdobyty” (1963) — odegrały dużą rolę w inspirowaniu i edukacji przyszłych polskich himalaistów. Między dwoma atakami ciężkiej choroby zdołał napisać i wydać trzecią książkę, „Góry mojej młodości” (1988), obejmującą całość jego górskiej kariery. Posiadał liczne odznaczenia i wyróżnienia, a wśród nich tytuł członka honorowego KW i PZA (1974). Zmarł 10 lipca 1989 w Zakopanem.

(jn — „Głos Seniora” 7/1989)



**WANDA
I CZESŁAW
ŁAPIŃSCY**

Przez przeszło 30 powojennych lat należeli oboje do krajobrazu Morskiego Oka. Rysi i Mnich były po jednej stronie — po drugiej stronie oni: Czesław i Dziunia. Na ich życiową obecność zawsze tu można było liczyć. Ok. 1980 r. powrócili do Krakowa, lecz Czesław spędzał nad Morskim Okiem długie miesiące, pomagając Wojtkowi, a po jego nagłej śmierci — synowej Marii. Zmarli w odstępie paru miesięcy: Czesław w lipcu 1989, Dziunia w kwietniu 1990 roku.

Czesław Łapiński urodził się w r. 1912 w Nowym Jorku. Studia odbył w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Krakowie, a jego pasją było wspinanie. W skałkach krakowskich przypominają go liczne drogi — w tym jedna z w ogóle najładniejszych: środek urwisk Sokolicy. Wraz z gronem kolegów stworzył nieformalne zrzeszenie, nazywane później „Pokutnikami”. Były również Tatry. W r. 1937 dokonał III przejścia północnej ściany Małego Kieźmarskiego, w 2 lata później poprowadził drogę na Niżni Barani Zwornik. Jednak najbardziej owocne były dlań lata wojny. Wraz z Kazimierzem Paszuchą (zob. niżej) przeszedł górną część wschodniej ściany Mnicha (1942), środek ściany Kazalnicy (1942) i środkowy komin Galerii Gankowej (1944). „Trzy ważne osiągnięcia w rozwoju nowoczesnego taternictwa”, oceniał Witold H. Paryski. Nie brakło i innych przejść, jak np. w 2 dni

lipca 1943 r. wschodnia ściana Mniszka i południowo-wschodnia Szpiglasowego Wierchu. W l. 1944–48 był Czesław współwydawcą pisma „Pokutnik”, którego redakcja mieściła się w jego mieszkaniu. Tuż po wojnie objął on schronisko nad Morskim Okiem, zrazu jako dzierżawca, potem jako kierownik. W r. 1947 wspiął się w Alpach, m.in. na Petit Dru. Często wyrwał się na wspinaczki w okolice Morskiego Oka. Tak np. doszło do II zimowego przejścia północno-zachodniej ściany Niżnich Rysów (1949) i I zimowego przejścia północno-wschodniej ściany tego szczytu (1951).

Szeroką sławą cieszyła się rodzinna atmosfera schroniska nad Morskim Okiem, jaką Dziunia i Czesław tworzyli. Zjednywała ona im i schronisku niezliczonych przyjaciół — z różnych sfer, szczególnie zaś z grona taterników, którzy zawsze znajdowali tu dach nad głową a często i gratisowy wikt. Dziunia matkowała młodym taternikom, kojarzyła małżeństwa, Czesław służył radami, odprowadzał o świcie w ściany. Do dziś wspomniane są schroniskowe imprezy: dyngusy, wigilie, sylwestry, imieniny gospodarzy. Powtarzane są dowcipy i anegdota Czesława, w których był swoistym mistrzem, a których niestety nikt w porę nie spał. W r. 1963 Walny Zjazd nadał mu godność członka honorowego a po prawdzie tytuł ten należał się także Dziuni. Krótkie wzmianki poświęciliśmy obojgu w TB 1 i 2/1990 (s.5–6 i 21–22). (jn)



**KAZIMIERZ
PASZUCHA
„ABAZY”**

Swojego skalnego druha, Czesława Łapińskiego, przeżył o niespełna rok. Zmarł w Krakowie 26 maja 1990 roku w wieku 81 lat i spoczął na cmentarzu w Batowicach. Z zawodu był chemikiem z tytułem magistra. Przed wojną działał w „YMCA”, w czasie wojny należał do AK. Urodzony w r. 1908 w Nowym Targu (matka była góralką), wspinaczki rozpoczął w r. 1931, stając się jednym z filarów grupy „Pokutników”. W skałkach jego działalność przypominały liczne drogi, niektóre dziś zaliczane do rozwiązań klasycznych. W Tatry wszedł przed wojną — tak latem jak i zimą. Wraz z Czesławem Łapińskim wprowadził tu technikę hakową, dokonując — częściowo z jej pomocą — serii historycznych przejść, wśród nich wschodniej ściany Mniszka (1942), wschodniej ściany Mnicha (1942), środka północno-wschodniej ściany Kazalnicy (1942) i środkowego kominu północno-zachodniej ściany Galerii Gankowej (1944). Do jego najlepszych przejść zimowych należały ściana Galerii Gankowej drogą Kulczyńskiego (1939 z Włodzimierzem Gołowskim) oraz północna ściana Giewontu wprost na główny wierzchołek (1952 z Adamem Dobrowolskim). Latem 1946 r. dokonał w ciągu 6 dni pierwszego uda-

nego przejścia całej grani Tatr Wysokich (z Adamem Górą), w dwa lata później wspólnie z Łapińskim przeszedł zimną granicę Tatr Zachodnich — od Kasprowego po Brestową. Był współtwórcą pisma „Pokutnik” (1944–48) i jednym z jego redaktorów. W r. 1947 wyjechał z ekipą KW w Alpy Francuskie, dokonując jednego z wcześniejszych powtórzeń północnej ściany Petit Dru. Od r. 1945 był członkiem GOPR, w r. 1974 Walny Zjazd KW nadał mu godność członka honorowego naszej organizacji. (jn)



**JAN ALFRED
SZCZEPAŃSKI**

Po długim i wypełnionym pracą życiu zmarł 20 marca 1991 Jan Alfred Szczepański, taternik, alpinista, andynista, pisarz górski. Urodzony jesienią 1902 r., w Tatrach pozostawił ok. 130 nowych dróg, ma własne drogi w Wysokim Atlasie i ładne powtórzenia w Alpach, jednakże kulminację jego sportowej kariery stanowił udział w II Polskiej Wyprawie w Andy w l. 1936–37 — z pierwszym wejściem na drugi co do wysokości szczyt Ameryki. Ojos del Salado (według nowych pomiarów 6900 m) i na jeden z wierzchołków trzeciego szczytu kontynentu, Nevado Pissis (6780 m). Z zawodu był dziennikarzem, o poglądach już przed wojną lewicowych. Jego artykuły na tematy górskie idą w setki, napisał też kilkanaście książek, w tym parę poświęconych alpinizmowi, jak „Wyprawa do księżycowej ziemi” (1954 i 1957), „Siedem kręgów wtajemniczenia” (1959) i inne. Dla nas najciekawsze są jego związki z naszym piśmem. Współpracował z nim intensywnie od r. 1925, redagował je w l. 1931–36 (por. T. 3/68 s.129), dla „Taternika” napisał bodaj ostatni w życiu artykuł, dotąd nie opublikowany. Mówi dr Bolesław Chwaściniński w swej historii taternictwa: „Postawił Taternika na wysokim poziomie, szybko i w pełni informował świat taternicki nie tylko o wszystkim, co się działo w Tatrach, ale i w Alpach i innych górach świata. Opracowania historyczne (...) należą do najlepszych w dziejach tego piśma.”

W grobowcu rodzinnym, na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie obok męża spoczęła Maria Szczepańska, z domu Perlberzanka, która — jak to nierzadko bywa — przeżyła go o zaledwie 2 1/2 miesiąca. I ona ma interesującą taternicką kartę, obejmującą kilka ładnych nowych dróg (np. we wrześniu 1936 r. Skorusza Przełęcz wprost od wschodu i Mała Sobkowa Turnia od północnego zachodu). Ogłosiła kilka wspomnień taternickich, m.in. w „Kamieniu”.

Krótkie noty biograficzne Jana Alfreda ukazały się m.in. w „Gościńcu”, wrocławskiej „Signie”, „Głosie Seniora”, „Taterniku-Buletynie” (1/91) a nawet w japońskiej „Iwa to Yuki”. (jn)

RÓŻA DROJECKA

13 września 1990 r. zmarła w Zakopanem jedna z nielicznych już przedstawicielek przedwojennej generacji taterniczek, Róża Drojecka. Urodzona 21 września 1904 r. w Stryjnie w pow. Krasnostaw, była działaczką turystyczną i kulturalno-oświatową. Mieszkając w Warszawie pracowała do r. 1939 jako bibliotekarka na Wolnej Wszechnicy Polskiej. W r. 1942 przeniosła się na stałe do Zakopanego. Po oswobodzeniu miasta spod okupacji niemieckiej była kierowniczką Oddziału Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego, zaś w latach 1954–1970 — adiunktem i kierowniczką działu oświatowego w Muzeum Tatrzańskim.

Turystykę w Tatrach i taternictwo uprawiała od ok. 1925 roku. Uczestniczyła w szeregu pierwszych wejść, np. na Tomkowe Igły w r. 1935, północną ścianą Hlińskie Turni w r. 1937 czy dolną częścią południowo-zachodniej grani Żabiej Łalki w 1946 roku, a także w przejściach licznych nowych wariantów i w powtórzeniach dróg do nadzwyczaj trudnych włącznie. Bywała też w Tatrach w zimie, dokonując m.in. zimowego wejścia na Hrubą Turnię. W r. 1928 wchodziła w skład grupy zasilającej przy pierwszej pójbie zimowego przejścia grani Tatr Wysokich. Jej towarzyszyli w Tatrach byli Konstanty Narkiewicz-Jodko, Maciej Zajęczkowski, Wawrzyniec Żuławski, Ludwik Januszewicz, Tadeusz Orłowski, Stanisław Siedlecki, Zofia Radwańska-Paryska i inni. W latach 1927–30 była sekretarką zarządu Sekcji Taternickiej AZS w Warszawie.

W r. 1951 zdała egzamin na przewodnika klasy III, w 1964 klasy II a w 1967 — klasy I. Przez szereg lat była czynna jako przewodnik tatrzański oraz jako instruktor przewodnictwa tatrzańskiego. Przez kilka lat pełniła obowiązki sekretarki zarządu Koła Przewodników Tatrzańskich w Zakopanem, które później obdarzyło ją godnością członka honorowego. W czasopiśmie ogłaszała artykuły na tematy taternickie, turystyczne i inne związane z Tatrami i Podtatrzem, np. W czasie co minął („Taternik” 1947), Władysław Matlakowski, lekarz i etnograf („Problemy” 1959), Dr Tytus Chałubiński („Literatura Ludowa” 1957). Była autorką materiałów szkoleniowych dla przewodników tatrzańskich.

Lit. Halina Ptakowska-Wyżanowicz: Od krynoliny do liny. Warszawa 1960.

Witold H. Paryski



**LOUISE
BOULAZ
1908–1991**

„Loulou Boulaz jest bez wątpienia jedną z największych alpinistek swej epoki i cudownym przykładem dla innych”, napisała o niej angielska biografka, Cicely Wil-

liams (1972). Urodzona 6 lutego 1908 w Avenches, wspi-
nała się wyczynowo przeszło 30 lat, co już samo przez
się jest swoistym rekordem, zwłaszcza w alpinizmie ko-
biecym.

W lipcu 1935 wraz z Raymondem Lambertem (póź-
niejszym himalaistą) dokonała II przejścia Filara Croza
Grandes Jorasses, zaś w rok później I powtórzenia słyn-
nej drogi Allaina na północnej ścianie Petit Dru. Jak
podaje Micheline Morin, na Filarze Croza Loulou pro-
wadziła na znacznej części drogi. Była w tym czasie
próbą przejścia nie zdobytej jeszcze ściany Eigeru, w
którą powróciła w r. 1962, mimo niepogody docierając
do Rumpy. Nowe drogi ma na Zinalrothorn i na Aiguille
Verte, na wielu drogach była pierwszą kobietą, m.in. na
„Poire” na Mont Blanc (III przejście w ogóle, 1949), na
Filarze Walkera (1952), na „Comicim” na Cima Grande
(1960). Jako jedna z pierwszych podejmowała trudne
wspinaczki w cordées féminines. Z Lucie Durand do-
konała trawersowań takich masywów, jak Les Droites,
Grands Charnoz, Aiguille du Peigne, zrobiła też z nią
ścianę Dent du Géant. W połowie lat trzydziestych na-
leżała do czołowych slalomistek — na mistrzostwach
świata w Chamonix w r. 1937 była trzecia. Wspinając
się też poza Europą, m.in. w górach saharyjskich (nowe
drogi). W r. 1959 weszła w skład tragicznej wyprawy ko-
biecej na Cho Oyu, kierowanej przez Claude Kogan.

Do alpinizmu zawsze podchodziła sportowo. Wspomi-
nając w r. 1983 lata międzynarodowej walki o „północne
ściany” alpejskie napisała: „Tyle samo ambitni, co nie-
świadomi, postanowiliśmy z Lambertem i my stanąć do
wysięgu. Tak, bo faktycznie był to wysięg, a wiecznym

malkontentem trzeba wreszcie wyjaśnić, że współzawo-
dnicstwo istniało zawsze — w każdej górskiej epopei. Na-
wiasem mówiąc, czy aby nie jest ono częścią ludzkiej
przygody? A to, że ma miejsce w górach, wcale nie czyni
go czymś niehonorowym.”

Dużo serca wkładała w rozwój ruchu Rendez-vous
Hautes Montagnes, organizowała międzynarodowe spo-
kania. Była członkinią honorową prestiżowych klubów,
m.in. Sekcji Genewskiej CAS, który kobiet w ogóle nie
zrzeszał. Do ostatnich lat widywaliśmy ją na festiwalach
i wielkich imprezach. Zmarła 13 czerwca 1991 r. w Ge-
newie, z którą była związana przez niemal całe życie.
(jn)

ALEKSANDER ZIOŁECKI

Podczas wspinaczki na Żabi Szczyt Niżni w dniu 17
czerwca 1990 roku poniósł śmierć dr Aleksander Zio-
lecki. Mikrobiolog z zawodu, był pracownikiem nauko-
wym Instytutu Fizjologii i Żywienia Zwierząt PAN w
Jabłonie. Za granicą znano go z licznych publikacji
naukowych i współpracy z podobnymi placówkami. Ta-
ternictwo zaczął uprawiać dość późno, wspinając się jed-
nak intensywnie, choć raczej nie wyczynowo. Wyjeżdżał
także w góry inne niż Tatry, np. w r. 1977 w Hindukusz
Afgański. Był ofiarą i oddanym działaczem Stołecz-
nego Klubu Tatrzańskie PITK, jego wiceprezesem i
długoletnim przewodniczącym Sekcji Alpinizmu. Zacho-
wamy go w pamięci jako dobrego i odpowiedzialnego
taternika i wspaniałego towarzysza górskich wędrówek.
Pochowany został w Poznaniu.

TATERNIK

**ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII**

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu. ul. Erazma
Ciółka 17 p. 208; 01-445 Warszawa. Tel. 36-36-90.

Redaktor: Józef Nyka, ul. Klauzyny 12 m 79;
01-684 Warszawa. Tel. (domowy) 33-07-75.

Realizacja wydawnicza i rozpowszechnianie: TEXT,
ul. Herbsta 1; 02-784 Warszawa (Ursynów).
Tel. 641-21-80.

Skład: systemem składu drukarskiego TeX (sbtex30)
— Oficyna Wydawnicza REWASZ.

W przygotowaniu numeru uczestniczyli: Krystyna Pal-
mowska, Marcin Kantecki, Rafał Kardaś, Krzysztof
Łoziński, Andrzej Paczkowski, Andrzej Skłodowski,
Jan Jacek Świaniewicz (obróbka komputerowa), Woj-
ciech Świączki, Ziemowit J. Wirski. Teksty nie podpi-
sane (lub sygnowane "jn"): Józef Nyka.

ISSN 0137-3155

Contents

Editorial (J. Nyka)	1
50th Anniversary of the Conquest of Nanda Devi East (B. Chwasiński)	2
Mountaineering and Climbing Instruction and tra- ining in Poland (W. Świączki)	6
Summer News from the Polish Tatras, 1990 (G. Gla- zek)	9
Climbs in the Polish Tatras, Winter 1990-91 (A. Skło- dowski)	14
Climbs in the Alps: Gran Paradiso, Walker Spur, Eiger	16
Highlights of the Alpine Year (J. Nyka)	19
Annapurna 40 Years Ago. Anniversary Meeting (W. Brański)	21
Clean Mountains - Point of our Honour (C.A. Pi- nelli)	23
Dhaulagiri East Face Direct, 1990 (K. Wielicki)	24
Himalaya - Pre-Monsoon 1991 (J. Nyka)	27
Dhaulagiri West Face (V. Khriščhaty)	31
Accident on Mount McKinley (M. Nyczanka)	32
Caving Notes (A. Gajewska, K. Pryjma)	34
Armchair Alpinism: Collecting Mountain Postcards Time of Screenplay. To-day's Trends in Mountaine- ering Film (W. Świączki)	39
Misuse of Karabiners (H. Mierzejewski)	40
What's New in the Tatra Mountains? - 42; New Routes in the Tatras - 46; Competition Climbing - 48; Alps and Caucasus - 50; Caving News - 51; Expeditions - 53; Obituary - 53; Late News - 41, 45, 57.	



Fot. Józef Nyka

SITARA-E-IMTIAZ

Wandzie Rutkiewicz nie brakuje rutyny w przyjmowaniu hołdów, jednakże 23 marca 1991 r. była wyraźnie wzruszona, kiedy ambasador Pakistanu, pan S.M. Inamullah, opinał jej szyję wstęgą orderu „Gwiazda Zasługi” (Sitara-e-Imtiaz), jednego z najwyższych odznaczeń swego kraju.

Akt dekoracji był głównym punktem uroczystości Dnia Pakistanu, a odbył się w Ambasadzie w obecności grupy gości z wicemarszałek Senatu, panią Zofią Kuratowską na czele. Świątek alpinistyczny reprezentowali Andrzej Zawada, Hanna Wiktorowska, Ewa i Krzysztof Pankiewiczowie oraz Zbigniew Kowalewski. „Gwiazda Zasługi” jest w hierarchii pakistańskich odznaczeń państwowych orderem trzecim od góry, a nadaje ją Prezydent za wyjątkowe zasługi. Gratulując wysokiego wyróżnienia, Ambasador przypomniał karierę górską Wandy Rutkiewicz, złożył jej też podziękowanie za wkład w rozświecanie piękna gór Pakistanu na całym świecie — przez publikacje, prelekcje, filmy. Nie został zapomniany aktywny udział naszej koleżanki w międzynarodowych mityngach organizowanych w Pakistanie, a także wpływ jej przykładu na emancypację pakistańskiej młodzieży żeńskiej, która coraz śmielej garnie się w góry, jak chociażby Shad Meena, która w r. 1990 w ekipie Wandy Rutkiewicz dotarła na Gasherbrumie II do wysokości 7500 m.

Prosto z przyjęcia w Ambasadzie Wanda pojechała do domu, by kończyć pakowanie bagażu przed kolejnym odlotem w góry — tym razem na Knagchendzongę w Nepalu. (jn)

ENCYKLOPEDIA TATRZAŃSKA — KIEDY?

Z tym pytaniem zwróciliśmy się do pani Henryki Całkovej, kierowniczki Redakcji Turystycznej Wydawnictwa „Sport i Turystyka”. Otóż wielkie dzieło Zofii i Witolda Paryskich jest coraz bliżej realizacji. Redakcja otrzymała już poprawione przez autorów hasła do litery „J”, reszta jest na ukończeniu, jeśli przy encyklopedii w ogóle można mówić o końcu pracy. W stosunku do I wydania (1973) treść powiększyła się trzykrotnie, również materiał ilustracyjny jest imponujący, musi jednak ulec pewnej redukcji, gdyż cena książki — przewidziane są 2 tomy — nie może przekroczyć rozsądnej miary. Według prze-

widywań Redakcji, „ET” ma szansę ukazać się do końca przyszłego roku. Czym oprócz tej wyczekiwanej pozycji obdarzy nas SiT? Jeszcze w tym roku otrzymamy atlas turystyczny Tatr Polskich Edwarda Moskały, a także „Przewodnik po Zakopanem” Macieja Pinkwarta. Jest również nadzieja na ukończenie książki „Mój pionowy świat”. Jej składy są zakończone, druk ma nastąpić w Jugosławii (czemu służy aktualna sytuacja w tym kraju). W odróżnieniu od książki T. Małanowskiego, ta będzie dziełem samego Kukuczki. Zawiera ona bogaty wybór zdjęć — po części unikalnych — a materiał kartograficzny opracował Jerzy Wala. Za poprawność treściową ręczy opiekujący się całością Zbigniew Kowalewski.

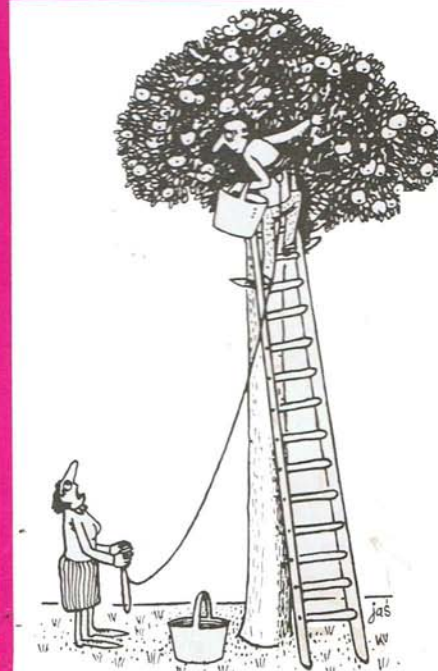
OFENSYWA PAŃ

W Związku Radzieckim alpinizm kobiecy miał kiedyś silną kadrę i duże aspiracje. Wszystko przekreślił sierpień 1974, kiedy pod szczytem Piku Lenina (7134 m) poniosło śmierć 8 alpinistek, a wśród nich szeroko znana Jelwira Szatajewa (T. 3/74 s.116). Kierownictwo Federacji Alpinizmu nie chciało odtąd słyszeć o żadnej żeńskiej inicjatywie. Jeszcze w r. 1987 4 panie szykowały się do udziału w wyprawie na Kangchendzongę, jednakże jej szefowie nie odważyli się na włączenie ich do ostatecznej ekipy. Sytuacja uległa zmianie, kiedy wiosną 1990 r. pierwsza Rosjanka weszła na szczyt 8-tysięczny, a był nim Mount Everest (8848 m). Wejścia dokonała 28-letnia alpinistka z Irkucka, Jekatierina Iwanowa. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jesienią 1992 r. celem dużej żeńskiej wyprawy będzie Shisha Pangma (8027 m). Wejdzie w jej skład 12 Chinek i 14 alpinistek z różnych rejonów ZSRR, znajdzie się wśród nich Iwanowa. Natomiast kierownictwo wyprawy ma być męskie i mają je objąć doświadczeni w kierowaniu wyprawami Nikołaj D. Czorny z Moskwy i — jako trener — Jerwand T. Ilirski z Alma-Aty. Latem 1991 alpinistki radzieckie trenowały w Pamirze w rejonie Piku Lenina. Wiosną tego roku na Cho Oyu (8201 m) weszły 4 panie ze Szwajcarii, Niemiec i włoskiej części Tyrolu. Obecnie w wyprawie z Zielonogorska na ten szczyt bierze udział Bulgarka, Jordanka Dimitrowa, która w ostatnich latach jako pierwsza cudzoziemka weszła na wszystkie 7-tysięczniki ZSRR. Według ostatnich doniesień i to jej zamiarzenie zakończyło się sukcesem.

**...,,OSTOŁ MI SIE INO,
OSTOŁ MI SIE INO,
OSTOŁ MI SIE INO SNUR”...**



Rys. Zygmunt Pytlik (Zakopane)



-Nie bój się, trzymam cię mocno.
Zeit im Bild 1968.